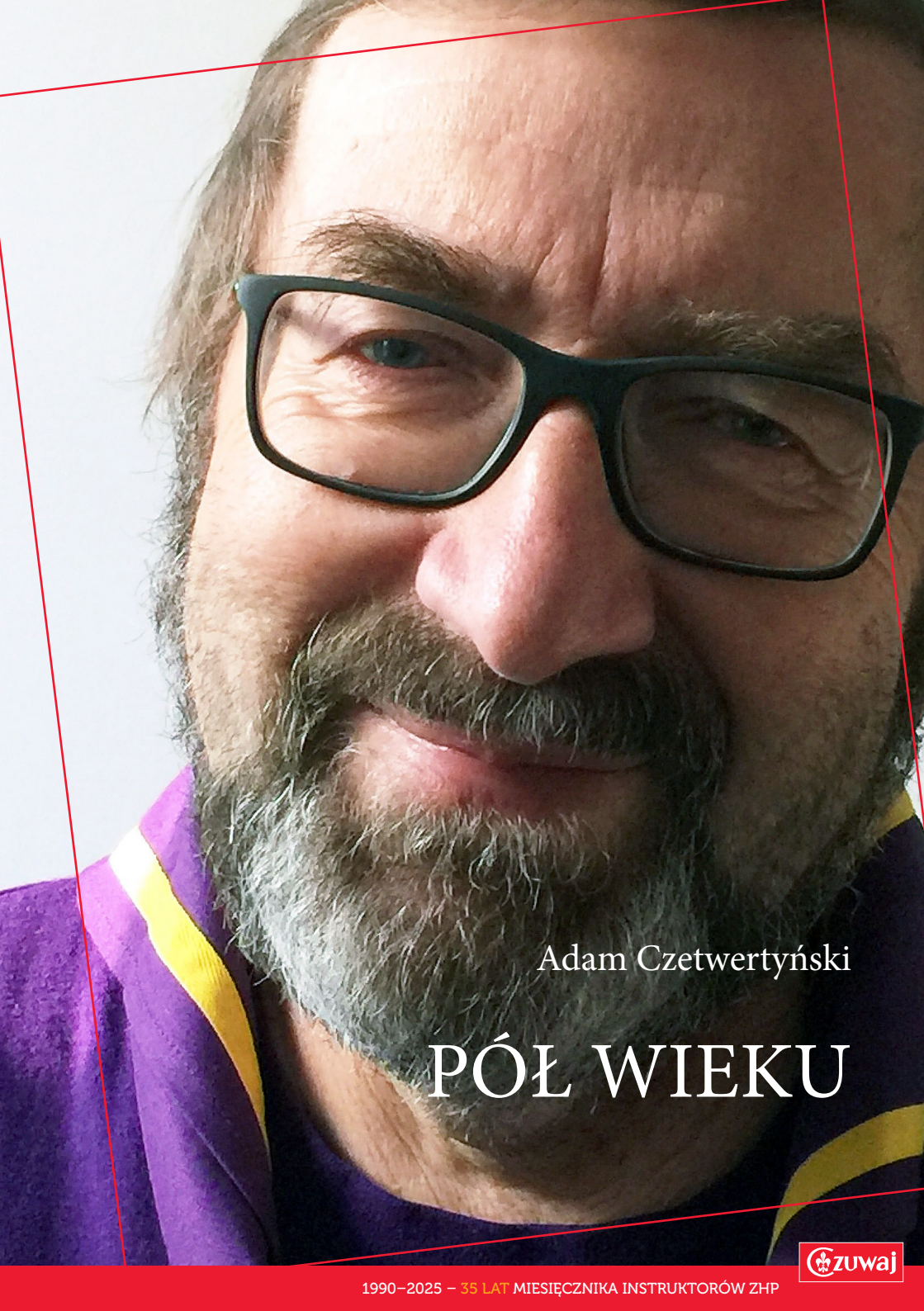


A close-up portrait of a man with a grey beard and mustache, wearing black-rimmed glasses and a purple shirt with yellow stripes. The image is framed by a red border.

Adam Czetwertyński

PÓŁ WIEKU

Adam Czetwertyński

PÓŁ WIEKU

Redakcja i korekta:
Adam Czetwertyński, Halina Jankowska

Skład i łamanie:
Grzegorz Całek

Wydawcy:
Fundacja Instytut Inicjatyw Pozarządowych
Miesięcznik instruktorów ZHP „Czuwaj”

ISBN 978-83-65012-05-0 (druk)
ISBN 978-83-65012-04-3 (pdf)

Warszawa 2025
Wydanie pierwsze

Kilka słów wprowadzenia

A z jakiej to okazji wydajemy tę publikację? Powodów jest wiele...

Bo obchodzimy w tym rok 35-lecie CZUWAJ i 80 urodziny Adama – to piękne rocznice!

Bo Adam jest znaczącą częścią tych 35 czuwajowych lat – przecież jest w naszym miesięczniku 31 lat – jako redaktor naczelny (przez 8 lat!) i zastępca redaktora naczelnego.

Bo pisze, świetnie pisze i warto go czytać. A to nie jest wcale tak oczywiste nawet w przypadku wybitnych harcmistrzów – jakoś nie chcą utrwalać swojego dorobku, nie chcą dzielić się swoimi doświadczeniami. Szkoda.

Bo swoim harcerski życiorysem pokazuje, co to znaczy w praktyce „całym życiem” – ile w cv Adama funkcji na wszystkich szczeblach organizacji, ile obozów, kursów, ilu wychowanków!

I jeszcze jedno, co się z tym wiąże – Adam jest świetnym przykładem, że PESEL nie ma znaczenia, że w wieku 80 lat można być cały czas aktywnym i służyć Związкови na wielu polach. Co chętnie przypominam, gdy mam do czynienia z instruktorami 50+, którzy są już zmęczeni i zamierzają iść na (zasłużoną?) harcerską emeryturę...

Tyle chyba wystarczy, prawda? Zatem zachęcam do przeczytania tego zbioru. A Jubilatowi życzę, aby wspierał nas wiele kolejnych lat w redakcyjnej pracy i nadal inspirował Czytelników swoimi tekstami.

Grzegorz Całek
redaktor naczelny CZUWAJ

Ponad dziesięć lat temu uświadomiłem sobie, że przed pięćdziesięcioma laty mój komendant hufca wręczył mi zieloną podkładkę i zaproponował, bym poprowadził zgrupowanie obozów. Pół wieku. Niezły kawał czasu. Nazbierało się przez te lata doświadczeń, wydarzeń... Nie miałem przez pięćdziesiąt lat jednego dnia instruktorskiego urlopu. W cyklu „Pół wieku” poopowiadałem o tym, co bawiło mnie, co smuciło, o co walczyłem, co mi się udało, a gdzie poniosłem klęskę. Poczytajcie... I oceńcie...

W pewnym miejscu „Pół wieku” zamienia się na „Nowe pół wieku”. Czas płynie, dziś to już 61 lat od dnia, gdy zostałem podharc mistrzem, a ja piszę dalej...

Byłem jak lwica

Tak, „moja”, wychowana przeze mnie kadra była najważniejsza. Gdy oni popełnili jakiś błąd, ja za ich winy odpowiadałem. Nie ma lekko.

To było trzecie samodzielnie przeze mnie prowadzone zgrupowanie. Ja, jakoś po drugim czy trzecim roku studiów, i moja kadra – świeżo po maturze. Obóz się już kończył, mieliśmy przed sobą ze trzy dni normalnego obozu, a potem już rozbijanie urządzeń, wytrząsanie słomy z sienników, rozbieranie kuchni i odstępowanie cegieł zaprzyjaźnionemu rolnikowi. Dużo pracy... Czasami wyłącznie dla pełnoletnich harcerzy.

Tego dnia, a właściwie tej nocy, gdy już zagasiliśmy codzienne ogniska, przyszło do mnie kilku instruktorów pełniących różne funkcje: – Adam, idziemy na podchody – powiedzieli. – Co? Wam, starym bykom, chce się tak bawić? – zapytałem. – Tak – chcemy podejść harcerzy z naszego hufca, mamy do nich ze cztery kilometry, przecież wiesz, gdzie obozuje druhna R. Podejdziemy, zabierzemy flagi i wrócimy przed świtem. – Popatrzyłem na nich. Nie, nie mogłem im zakazać, oni tak bardzo chcieli pobawić się, jakby byli przedszkolakami. Do druhny R. był kawał drogi. Wszystko było OK, tylko dlaczego się nie zdziwiłem (ten brak wyobraźni), że wyszli z obozu w maskach przeciwigazowych?

Spałem jeszcze smacznie, gdy obudziły mnie jakieś głosy. W piżamie odebrałem meldunek: – Zadanie wykonane, druhna R. otruta, brama obozu wkopana. – Rzeczywiście, przed moim namiotem stała kopia pomnika spod Grunwaldu, kopia, która jeszcze przed kilkoma godzinami witała gości u druhny R. Bramę widziałem, ale co oni jeszcze powiedzieli? – Tak, struliśmy druhnę R. świecą dymną na szczury, ale nam się nic nie stało. – Oniemiałem. – Co zrobiliście!????!!

Można sobie wyobrazić, co się dalej działo. Druhna R. w szpitalu (z tym otruciem to była przesada, ale świecę dymną moi instruktorzy na terenie obozu zapalili), bramę trzeba było zanieść (a były to solidne żerdki!) i z powrotem wkopać na tym samym miejscu. Włączony do akcji komendant hufca oczywiście polecił mi wyrzucić sprawców niecznych czynów z obozu (komendant podobozu, dwóch oboźnych z dwóch podobozów, kwatermistrz, magazynier... razem sześć czy siedem osób kadry). A za trzy dni zwijamy się!...

Oj, się działo! Winę wziąłem na siebie, choć byłem zupełnie nieświadom, że moja kadra tak narozrabia. Że jest tak nieodpowiedzialna. Nie wyrzuciłem ich, nie mogłem. Nie tylko dlatego, że wyraziłem zgodę na ich podchody. Oni wygłupili się, czy za taką głupotę można na serio karać?

Cóż, konsekwencje mojej decyzji były dla mnie mało sympatyczne, ale to już inna historia. Rok później (w ramach rehabilitacji... ha, ha) znów prowadziłem zgrupowanie. Ale tam już nikt nikogo nie truł i bram obozowych nie przenosił.

Wnioski? Każdy z nas (szczególnie gdy ma 21 lat) popełnia błędy. Ale też nie jest w stanie przewidzieć, co wymyślą jego harcerze. A przecież ową świecę dymną przywieźli z Warszawy. Nie wiedziałem, co zrobią. To chyba największy mój błąd. Bo za słabo znałem swoją kadrę. Jednak słusznie uczyniłem, broniąc ich jak lwica. Bo była to z ich strony, powtórzę, głupota. A awantury, jakie miały miejsce po obozie, i tak dały im w kość. Mnie też. I ja byłem cały czas z nimi.

Czy dziś postąpiłbym inaczej? Nie jestem pewny...

PS 2025: Z hm. Różą Karwecką (z d. Włodarską) ur. w 1938 r. po wielu latach bardzo oschłych stosunków znów jestem zaprzyjaźniony. Róża między innymi jest komendantką Kręgu Instruktorskich Pokoleń „Romanosy” w naszym Hufcu Warszawa-Praga-Południe.

CZUWAJ 4/2014

Nie krzywdzić dziecka!

Wspomniałem miesiąc temu o obozie, w czasie którego miałem zrehabilitować się za poprzednie popełnione przeze mnie rok wcześniej błędy. Nie, ten obóz przed rokiem był zdecydowanie lepszy. A przecież byliśmy o rok starsi, bardziej doświadczeni. Może zostaliśmy zniechęceni do robienia obozu z fantazją? Jednak szczęka mi opadła, gdy druh J. postanowił dość oryginalnie rozruszać mój obóz. Czyżby pomyślał, że jest u nas bardzo smutno?

Ooo... druh J. był ważną personą. Przed wojną prowadził drużynę, zaraz po wojnie zdobył stopień harcmistrza, był jednym z tych, którzy „całym życiem” służyli w naszej organizacji. Miły, zawsze uśmiechnięty, sympatyczny pan w średnim wieku. Od pewnego czasu w hufcowej komisji rewizyjnej i jako członek tej komisji wizytujący obozy.

Bardzo lubiliśmy jego wizytacje. Poprawiał nam zapisy w książce finansowej, gdy coś w niej nie pasowało. Nigdy nie miał nam za złe, gdy w koszmarnych kartotekach magazynowych i zapotrzebowaniach żywnościowych były błędy. Chwalił nas za program, cieszyła go pionierka. Ideał wizytatora... Ceniłem druha J. Ucieszyłem się, gdy nas odwiedził. Ale nie cieszyłem się długo...

Była już noc. Obozy poszły spać, wydawało mi się, że druh J. także. Ja jeszcze siedziałem w namiocie kadrowym i rozmawiałem z dwójką instruktorów. Cisza, spokój, jaki bywa w środku lasu z dala od wsi i szosy. Ciepła sierpniowa noc. Dla takich nocy warto wyjechać na obóz. Cisza i nagle słyszę rozdzierający krzyk!!! Wrzask, jakby jakiegoś harcerza obdzierano ze skóry! Krzyk nie kończy się!!! Wybiegamy z namiotu i widzimy biegnącą w naszym kierunku małą istotę, która ciągle krzyczy! Jeszcze chwila a nieprzytomny harcerz wbiegnie do jeziora!!!

Rzuciłem się w jego kierunku i mocno chwyciłem. Chłopak przestał krzyczeć, nieco otrzeźwiał, lecz trząsł się jak galareta. Nie dało się go uspokoić. – Duch, widziałem ducha – powtarzał. Przyszła pielęgniarka, zjawił się komendant podobozu, zaczęliśmy dochodzić, cóż takiego się stało.

Wyjaśnienie było proste.

Druh J. założył pelerynę, wziął latarkę i szedł przez las wprost na wartownika, podświetlając sobie twarz jakimś kolorowym światłem. Szczupła

twarz odpowiednio podświetlona wygląda jak „żywy trup”. I takiego idącego przez las „trupą” mały wartownik śmiertelnie się przestraszył. Gdybym nie wybiegł z namiotu i nie złapał go, na pewno znalazłby się w jeziorze. Noc miał nieprzespaną, nie dało się go do ranka uspokoić.

Zapytałem druha J., po co tak sobie żartuje. – To taki typowy harcerski dowcip, jeszcze przed wojną tak się strasziliśmy – padła odpowiedź. Hm... dowcip. A ja patrzyłem na zestresowane dziecko. Dziecko, które zostało skrzywdzone przez dorosłego wychowawcę. Wizytatora.

Nie, od tej nocy już tak jak dawniej nie ceniłem druha J. Jego harcerstwo nie było moim.

PS 2025: Z druhami hm. Jerzym Przyjemskim jednak się nadal lubiliśmy, jego błąd mu wybaczyłem. Nie jeden raz z ramienia komisji rewizyjnej hufca wizytował obozy – ostatni raz gościłem go latem 1983 r. Zmarł w roku 2002. Na warszawskim Grochowie, w Parku Obwodu Praga AK, znajduje się poświęcona mu tablica.

CZUWAJ 5/2014

Warto służyć???

Zbliżają się wybory do lokalnych samorządów. Przewodniczący hm. Dariusz Supeł (pisząc także o wyborach do Parlamentu Europejskiego) wystosował do nas specjalny list. Hm. Lucyna Czechowska napisała felieton o zmienieniu swego zdania na temat prezentowania poglądów politycznych przez członków naszej organizacji. Jak pamiętacie, spotkała ona w Opolu wspaniałego radnego, który był członkiem ZHR. I druhem radnym (i jego działalnością) się zachwyciła. W obu tekstach my – instruktorzy ZHP – jesteśmy namawiani do wykazywania się aktywnością polityczną... Bo w minionych latach różnie to bywało.

Nigdy się nie przejmowałem polityką organizacji w tej sferze. Ot, robiłem swoje. I uważam, że robiłem słusznie. Przypominają mi się wybory do samorządów lokalnych w roku 1994. To były ciągle początkowe lata III Rzeczypospolitej. Warszawa podzielona była na kilka gmin, a ta największa – Centrum – dodatkowo na siedem dzielnic. Pełne szaleństwo. Ale samorząd musiał w takim kształcie funkcjonować.

Gdy zapytano mnie, czy chcę startować na radnego dzielnicy (ta nasza dzielnica, Praga-Południe, to prawie 200 tysięcy mieszkańców), nie wahałem się. Bo jeżeli nie ja – to kto? Natychmiast wyraziłem zgodę. Nie miejsce tu, by opowiadać o szczegółach, ale w moim okręgu wyborczym głosowało na mnie około tysiąca osób – wszedłem do rady. Ale nie sam. W naszym klubie był jeszcze Darek, instruktor ZHP a w klubie naszych politycznych przeciwników... dwóch instruktorów ZHR. Stanowiliśmy zatem całkiem niezłą harcerską reprezentację. Wywodziliśmy się z tego samego hufca, do niedawna pracowaliśmy wspólnie. I jakoś dogadywaliśmy się „ponad granicami”. Nie da się ukryć, że, jak to się szumnie mówi – dobro mieszkańców było dla naszej czwórki najważniejsze. Nikomu to nie szkodziło – i na pewno nie naszym organizacjom, które wówczas liczyły mniej więcej na naszym terenie tyle samo członków. Mieliliśmy w sumie silną pozycję w radzie i... silne harcerstwo w dzielnicy.

Czy warto było kilka lat poświęcić na dodatkową służbę? Ja nie żałuję. Chyba nie żalowali też pozostali instruktorzy harcerscy. Interesujące grono:

- Wymieniony już hm. Dariusz Matusiak, kiedyś szef naszej stacji wodnej, komendant wielu obozów, który przeszedł do pracy w Urzędzie Dzielnicy, miał szansę na awans i twórczą pracę na rzecz miasta. Szansę tę niestety zmarnował. Dziś pełni służbę harcerską na wiecznej warcie.
- Hm. Paweł Wypych, niegdyś świetny komendant szczepu, wykorzystał swoją wiedzę i zdolności. Był wiele lat radnym. Pracując na rzecz miasta i państwa, zawodowo dotarł aż do funkcji ministra w kancelarii prezydenta Kaczyńskiego. Leciał samolotem prezydenckim do Smoleńska...
- Hm. Paweł Lech, szczepowy, krótko nasz komendant hufca, jest dziś prywatnym przedsiębiorcą, działaczem PO, radnym Warszawy. Na co dzień współpracuje z naszym hufcem, bardzo nam pomagając.

Gdyby Lucyna Czechowska była nieco młodsza i dwadzieścia lat temu miała możliwość oglądania pracy harcerskich radnych Dzielnicy Praga-Południe, pewnie już wtedy powiedziałaaby: – Warto służyć ludziom, do tego zobowiązuje nas Prawo Harcerskie. Właśnie do takiej służby, na przykład radnych, jesteśmy przygotowywani w zastępach i drużynach. I (wierzcie mi) robimy to lepiej niż inni. Lucyna świadkiem.

CZUWAJ 7–8/2014

Ten punkt dziesiąty

Mija lato. Ileż to obozów w życiu poprowadziłem? Nie wiem. Najpierw byłem drużynowym na kolonii ruchowej, a od pół wieku – komendantem obozów – stałych i wędrownych. No i oczywiście zimowisk. Może się kiedyś zdobędę, aby je wszystkie zliczyć. Ciekawe, ile łącznie byłem na obozach pod namiotami. Dwa lata? Trzy? Pamiętajmy, że obozy stałe zawsze trwały 26 dni.

Obozy... raz lepsze, raz gorsze. Raz (w Bieszczadach) zupełnie nieudane zgrupowanie. Chorągwiane. Wspominam je do dziś jak zły sen. Ale zazwyczaj wszystko się udawało, niepowodzenia były marginesowe. Nasze (moje) warszawskie harcerstwo w ciągu minionego pół wieku było jednak bardzo przyzwoite. Nie tylko dotyczy to programu. Bo my zawsze staraliśmy się przestrzegać Prawa Harcerskiego. W latach siedemdziesiątych – ponoć dla harcerstwa fatalnych – w wielu środowiskach nie było to niestety normą. Mieliśmy instruktorów, którzy już jako osoby dorosłe zaczęli pełnić w Związku ważne funkcje. Mieliśmy dużą grupę nauczycieli, którzy nie zmieniali na obozie swego normalnego, codziennego trybu życia. Byłem w szoku, gdy na początku lat siedemdziesiątych znalazłem się na spotkaniu czołówki instruktorskiej naszego Związku, spotkaniu, które zakończyło się oficjalną kolacją zakrapianą alkoholem. Ta fama (a i rzeczywistość) alkoholowa tu i ówdzie nadal istnieje. Niestety.

U nas, w naszym hufcu, było inaczej. Powiedzmy sobie – normalnie. Czasami wymagało to ode mnie podejmowania trudnych decyzji. Gdy 21-letni komendant obozu ukrywał w lesie swe ulubione butelki z winem, po prostu bez dyskusji opuścił nas, jego funkcję przejął A. – oboźny z sąsiedniego obozu (było to dla niego ogromne wyzwanie, ale sprawdził się, po jakimś czasie został komendantem hufca). Sytuacja banalna. Ale gdy na kilka dni przed zakończeniem innego z powodu libacji alkoholowej musiałem wyrzucić kwatermistrza, magazyniera i jeszcze jedną osobę z kadry zgrupowania, sytuację miałem mało komfortową. Po prostu nie miałem kim tych druhów zastąpić. Cztery dni przed zwijaniem obozu. Na dodatek jeden z obozów (to z tamtego środowiska pochodzili wyrzuceni druhowie) zbuntował się. Ja nie chciałem opowiadać szczegółowo o powodach mojej

decyzji, a harcerze uważali, iż całą trójkę po prostu skrzywdziłem. Dziwnie było na ognisku kończącym zgrupowanie, gdy jeden obóz demonstracyjnie nie zaśpiewał ani jednej piosenki. Jednak nie żałowałem swojej decyzji. Dziesiąty punkt Prawa wszystkich nas obowiązywał.

Tak się zdarzyło, że oba te wydarzenia miały miejsce nad Partęczynami na Pojezierzu Brodnickim. Może to dla mnie jakieś pechowe jezioro?

Dlaczego w naszym środowisku przestrzeganie Prawa Harcerskiego było tak ważne? Wydaje mi się, że ogromną rolę odegrał tu komendant hufca, druha Stefan. Pryncypialny, ostry, bardzo wiele od nas wymagający. Jego styl mógł nam, młodym, nie odpowiadać. Ale wpływ miał na nas ogromny. Między innymi nauczył nas, że obóz harcerski to nie kolonia pod namiotami, gdzie kadra bawi się nocami przy piwie czy mocniejszym alkoholu, lecz to wspólna zabawa starszych i młodszych – nasza wspólna wielka gra. Efekty owej nauki bywały różne, przykład tejże gry opisywałem przed czterema miesiącami. Taką zabawę można ocenić krytycznie, ale na pewno nasi instruktorzy wówczas nie byli pod wpływem alkoholu.

Kilka lat temu (a więc nie tak dawno) D. wyrzuciła ze swego obozu kilkuosobową grupę młodej kadry. Za picie piwa. Bardzo się ucieszyłem. Oczywiście nie z faktu, iż harcerze łamali nasze zasady. D. postąpiła tak, jakbym ja na jej miejscu się zachował. Bo przestrzeganie Prawa Harcerskiego (także jego dziesiątego punktu) nas obowiązuje. Nie od pięćdziesięciu – od stu lat.

CZUWAJ 9/2014

Siódmy – przełomowy

Co cztery lata (a czasem częściej) nasi przedstawiciele zbierają się na zjeździe ZHP i podejmują kluczowe decyzje dotyczące całej organizacji. Co cztery lata rozmawiamy o programie i zmianach w Statucie, pasjonujemy się wyborami władz naczelnych. Zastanawiamy się, co zrobić, by harcerstwo było lepsze, by pełniej oddziaływało na polską młodzież.

Przez pół wieku uważnie obserwuję efekty kolejnych zjazdów. Kilka razy byłem delegatem, zdarzyło mi się redagować materiały pozjazdowe, przygotowywałem też sprawozdania władz naczelnych. Moje zadania na kolejnych zjazdach zmieniały się. Długo by pisać...

Od pewnego czasu zastanawiam się, który ze zjazdów w czasie minionych 50 lat był w rzeczywistości najważniejszy. Który był autentycznie przełomowy. Gdybyśmy zapytali jakiegokolwiek instruktora, usłyszeliśmy jedną z dwóch odpowiedzi. Po pierwsze: „Nie wiem”. Po drugie: „Bydgoski”. Otóż nie bydgoski, który był bardzo ważny. Najważniejszy był siódmy, ten w marcu 1981 r. Przypomnijmy. Polska jest już po porozumieniach sierpniowych (to rok 1980). „Solidarność” jest z trudem akceptowana przez władze partyjne i państwowe. A u nas po raz pierwszy od roku 1956 wracamy autentycznie do korzeni organizacji.

Dwie były symboliczne decyzje VII Zjazdu. Warto je pamiętać. Po pierwsze odeszliśmy oficjalnie od programu Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej. To nie tylko zmiana nazwy na harcerstwo starsze i rezygnacja z piaskowych koszul ubarwianych czerwoną krajką z białymi szlaczkami. To przede wszystkim powstanie ruchu starszoharcerskiego – dzisiejszego wędrownictwa – z nowymi stopniami, z wymyślonymi wówczas znakami służb, z decyzjami o powołaniu Rady Harcerzy Starszych, zwołaniu Polowej Zbiórki Harcerstwa Starszego i zorganizowaniu Starszoharcerskiej Akcji Szkoleniowej (w roku 1982). To oczywiście powrót do wizji Baden-Powella, Małkowskiego, Kamińskiego – powrót do źródeł. Po drugie rodzą się kręgi instruktorskie im. Andrzeja Małkowskiego, dążące do powrotu do czystego moralnie harcerstwa. Na ów wątek moralny – i w sferze politycznej, i w sferze osobistych postaw instruktorskich – zwróciłbym szczególnie uwagę. Kręgi to przecież ruch, który w warstwie

oficjalnej i nieoficjalnej (niektórzy powiedzą – podziemnej) doprowadzi do powstania ZHR.

Tak, harcerstwo roku 1981 było nadzwyczajnym ruchem, wtedy jeszcze dość (tak, tak) jednolitym. Takiego nie było wcześniej – i nie było później. Stan wojenny (co niebawem się okazało) diametralnie tę sytuację zmienił.

W atmosferze odnowy harcerstwa we władzach organizacji znaleźli się bardzo różni instruktorzy. Już nie wszyscy członkowie Rady Naczelnej należeli do PZPR (to naprawdę kolosalna zmiana!). Ewidentnym przykładem zmian było wybranie do Rady Naczelnej (i prezydium tejże rady) hm. Józka Brody, artysty, drużynowego z Istebnej, który potrafił grać na każdym liście (w Wikipedii występuje jako ojciec Józki Brody). Z Warszawy wybrano do rady (to bardzo charakterystyczne, nasza chorągiew była bardzo tradycyjna, choć może nie tak jak krakowska) trzech instruktorów. Pierwszym był hm. Andrzej Jaczewski, wieloletni szczepowy, żeglarz, profesor medycyny i pedagogiki, dziś na emeryturze piszący mądre teksty na swym blogu*. Drugim hm. Grzegorz Nowik, także wówczas szczepowy, po latach (i do dziś) instruktor ZHR, aktualnie profesor, jeden z najwybitniejszych znawców historii harcerstwa, ale także historyk wojskowości. Trzecim członkiem RN z Warszawy byłem ja. Instruktor, który zawsze miał własne zdanie. Po raz pierwszy okazało się, że tacy jak ja (i jak Józek, Andrzej czy Grzesio) mogą na szczeblu centralnym współdecydować o ZHP!

To, wiercie mi, był zjazd przełomowy. Fakt, dla mnie też.

PS 2025: Hm. Andrzej Jaczewski zmarł w 2020 r. w wieku 90 lat. Pochowany został w Beskidzie Niskim we wsi Ropki, gdzie spędził ostatnie lata swojego życia.

CZUWAJ 10/2014

Pół wieku... czytania

Pół wieku czytania? Nieco więcej. Bo przecież czytałem wszystko o harcerstwie, co mi wpadło do ręki, jeszcze gdy nie miałem stopnia instruktorskiego. W kiosku polowałem na „Drużynę”. Był to dwutygodnik, a do „mojego” kiosku, tego najbliższego domowi, docierał w jednym egzemplarzu. Na szczęście w okolicy nie miałem zbyt wielu konkurentów. I zazwyczaj „Drużynę” udawało mi się zdobyć. Ot tak – w kiosku. A dalej już poszło – kupowałem wszystkie książki, jakie były na półkach w składnicy przy Marszałkowskiej, czasami upolowałem coś w „zwykłej” księgarni. To nie do opisania, jak cieszyłem się, gdy na ladzie w księgarni na Saskiej Kępie zobaczyłem „Ogień i ogniska” Kazimierza Koźniewskiego. Wtedy nie wiedziałem, że zacny druh Kazimierz zniekształca po swojemu historię naszej organizacji. Że druha Kazimierza po latach poznam, będę redaktorem innej jego książki, że będę prowadził z nim długie rozmowy w jego mieszkaniu na warszawskim MDM-ie. Jednak wtedy „Ogień i ogniska” były pierwszą pozycją, w której o naszych tradycjach poczytać można było więcej niż w harcerskich słabiutkich poradniczkach. Ku mojemu zdziwieniu przed pięćdziesięciu laty nic nie udawało mi się zdobyć w kilku istniejących w Warszawie antykwariatach. A studiowałem polonistykę i przeglądać antykwariaty potrafiłem.

Jeżeli coś wiedziałem o harcerstwie, to przede wszystkim z tych lektur. Chłonałem wiedzę jak gąbka. Całą, ile się dało. I swobodnie mogłem prowadzić zajęcia na kursach (najpierw zuchowych) jeszcze będąc w liceum, mając szesnaście czy siedemnaście lat. Fakt – w Zuchowej Chałupie kształcono bardzo dobrze, a ja tam ukończyłem swój pierwszy instruktorski kurs.

No dobrze, od tamtych czasów minęło już pół wieku. Pół wieku czytania. Dziś ze zdumieniem patrzę na naszą młodą kadrę. Ma wszystko – dziesiątki poradników, podręczników, powieści, opracowań historycznych itd., itd. Nasza kadra ma też internet, nie tylko z Wikipedią. I coś z tego? Czytam kolejne karty prób na stopień przewodnika. To bardzo cenne dla mnie źródło wiedzy. A tam „Kamienie na szaniec”, a tam „Andrzej Małkowski”, a tam sformułowanie „przeczytam kilka numerów CZUWAJ”.

Wynika z tego, że jeden, drugi czy trzeci kandydat na instruktora nic nie czytał, nie czyta i nie ma zamiaru czytać. Bo o czym świadczy ten tekst-obiętica o przeczytaniu kilku numerów „Czuwaj”? Przecież ten druh czy druha uczyni to z największym wstrętem, przeczyta, odrzuci w kąt i ani jednego tekstu nie wykorzysta do własnej pracy. O czym świadczy wpisanie do próby przewodnikowskiej „Kamieni na szaniec” lub „Tropami harcerskiej przesyłki”? Świadczy o zerowej wiedzy o historii harcerstwa.

Dlatego mamy drużyny, w których najważniejsza jest tzw. tradycja. Kolejny drużynowy prowadzi ją jak jego poprzednik, bo tylko od niego uczył się harcerstwa. Wpada w rutynę, czasem skorzysta z jakichś pomysłów, jakie przekażą mu na kursie. I to tyle.

Nie, nie podoba mi się taki model nowoczesnego harcerstwa. Ponad pół wieku je śledzę i nie wyobrażam sobie, bym mógł na jego temat się wypowiadać, bo mi coś „w duszy gra”. Nie, bardzo wiele o naszym ruchu i organizacji napisano, koniecznie trzeba o harcerstwie i w harcerstwie dużo czytać.

PS: Pytanie do Druhen i Druhów. Cóż to za składnica przy Marszałkowskiej? Co to jest MDM? A co to jest Zuchowa Chałupa? Łatwo czy trudno na te pytania odpowiedzieć?

CZUWAJ 11/2014

Harc mistrz Polski Ludowej

Tak, będzie o stopniu, który starsi instruktorzy dobrze pamiętają, a dla młodszych i tych, nazwijmy ich – w średnim wieku – ten stopień to już zamierzchła historia. Bo harcmistrzyn i harcmistrzów Polski Ludowej nie ma już od roku 1991.

Stopień miał charakter honorowy. Można go było otrzymać po dziesięciu latach służby instruktorskiej w stopniu harcmistrza. Tak. Po dziesięciu latach bycia mistrzem harców! To spory szmat czasu. Ileż obozów, zimowisk, zbiórek, rajdów musiało się zorganizować, by dostać ten dla większości wymarzony stopień. Przyznawano go raz w roku – 22 lipca – w tamtych czasach dniu naszego święta narodowego. Starsi pamiętają, młodszy niech sobie poczytają, dlaczego właśnie ten dzień wybrano na najważniejszy w państwie z całego roku kalendarzowego. Naczelnik ZHP – najpierw na wniosek komend, a później, po latach, po raporcie zainteresowanego – osobiście przyznawał ów stopień, który symbolizowała białoczerwona podkładka pod harcerskim krzyżem.

Pierwotnie było to (w drugiej połowie lat sześćdziesiątych) wyjątkowe wyróżnienie. Taki harcmistrz Rzeczypospolitej nowych socjalistycznych czasów. Hm. PL było niewielu – elita organizacji. Później stopień spowszechniał. Do roku 1989 przyznano go około sześciu tysiącom harcmistrzów. Armia instruktorów! Bo nasze władze dbały, by większość kadry z właściwym stażem harcmistrzami Polski Ludowej została. Ja też, aczkolwiek z pewnym opóźnieniem, otrzymałem ten stopień. Bo zawsze byłem doceniany, ale czasem inni byli doceniani wcześniej niż ja.

Stopień ten zlikwidowano dziwnie. Po prostu Rada Naczelna w swej uchwale w 1991 r. postanowiła znieść stopień. Znieść duży szmat naszej historii. Jednego dnia stopień jest, drugiego nie ma – ot, jakby wyparował. Nagle nie było stopnia nam przyznanego. Przez nas cenionego. W barwach naszej flagi narodowej. Stopień odszedł wraz z Polską Ludową w niebyt.

Mieliśmy my, harcmistrze PL, zdjąć białoczerwone i założyć sobie czerwone podkładki. A było nas nadal dwa czy trzy tysiące (organizacja kurczyła się i mnóstwo instruktorów, szczególnie nauczycieli, odeszło ze Związku). Część z nas podkładki wymieniła. Kupiła sobie nowe i już. Ale

część wymienić ich nie chciała. Z sentymentu? Ze zranionej dumy? Tłumaczyłem naszemu naczelnictwu: – Jakoś to trzeba uregulować. – Moje tłumaczenia pozostały bez echa. W efekcie kilku rozmów któregoś dnia (a byliśmy wtedy w Załęczu) otrzymałem czerwoną podkładkę z rąk druha Stefana Mirowskiego, ówczesnego przewodniczącego i druha Ryszarda Paclawskiego, naczelnika. Biało-czerwoną im oddałem. Byłem usatysfakcjonowany, ale chyba jako jeden z nielicznych w całym ZHP...

CZUWAJ 12/2014

Z Jolą – moją najlepszą szefową

ZHP obradujący w marcu 1981 r. zrewolucjonizował Związek. Po tym zjeździe, gdy już nie było programu HSPS (czyli Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej – ileż to rzeczy warto przypominać), między innymi trzeba było stworzyć lub odtwarzać dla harcerstwa w szkołach średnich program, elementy metodyki, formy pracy, obrzędowość. W tym celu szybko, wzorując się na inicjatywach sprzed lat (wtedy dotyczyło to ruchu zuchowego) wymyślono Ofensywę Starszoharcerską. Mnie mianowano szefem sztabu tej ofensywy. Razem z grupą starszoharcerskich instruktorów, wśród których na przykład byli aktywni do dziś – hm. Bogdan Radys z Gdańska i hm. Piotr Niwiński z Krakowa – staraliśmy się zmienić ogólnopolski starszoharcerski świat na lepszy. Temu służyły nasze i GK ZHP inicjatywy, temu służyła Starszoharcerska Akcja Szkoleniowa latem 1982 r. Jola i ja (a może ja i Jola) w naszym miesięczniku „Drużyna – Na Tropie”, w którym zacząłem pracować, wspomagaliśmy wszystkie starszoharcerskie inicjatywy. A nie było to proste zadanie.

Jola, jak wielu ówczesnych instruktorów w średnim wieku, wychowywała się po wojnie w innych czasach. Weszła do harcerstwa jako ukształtowana osobowość. Świetnie pisała, rozumiała i czuła harcerstwo, choć nie miała w nim zbyt wielu osobistych doświadczeń. W czasach „Drużyny” pisała materiały poradnikowe (dla drużynowych harcerskich) „Z pamiętnika Iki”. I dostawała listy, w których drużynowi opisywali podobne sytuacje do tych, które Jola wymyślała sobie za biurkiem w Warszawie.

Za co ją najbardziej chwale? Za umiejętność kierowania zespołem. Jola po prostu dawała nam wolną rękę i tylko pilnowała, aby nasze pisma (bo mieliśmy jeszcze „Drużynę – Propozycje” i „Drużynę – Zuchowe Wieści”) były ciekawe, twórcze i czytane przez kadrę. Nie przeszkadzała mi redagować „Drużyny – Na Tropie”.

Pozwalała mi i na przykład naszemu grafikowi hm. Jackowi Koteli (a przecież każdy tekst przed wydrukowaniem uważnie czytała) na najdziwsze brewerie i nigdy (no, prawie nigdy) nie powiedziała „nie wolno”.

A były to lata ostrej cenzury, próby wzmacniania po stanie wojennym przewodniej roli PZPR i wycofywania się naszych harcerskich władz z zapowiadanych daleko idących reform.

Pod koniec lat osiemdziesiątych zlikwidowano „Motywy” i pozostaliśmy na rynku my – „Drużyna” z naszymi trzema mutacjami cieszącymi się popularnością w ZHP. Wtedy to, co nas zdziwiło i chyba naszą szefową, staliśmy się niechętnie widziani przez Główną Kwaterę. Dlaczego? Może dlatego, że Jola prowadziła pismo zgodnie z koncepcją VII Zjazdu ZHP? Może dlatego, że pozwalaliśmy sobie na krytykę poczynąń naszych harcerskich władz? A która władza to lubi?

Wymyśliła więc Główna Kwatera, że także będzie wydawać miesięczniki metodyczne (zresztą o tych samych tytułach, tyle że nie miały już wspólnej nazwy „Drużyna”), że nie warto promować w ZHP prenumeraty naszych pism.

Gdy nadszedł słynny zjazd bydgoski, „Drużyny” właściwie już nie było. I nie było tygodnika „Motywy”. Zamiast tego powstał dwutygodnik „Czuwaj”. Umiejętności całego naszego zespołu harcerska centrala wykorzystać nie chciała. Poszliśmy w odstawkę. Jola niestety też. A była tak świetną szefową. I tak dobrze rozumiała harcerstwo.

PS 2025: Hm. Jolanta Chełstowska, która zmarła w 2013 r., była nie tylko dziennikarką (pracowała w „Nowej Wsi”, „Po prostu”, „Przyjaciółce”, była przez 3 lata naczelną „Motywów” i 9 lat „Drużyny”), ale po 1956 r. bardzo aktywnie działała w GK ZHP, była delegatką na IV, V i VII Zjazd ZHP.

CZUWAJ 1/2015

Tym razem będzie o służbie

Uważni czytelnicy tej rubryki zdziwić się mogą rozrzutem poruszanych przeze mnie tematów. Dlatego na początku dziesiątego, a więc jubileuszowego felietonu przypomnę (po raz kolejny?): pół wieku temu zdobyłem stopień podharcymistrza i poprowadziłem samodzielne zgrupowanie obozów. Przez te pół wieku nazbierało się wspomnień, refleksji, uwag. I co wybrać, co jest ważniejsze? Najważniejsze? Dziś będzie o służbie.

Teoretycznie wiemy – nie ma przyzwoitego harcerstwa, ba, nie ma harcerstwa bez służby. Bez takiego działania na rzecz społeczeństwa, aby wszystkim nam żyło się milej (zasadzimy tulipany na zaniedbanym trawniczku przed szkołą), godniej (będziemy czytać starszej pani książkę dwa razy w tygodniu, a może nawet wypijemy z nią herbatę i porozmawiamy o pogodzie, bo starsza pani nie wychodzi już z domu), aktywniej (bawimy się raz w miesiącu z dziećmi z zaprzyjaźnionego domu dziecka – ot, w zwykłe harcerskie gry, może po jakimś czasie będą one chciały założyć zastęp harcerski?). Również aby nasz świat był piękniejszy (opiekujemy się laskiem w najbliższej okolicy i sprzątamy go systematycznie, bo nasi rodacy mają zwyczaj śmiecenia i zapaskudzania naszej przyrody).

Nasza służba jest bezinteresowna (nie jest nią „zarabianie” w supermarketach, gdy pakujemy kupującym towary) i powinna nam dawać radość (bo cóż to za przedstawienie dla przedszkolaków, jeżeli sami w czasie spektaklu nie jesteśmy uśmiechnięci).

Gdy zastanawiam się, które moje działania mieszczące się w powyższych zakreslonych ramach przyniosły największą efektów, ciśnie mi się na usta jedno słowo – Białoruś.

Działania na rzecz Polaków na Wschodzie wpadły mi (choć przede wszystkim Misi, szefującej przez lata odpowiednim zespołem w GK) jakoś tak naturalnie. Była taka potrzeba – prawie dwadzieścia pięć lat temu! – więc przystąpiliśmy do działania. Oczywiście pomagaliśmy nie tylko harcerzom na Białorusi, lecz także harcerstwu w Czechach, na Ukrainie, na Litwie, nawet w dalekim Kazachstanie i na Węgrzech. Nasz zespół, na początku złożony z ponad dwudziestu instruktorów, zmniejszał się, nawet aktywne środowiska z mojego hufca przestały współpracować

z harcerstwem na Wschodzie. Ja pozostałem. Nie, nie jestem samotnym białym żaglem, który walczy o jakość tamtejszych organizacji. Nawet dość łatwo udaje się do konkretnych działań zaangażować pokaźną grupę współpracowników. Z naszej Pragi-Południe, ale i z dalekiego dla nas Gdańska, Sokołowa Podlaskiego czy bliższego Celestynowa. I możemy sobie, a może powiem – i mogę sobie pozwolić, aby zaprosić setkę harcerzy zza naszej wschodniej granicy, aby poprowadzić dla nich kurs drużynowych lub zastępowych, aby pokazać im kawałek normalnego harcerstwa. Trzytygodniowy obóz pod namiotami – duża rzecz. A później kontakty przez długie miesiące, pomoc, rozmowy, maile. Niestety niezbyt intensywne, na pewno zbyt powierzchowne. Ale powiedzcie mi, kto jest z nimi (na dobre i na złe) cały czas, kto śledzi losy poszczególnych środowisk, na kogo mogą harcerze ze Wschodu zawsze liczyć?

Harcerska służba czyni się sama. Ona jest, jej nie trzeba na siłę wymyślać. Wokół jest tyle potrzeb. Tak różnorodnych. Każdy z nas może znaleźć sobie jakieś, jak to ładnie mówimy, pole służby. Takie stałe pole, które będziemy uprawiać przez lata, no może nie przez pięćdziesiąt lat, ale choćby lat dwadzieścia pięć. Bo dlaczego by nie?

PS 2025: Misia – hm. Halina Jankowska, przez wiele lat pracująca w GK ZHP na różnych funkcjach – w Wydziale Zagranicznym, Promocji, w redakcji „Czuwaj”, opiekująca się Radą Naczelną ZHP. Dziś społecznie zastępczyni redaktora naczelnego naszego miesięcznika i sekretarz kapituły Krzyża „Za Zasługi dla ZHP” i Medalu Wdzięczności. Instruktorka Wydziału Zagranicznego.

Organizacja harcerska na Białorusi już nie istnieje. Tak jak inne organizacje polskie została zlikwidowana przez władze państwowe. Z niektórymi harcerzami z Białorusi mam kontakt.

CZUWAJ 2/2015

Mój prawdziwy obóz

Dyskusja o prawdziwym, czyli dobrym, autentycznym harcerstwie trwa od zawsze, trwała także przez „moje” pół wieku. Ponieważ zbliża się akcja letnia, nie będę zajmował się dzisiaj wszystkimi cechami owego prawdziwego harcerstwa, lecz zadam wam kilka pytań dotyczących obozu. Bo wszak obóz harcerski dla drużyny stanowi podsumowanie całorocznej pracy. Bo na obozie prawdziwie harcerskim w rzeczywistości wychowujemy znacznie bardziej skutecznie niż przez całą pozostałą część roku. Banalne stwierdzenia.

Dobry obóz...

- Czy to taki, który przygotowywany jest nie tylko przez kadrę, ale przede wszystkim przez harcerzy? Zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach przez zastępy? Tak programowo, jak i organizacyjnie?
- Czy to taki, w którym na etapie planowania (rok wcześniej, prawdopodobnie na poprzednim obozie) harcerze zdecydują, gdzie się obóz będzie odbywał? W tym samym miejscu? A może w innej części Polski?
- To taki, gdzie wszystkie zastępy wybudują swą, jak to mówimy u nas w hufcu, obozową republikę, a więc rozstawią namioty, zbudują urządzenia obozowe i całą dekorację wraz z totemami zastępów? (Tak, nie wrócą już czasy, gdy budowaliśmy kuchnię z cegieł i najważniejszym w niej paliwem był chrust, jaki sami przynieśliśmy z lasu).
- Czy taki, gdzie będzie pełna samoobsługa, a więc przy pomocy jednego dorosłego opiekuna harcerze będą przygotowywać posiłki, będą też pełnić wartę, będą pilnować, aby na terenie było czysto? Jak w wielkiej rodzinie?
- To taki, gdzie zajęcia prowadzone będą tak przez kadrę, jak i poszczególne zastępy, gdzie każdy harcerz będzie mógł się wykazać swą wiedzą i umiejętnościami?

- I taki, gdzie tenże harcerz zdobędzie mnóstwo nowych przydatnych na co dzień umiejętności – od nauczania się obierania ziemniaków poczynając?
- I oczywiście taki, gdzie będzie panować znakomita atmosfera, kadra pod każdym względem będzie wzorem dla wychowanków, gdzie nikt na nikogo nie gwizdże, nie ma „pilotów”, karniaków, karanych pompek i alarmów oraz gdzie są nagrody hojnie rozdawane przez kadrę...

Te pytania, przecież retoryczne, mógłbym zadawać dalej. Bo cóż to znaczy dobry obóz? Może warto jakiś opisać? Ale przecież każdy jest inny... I każdy może być dobry.

Gdy przypominam sobie, jakie były moje obozy (a piszę oczywiście o obozach stałych), których przeprowadziłem kilkanaście, gdy przypominę sobie, ile trudu kosztowało mnie i moich harcerzy przygotowanie, poprowadzenie i rozliczenie obozu... Ile się nauczyliśmy, jaką zdobyliśmy wiedzę, jak wielkie i różnorodne nabyliśmy doświadczenie – tego nie da się przecenić! Była to nasza wielka przygoda, ale wszyscy nauczyliśmy się życia. I nie była to przecież tylko nauka życia w lesie.

CZUWAJ 4/2015

Być prawdziwym zuchem

Nieco ponad pół wieku temu prowadziłem gromadę (zwaną wówczas drużyną) zuchów. Należało do niej ponad dwudziestu chłopaków z warszawskiej Saskiej Kępy. Trzy razy byliśmy razem na kolonii, później ja w harcerstwie awansowałem, oni przeszli do drużyny harcerskiej.

Gdy ktoś mnie pyta, czym się współczesne zuchy różnią od tych moich, opowiadam o elemencie naszej obrzędowości. O tym, jak moje „Jerzyki” wykazywały się dzielnością przy okazji składanej przez nich Obietnicy. Każdy zuch otrzymywał ode mnie watkę nasączoną spirytusem i igłę. Następnie musiał wbić sobie igłę we wskazujący palec lewej ręki, „wytoczyć” kroplę krwi i „przypieczętować” tą krwią w księdze drużyny złożoną Obietnicę. Obok owej krwawej plamy zuch się podpisywał. Spirytus potrzebny był do dezynfekcji, ponieważ nie tylko dzielność była ważna, ale i czyste zuchowe palce. Bo rodzice z powodu braku zachowania zasad higieny mogliby mieć do mnie pretensje. Nikt z nich nie powiedział mi, że nasza próba dzielności jest nieodpowiednia.

Ów przykład jest skrajny, ale moje zuchy rzeczywiście były dzielne, samodzielne, radosne, starały się być coraz lepsze i (prawie) wszystkim z nimi było dobrze.

Druga połowa kwietnia roku 2015. Uczestniczę w ogólnopolskiej konferencji, w czasie której rozmawiamy między innymi o sześciolatkach w zuchach. Kilkoro instruktorów w trakcie dyskusji walczy o oficjalne uznanie, by do ZHP mogły należeć pięciolatki. Obok mnie siedzi bardzo doświadczona instruktorka zuchowa, nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej, która od czasu do czasu powtarza: – Ale te najmłodsze i nawet te starsze zuchy ciągle płaczą. – A na sali padają przykłady o maluchach w harcerstwie, które same sprzątać nie będą, których pilnować trzeba, bo się same nie umyją, bo czasem nie potrafią posługiwać się w czasie posiłku nożem. Są normalnymi sześciolatkami. No i nie potrafią pisać.

A ja przypominam sobie moje zuchowe zbiórki i kolonie. Na nich nikt nie płakał! Na zwiad na pocztę (dwie przecznice od szkoły) zuchy poszły same. Same przychodziły na zbiórki i ze zbiórek wracały. (No, kilku z nich przychodziło do mnie do domu i na zbiórkę mnie zabierało).

Wydaje mi się, że chłopcy byli bardzo podobni do tych, jakich opisywał Aleksander Kamiński. Najmłodszy mój zuch chodził do drugiej klasy, najstarsi uczestnicy kolonii byli absolwentami klasy czwartej! To były dzieci na innym etapie rozwoju niż nasze współczesne zuchy z „zerówki”! Takie zuchy – nie do końca zuchy.

Dziś dyskutujemy o pięciolatkach w zuchach. Jakieś nieporozumienie. Moim zdaniem sześciolatkowie, siedmiolatkowie, te dzieci, które nie potrafią jeszcze czytać i pisać, nie powinny należeć do zuchów! Bo nigdy nie będą prawdziwymi zuchami. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest utworzenie dla tych malców odrębnych gromad „minizuchów”, „skrzatów” czy „krasnoludków”. Z odrębną, uproszczoną metodyką. Niech sobie płaczą, socjalizują się, płasają i po swojemu, na swoim poziomie, zdobywają sprawności. Bo na pewno małe dzieci chcą należeć do takiej organizacji, jak harcerstwo.

Ale nie psujmy metodyki zuchowej. Ona jest znakomita! Nie zniszczyliśmy jej od lat trzydziestych ubiegłego wieku. Niech więc zuchy pozostaną zuchami. Takimi z „Antka Cwaniaka”, a nawet z mojej drużyny „Jerzyków”, gdzie próba dzielności była autentyczna.

CZUWAJ 5/2015

O moich harcmistrach

W kolejnych felietonach o instruktorskiej połowie wieku snuję refleksje o różnych aspektach naszej działalności. I gdzieś w tyle głowy brzmi: *wychował swego następcę...* Nie, nie o następcach na moich funkcjach (nie tak znów wielu) będę dziś pisał. Będzie o moich następcach-harcmistrach. Byłem opiekunem ich prób.

Pamiętać trzeba, że osoba opiekuna prób narodziła się (jak na te pół wieku) dość późno. Przecież z czasach harcmistrzów Polski Ludowej (o czym pisałem) takich opiekunów nie było. Więc moje przygody w tej roli nie są znów tak długie.

Muszę przyznać, że jedną z najmilszych przygód w tym harcmistrzowsko-podharcmistrowskim świecie była ta nieudana (jeszcze) próba druha R. Pojawił się nagle – nieznanym instruktorem z nieznanego mi środowiska. I zakomunikował mi, że tylko ja mogę być jego opiekunem. Dlaczego? Bo pamiętał mnie jeszcze sprzed lat, jeszcze z XX wieku, jeszcze z mojej aktywności w ówczesnym ruchu starszoharcerskim. Odszukał, umówił się, rozmawiał. Z próby nic nie wyszło. Czasem tak jest – można być w średnim już wieku bardzo aktywnym i nie mieć możliwości sprostania zadaniom, jakie stawia przed kandydatem na harcmistrza zestaw wymagań. Jeszcze się do R. odezwę, może zmieni zdanie?

Inaczej jest z S. Pod koniec maja siedziałem z nim nad jego próbą. S. jest młody jak na przyszłego harcmistrza. Gdy dobrze pójdzie, będzie nosił pod krzyżem czerwoną podkładkę mając 24 lata. Tak sobie zaplanował – tytuły magistra i harcmistrza razem. To łatwa próba – większość zadań i tak S. realizowałby niezależnie od tego, czy zdobywałby stopień, czy nie. Ale czy można mieć pretensję do instruktora, że jest aktywny i wielu interesujących zadań się podejmuje?

Kłopot jest z takimi instruktorami, jak A. Aktywna, podejmuje nowe wyzwania, pełni coraz bardziej odpowiedzialne funkcje. Jednak zdobycie stopnia nie jest dla niej najważniejszym zadaniem. Coś się w trakcie realizacji próby nie udało, gdzieś pojawił się jakiś problem i z zamknięciem

dobrze napisanej i realizowanej próby mamy problem. A przecież A. jest już na poziomie harcmistrzyni, jej cała droga harcerska i instruktorska o tym świadczy. Męcę się, męcę ją. Strasznie jesteśmy tym męczeniem zmęczeni. Ale gdy powstanie już raport z próby, okaże się, że A. zrealizowała swe zadania z „górką”. Tylko niech ten raport powstanie.

Z moich podopiecznych najlepszy raport napisał J. To instruktor w średnim wieku, późno realizował swą próbę. Dlatego niektóre zadania miały charakter historyczny. Dosłownie. Ale J., który jest z zamiłowania zbieraczem harcerskich pamiątek, uzbierał dwa wielkie skoroszyty, w których znalazła się pełna dokumentacja jego dokonań. Mogę powiedzieć – bardzo interesująca dokumentacja. Z nią większość instruktorów zdobywająca stopień harcmistrza ma kłopot – J. tego kłopotu nie miał.

To kim się do tej pory opiekowałem? Kto pod moim okiem został harcmistrzem? Jeden aktualny członek Głównej Kwatery, jedna kierowniczka wydziału i jedna szefowa zespołu w GK, jedna drużynowa (ale z dyplomem z psychologii), jeden członek komendy hufca. I jeden harcmistrz, który musiał na jakiś czas przerwać swą instruktorską służbę. Tyko sześcioro? Spokojnie. Będą następni. Za miesiąc, za trzy, za dwa lata. Harcmistrzów trzeba powoli wychowywać. Nie, nie jest to łatwa sztuka, ale jaka wdzięczna.

PS 2025: Po dziesięciu latach „moi” harcmistrzowie (jest ich aktualnie dziewiątko) pełnią wiele funkcji w Związku. Wszyscy są aktywnymi instruktorami. Wymienię ich najważniejsze funkcje. Szef zespołu odpowiedzialnego za organizację Jamboree. Kierowniczka wydziału w GK. Szefowa jednej z dużych inicjatyw międzynarodowych. Komendant hufca. Zastępczyni przewodniczącego Chorągwaniej Komisji Rewizyjnej. Członkini hufcowej KSI. Członek Chorągwanego Sądu Harcerskiego. Szef Hufcowego Sądu Harcerskiego. Szefowa zespołu kształcenia hufca.

CZUWAJ 6/2015

Wędrujemy, wędrujemy

Pamiętacie? *Wędrujemy, wędrujemy ścieżynami zielonymi, czy to w słońce, czy to w deszcz, wędrujemy po ojczyściej naszej ziemi, by ją zwiedzić wzdłuż i wszerz.* Tak – harcerstwo, szczególnie to starsze, to wędrownika. Wędrownika po swojej miejscowości, po okolicy, po Polsce.

Przez wiele lat co roku przez dwa tygodnie wędrowałem z plecakiem po Polsce. Zazwyczaj na południu kraju. Na wschodzie Tarnica, a właściwie granica kraju z ulubionym potokiem o nazwie Zgniłocha, na zachodzie Sudety, gdzieś za Szklarską Porębą. Nie wędrowałem sam, zawsze było nas kilkanaście osób. W okresie największego rozkwitu mojego szczepu organizowaliśmy dwa lub trzy obozy wędrowne. Ten drugi był rowerowy, kajakowy lub pieszy, ale w innym rejonie kraju.

Nikt już z naszych współczesnych wędrowników nie jest w stanie wyobrazić sobie, jakie mieliśmy wyposażenie. Jakie były plecaki, których paski raniły ramiona, jakie było obuwie, powodujące, że część z nas codziennie miała na stopach nowe bąble i otarcia. Nosiliśmy ze sobą kuchery i litry denaturatu, nosiliśmy kilogramy żywności, bo nie codziennie przechodziliśmy obok sklepu. Oczywiście inaczej było w Bieszczadach i Beskidzie Niskim, inaczej w Kotlinie Kłodzkiej. Ale zawsze były jakieś problemy. Choć, uwaga, uwaga, nigdy nie byliśmy głodni.

To była prawdziwa przygoda, którą planowało się pół roku wcześniej, bo zazwyczaj staraliśmy się zarezerwować trasę proponowaną w swoich schroniskach przez PTSM. Ale nie zawsze było to możliwe, trzeba było nocować w schroniskach PTTK lub liczyć, że znajdzie się miejsce do spania w jakiejś stodole. Aaaa... Wyobrażacie sobie, że nie było śpiworów? Że nosiliśmy ze sobą koce?

Z noclegami bywało różnie. Pod chmurką spałem raz czy dwa. Pamiętam, że w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej coś nam się nie udało i kilka nocnych godzin spędziliśmy na trawie. A w Beskidzie Niskim przyjęli nas więźniowie, gdyż tam poza obozami pracy innych skupisk ludzkich nie było. W Wąchocku gościli nas ojcowie cystersi. I jak oprowadzili po całym klasztorze! Co prawda dziewczęta nie mogły zajrzeć do wszystkich pomieszczeń, ale tak w klasztorach już jest.

Robiliśmy wszystko, aby wędrować w kierunku Krakowa (czyli z Bieszczad na zachód, z Beskidu Śląskiego czy Żywieckiego na wschód a w Jurze z północy na południe). I obóz kończyliśmy, wykorzystując resztki pieniędzy w krakowskiej „Jamie Michalikowej”. Tam jedliśmy lody, ciastka, piliśmy „na rachunek” kawę. Oczywiście byliśmy w mundurach, które w trakcie obozu nie były zbyt często wykorzystywane. Mundury były czyste! Nie, z Sudetów nie jechaliśmy do Krakowa, wtedy lody były we Wrocławiu. A w Górach Świętokrzyskich w Kielcach. Ale nic nie mogło nam zastąpić „Jamy...”.

Znam Polskę dzięki harcerstwu, najpiękniejsze szlaki, najpiękniejsze widoki, najpiękniejsze miejsca. Szkoda, że takie harcerstwo jest już tylko historią. A może jednak takie prawdziwe obozy wędrowne wróć? Ot, marzenia.

CZUWAJ 10-11/2015

Sukces za sukcesem...

Co, że pół wieku to bardzo długo? Że najstarsi ludzie nie pamiętają, jak to w harcerstwie było przed pięćdziesięcioma laty? Że należy patrzeć w przyszłość i robić swoje? Tak, tak. Długo, nie pamiętają i należy... Tylko że ja pamiętam. A jeżeli chodzi o przyszłość, to swoje robię. Tyle tytułem nostalgicznego wstępu.

A teraz już będzie o mnie. O moich najlepszych latach wyjętych z tego półwiecza. Bo każdy takie ma – lata sukcesów, radości, satysfakcji. Moje to była pierwsza połowa lat osiemdziesiątych (ubiegłego, co oczywiste, wieku). Już doświadczony, bardzo harcersko doświadczony, a jeszcze młody. Już znający harcerstwo od podszewki, ale chcący je zmieniać. I to jak! Oczywiście trzeba czasami trafić we właściwe miejsce o właściwym czasie. A był on trudny dla Polski i Polaków. Dla przypomnienia – to czas „Solidarności” i czas stanu wojennego, czas wielkiego polskiego buntu i czas nadziei.

Po pierwsze na początku lat osiemdziesiątych prowadziłem dobry szczerp starszoharcerski w dobrym hufcu. Mieliśmy się czym chwalić, mieliśmy własne wcześniejsze osiągnięcia: samodzielne obozy i zimowiska, udział w różnych ogólnopolskich konkursach, tradycję sięgającą 1912 r., akcje zarobkowe, umożliwiające dotowanie wszelkich imprez programowych, a także wychowanków, którymi mogliśmy się szczycić z hm. Janem Rossmannem i hm. Stanisławem Broniewskim „Orszą” na czele. Wielka harcówka, trzy magazyny. Nie tylko sprzęt obozowy, ale na przykład 30 par biegówek, które zabieraliśmy na zimowiska.

Po drugie od 1981 r. zaczęliśmy jako szczerp systematycznie bywać na różnych skautowych imprezach zagranicznych. Naszym sztandarowym osiągnięciem był wyjazd ponad 30-osobowej ekipy na 5 tygodni do Norwegii właśnie w roku 1981, między innymi na 20-tysięczny zlot skautowy. A nie były to czasy, gdy mogliśmy sobie jako harcerze (a także jako dowolna grupa Polaków) jeździć po Europie. Niewiele brakowało (ot, może dwóch tygodni) a nasza ekipa pojechałaby do Wielkiej Brytanii na samym początku stanu wojennego – latem 1982 r. Nie udało się. Ale w roku 1983 już na Zachodzie na obozie byliśmy.

Po trzecie zostałem zauważony przez nasze władze. Burzliwy rok 1981 wymagał burzących się instruktorów. Wcześniej nie byłem dobrze widziany.

Często doceniany, nagradzany, ale nie dostałem zaszczytu bycia delegatem na zjazd ZHP. A nuż coś gdzieś chłapnie? Byli ci „grzeczniejsi”. A tu co? Propozycja: – Może cię wybierzemy? – Zdziwiłem się wielce i zgodziłem. A później następnie kolejne zdziwienie: – Może jako jeden z trzech instruktorów z Warszawy będziesz kandydował do Rady Naczelnej? – No dobrze, dlaczego nie... (Pozostałymi dwoma byli druhowie hm. Andrzej Jaczewski, lekarz i pedagog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego i hm. Grzegorz Nowik, dziś w ZHR, dziś także profesor, świetny historyk). – A na zjeździe: – Wybierzemy cię do prezydium Rady (rada była ogromna, ponad stuosobowa, miała prezydium, w jej skład wchodził naczelnik i jego zastępcy – łącznie pięciu i grupa instruktorów „z terenu”). Kandydowałem jeszcze na funkcję zastępcy naczelnika, ale tam szans nie miałem. Uwierzcie, prezydium Rady Naczelnej autentycznie współkierowało organizacją.

Delegatem na zjazdu ZHP byłem aż do zjazdu bydgoskiego. Tam byłem przewodniczącym komisji uchwał i wniosków. Jeżeli wtedy zjazd podjął jakieś sensowne decyzje, to ja przyłożyłem do nich nieco swej wiedzy i umiejętności.

Po czwarte Jola Chelstowska, organizująca nowe czasopismo instruktorskie „Drużyna”, zaproponowała mi (a był to rok 1982) redagowanie mutacji starszoharcerskiej „Na Tropie”. Jako długoletni redaktor zajmujący się produkcją książek z radością się zgodziłem. Nie musiałem przychodzić do pracy na określoną godzinę i podpisywać listy obecności. Ale przede wszystkim po czasach HSPS-u robiliśmy normalne harcerstwo w szkołach ponadpodstawowych i nasze/moje pismo było dla wielu dużą pomocą. Gdy dziś przeglądam stare numery, aż dziwię się, jak aktualnie brzmi wymowa wielu wówczas drukowanych artykułów.

Jako członek prezydium Rady Naczelnej a później szef „Na Tropie” byłem szefem ofensywy starszoharcerskiej. Niestety nie przyniosła ona spodziewanych efektów, ale wymyśliliśmy ją przed ogłoszeniem stanu wojennego i mieliśmy ją realizować w czasie, gdy pracować po prostu było trudno. Stan wojenny nie ułatwiał społecznego dobrego działania.

Tak, miałem swoich kilka lat. Jako szczepowy, członek władz naczelných i harcerski dziennikarz. Kilka najlepszych lat. Czego i Wam w trakcie sumowania mojego ponad pół wieku instruktorskiej służby serdecznie życzę.

Nie pisałem pamiętników

Tak, strasznie żałuję, że przez minione pół wieku nie pisałem pamiętników. Ileż to faktów wypada z pamięci. Przeglądałam książeczkę druha Leona Dmytrowskiego, zasłużonego zuchmistrza, o historii ruchu zuchowego (nasza hufcowa kadra zuchowa poprosiła mnie o poprowadzenie zajęć na kursie drużynowych, stąd ta lektura) i co ja widzę? Własne nazwisko. Jestem cytowany! Okazało się, że w 1965 roku (tak, tak, ponad 50 lat temu) w „Zuchowych Wieściach” (był to miesięcznik metodyczny docierający do części drużynowych zuchowych) odkryłem, jak napisał autor książki, „bolesną prawdę”. Brzmiała ona: *Wydaje mi się, że fakty te nie miałyby miejsca, gdybyśmy w niektórych hufcach nie tylko zwiększali liczbę dzieci zorganizowanych w drużynach zuchowych, lecz również polepszali jakość pracy.* Ileż refleksji budzi ten cytat! Odkrywa pokłady wspomnień.

Byłem aktywnym uczestnikiem ówczesnych zuchowych zmian. Jak widać (czego nie pamiętałem!), wypowiadałem się też w piśmie na piśmie! Trwała Ofensywa Zuchowa. Bardzo potrzebna. Druhowie w Głównej Kwaterze, ale i wielu instruktorów w Polsce stwierdziło, że takie będzie harcerstwo, jakie będą drużyny zuchowe. Że najważniejsze są zuchy, że od zuchów należy dochodzić do szarż (tych instruktorskich). Ofensywę ogłoszono w roku 1957, kolejne jej etapy realizowano wolno, lecz z niezłymi skutkami. I byłoby dobrze, gdyby nie wskaźniki ilościowe, które postawiono przed komendami w ramach trzeciego etapu ofensywy. W hufcach i chorągwiach należało najpierw uzyskać 30, a przy zakończeniu ofensywy 50% zorganizowania. Połowa dzieci w wieku zuchowym miała należeć do harcerstwa!

Wtedy, gdy pisałem artykuł do „Zuchowych Wieści”, walczyliśmy (wszak to była ofensywa) o owe 30%. Liczebność uzyskaliśmy (w roku 1966 mieliśmy w ZHP pół miliona zuchów), ale z jakością było źle. Prawda nie była odkrywcza, raczej było to wyjątkowo banalne stwierdzenie: ilość musi być powiązana z jakością. Nie była też, jak napisał druha Dmytrowski,

bolesna. Zauważmy, jak łagodnie wyraziłem swoją opinię: „Wydaje mi się” zamiast „Wszyscy widzimy”, „w niektórych hufcach” zamiast „w większości hufców”.

Wtedy, w połowie lat sześćdziesiątych, nasz hufiec, Warszawa-Praga-Południe, mógł się poszczycić dobrze pracującym kręgiem instruktorów zuchowych „Praskie Świerszcze”. Braliśmy udział w ogólnopolskich zlotach kręgów, w rywalizacjach w chorągwi. Spokojnie mogłem sobie pozwolić na negatywną ocenę innych hufców, bo u nas autentycznie pracowaliśmy „po zuchowemu”. Z obrzędowością, zgodnie z metodą, wydając własną gazetkę. Z nieprawdopodobnym zapalem. I szkoliliśmy kadrę! Krąg „Praskich Świerszczy” latem 1966 r. zorganizował kursy, w których (w dwóch obozach) wzięło udział około sześćdziesięciorga uczestników. Z tej grupy, wiadomo, około połowa mogła już we wrześniu zacząć prowadzić drużyny. Jeden z tych obozów prowadziłem ja. Pozostało po nim kilka zdjęć, okruchy wspomnień. Piękne to były czasy.

I jako pointa jeszcze jedna refleksja. Czy w naszej malutkiej w porównaniu z czasami w połowie lat sześćdziesiątych organizacji, gdzie dziś trudno mówić o wskaźnikach ilościowych i gdzie cieszymy się, że w Ewidencji jest nas 100 tysięcy, wszędzie polepszamy jakość pracy? A gdybyśmy polepszyli jakość pracy, czy nie byłoby nas więcej? Ot, takie pytania retoryczne, które też mogą być „bolesną prawdą”.

CZUWAJ 2/2016

Z okazji 70-lecia harcerstwa

W poprzednim numerze „Czuwaj” sumowaliśmy naszą formalną drogę powrotu do światowego skautingu, nasze minione 20-lecie, pisaliśmy o naszych – organizacji – planach na przyszłość. I wydaje mi się, że nie udało nam się wydobyć, wyeksponować jednego z najbardziej charakterystycznych, ba, najważniejszych dla skautingu elementów programu – systematycznego organizowania zlotów. Nie, nie takich jak Złoty Grunwaldzkie (z całym szacunkiem dla przeszłości i przyszłości tych imprez), ale takich, jak zlot w Spale. A więc zlotów, o których mówić się będzie przez lata, sumować, analizować, wspominać. Zlotów, które dla kolejnych pokoleń będą najważniejszym harcerskim przeżyciem. Zlotów autentycznie całej organizacji.

Niestety nasze zloty organizowane są inaczej niż w skautingu, bo z określonych okazji. Niby systematycznie, ale są imprezami okazjonalnymi. Ot, co kilka lat skrzykujemy się na wielkiej imprezie, bo mamy jakąś konkretną rocznicę. Zupełnie inaczej jest w skautingu. Popatrzmy na skauting w Norwegii. Piszę o nim, bo przez wiele lat mój szczerp współpracował z jednym z norweskich środowisk. Po wielkim zlocie krajowym, w którym bierze udział cała organizacja, a właściwie wszyscy skauci, bo maluchy nie są zapraszane do spania pod namiotami, kolejnego lata organizowane są obozy (fakt – krótkie, trwające około tygodnia) drużyn lub szczerpów. Rok później odbywają się obozy hufca, następnie obóz/zlot chorągwi i po czterech latach znów zlot całej organizacji. Ten rytm jest stały, niezmienny. Zmieniają się tylko miejsca zlotów, ale w ekipach organizujących kolejne imprezy zmiany personalne nie są tak wielkie. O plusach takiego rytmu można napisać odrębny felieton.

Z naszych współczesnych zlotów, w których uczestniczyłem, pierwszym był krakowski z okazji 70-lecia harcerstwa. Krótki, wrześniowy, na krakowskich Błoniach zlot zastępów. Może pamiętacie, że uważam rok 1981 za kluczowy w naszym powrocie do korzeni harcerstwa. Ten zlot zaplanowany został przez harcerstwo krakowskie, tradycyjne, promujące

wartości zapisane w naszym Prawie i Przrzeczeniu. Nie była to impreza wymyślona przez harcerską centralę! To nowatorstwo całkiem niebywałe! GK ZHP musiała zaakceptować fakt, że Krąg Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego przeprowadzi zlot. Pamiętajmy, że kręgi KIHAM-u były niepokorną częścią naszej organizacji. Zlot był z okazji 70-lecia, ale moim zdaniem był symbolicznym początkiem, sygnałem, że jesteśmy częścią światowego skautingu.

Z tamtego zlotu pamiętać będę kilka obrazów – najpierw entuzjazm i radość, że taki zlot zorganizować się udało. Apel 300 czy 400 zastępów (historycy harcerstwa znają ich dokładną liczbę). Ale przede wszystkim wspominam ognisko poprowadzone w nadzwyczajnej, niepowtarzalnej, podniosłej atmosferze w nieprawdopodobnie malowniczym miejscu – w krakowskich Skałkach Twardowskiego. Było nas tam co najmniej 5000. Zasluchanych w stare piosenki i opowieści. Na temat historii harcerstwa gawędy wygłosiło kilku instruktorów, lecz tam tradycja, jaką reprezentował naczelnik Szarych Szeregów hm. Stanisław Broniewski, spotkała się ze współczesnością w osobie naczelnika ZHP hm. Andrzeja Ornata. Przeszłość zaplotła węzeł z przyszłością. Bardzo tego przez ostatnie lata w harcerstwie brakowało.

Zlot 70-lecia przypomniał nam, że w ZHP są działające zastępy, że stać nas na biwakowanie w warunkach polowych, że harcerska msza (wówczas w katedrze na Wawelu) jest czymś normalnym. Młodszy czytelnicy zapytają, coż to takiego nadzwyczajnego. Tak, ale pamiętać trzeba, że dla polskiego harcerstwa to była nowość (zastrzegam, że nie dla harcerstwa w dużych miastach, gdzie było dużo normalnie działających środowisk). Dla harcerstwa owa normalność była odkryciem. A dla mnie, powtórzę, pierwszym krokiem do powrotu do światowego skautingu.

CZUWAJ 3/2016

O harcerskich włosach i nie tylko

Dawno, dawno temu, w czasach, których już nikt nie pamięta... – no może nieliczni, ale duża część uczestników tych wydarzeń ma sklerozę, która usunęła z ich pamięci większą część wspomnień – a więc dawno, dawno temu żył był sobie komendant hufca, który odpowiadał najpierw za tysiąc, później za dwa tysiące a na koniec za dziesięć tysięcy zuchów, harcerek i harcerzy.

Komendant nasz (a postury był niewielkiej) wśród swej kadry (też i u harcerzy) siał strach i przerażenie. Rządził żelazną ręką i (o dziwo!) miał sukcesy. Bo skąd by się wzięło owych dziesięć tysięcy członków? Nie tylko z woli miłośnicwie nam panującej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Aczkolwiek roli partii bym tak całkiem nie lekceważył.

Groźny nasz komendant wymyślił na początku swego komendantowania, że musimy być dobrym hufcem, najlepszym. Że musimy być prawdziwymi harcerzami. Nie tylko przestrzegając Prawa Harcerskiego, ale musimy mieć właściwe obozowe wyposażenie i odpowiednie, regulaminowe umundurowanie. Dlatego gdzieś w połowie czerwca jechaliśmy z plecakami na jakąś polaną całym hufcem, aby pokazać się naszemu komendantowi. I nie było „zlituj się”, nie było buntów, przecież nasz gromowładny mógł nie przydzielić nam pełnej obozowej dotacji lub (zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, bo wszystko było na piśmie zatwierdzone) zrobić nam jakąś inną „krzywdę”.

W plecaku musieliśmy mieć koc, menażkę, siennik, linkę do wyplatania pryczy. Ot, takie wyposażenie, które trzeba było kupić lub zdobyć przed obozem. Z kocem było ciekawie, ponieważ zazwyczaj był on zrolowany i przyczepiony na plecaku. W czasie zbiórki gotowości musieliśmy się wykazać umiejętnością rolowania. Idealny był taki, który zrolowany i rzucony w górę po złapaniu nie rozpadł się. A jak ów zrolowany koc wyglądał, możecie sobie obejrzeć w dawnych poradnikach. Pamiętajcie. Śpiworów nie było, materacy podgumowanych też. Tylko sienniki, które po przyjeździe na obóz napychało się słomą.

A co z włosami? Tu powinienem oddać głos Rysiowi, który – artysta – miał długie włosy noszone niedbale. Druh komendant długich włosów nie tolerował, oczywiście u chłopców. W czasie zbiórki gotowości wydobywał tych z kudłami pod rogatywkami i... wysyłał do fryzjera. Jakich to sztuczek nie wymyślał Rysio, aby zachować swoje artystyczne włosy! I wyobraźcie sobie, zazwyczaj udawało mu się oszukać komendanta. Ale Rysio był jeden, tych, którzy nie zaliczali zbiórki gotowości – dziesiątki. Bo przecież na tej zbiórce stawiał się tysiąc czy dwa tysiące harcerzy! Nie, dziewcząt takie restrykcje nie obejmowały, ale pamiętać trzeba, że wszyscy musieliśmy być wzorowo umundurowani. Wystarczyło niewłaściwe obuwie, aby odpaść i pojawiać się na „poprawce” zbiórki gotowości.

Dlaczego o tym piszę, sumując moje minione pół wieku instruktor-skiej służby? Bo te czasy już nie wrócą? Bo nie mamy komendantów z autentycznym autorytetem? Bo dziś nie chciałoby nam się pojechać na taką zbiórkę? Bo są już inne czasy, gdy obozowanie to sama przyjemność? Bez wysiłku i autentycznych wyzwań? Ileż pytań. No tak, i pamiętać musimy, że te piękne czasy, gdy obowiązywały harcerzy krótkie włosy, już nie wrócą. I dobrze.

PS 2025: Wspomniany tu hm. Ryszard Jakubisiak odszedł w 2023 r. na wieczną wartę. Był długoletnim szefem amatorskiego teatru Parabuch i wicedyrektorem warszawskiego Teatru Powszechnego.

CZUWAJ 4/2016

Mój dom, numer, moja ulica...

To było równo pół wieku temu. Nasza chorągiew przygotowywała się do przyjęcia imienia Bohaterów Warszawy. Programowo i organizacyjnie. Był rok 1966. Do wielkiej uroczystości, jaka miała miejsce na stadionie Legii, mieliśmy jeszcze sporo czasu. W komendzie chorągwi najtęższe głowy (co ja między nimi robiłem, kto mnie tam zaprosił?) zastanawiały się, jak przygotować drużyny i szczepy do ważnej imprezy, do nadania imienia i wręczenia chorągwi nowego sztandaru. Myśleliśmy o wspólnych zadaniach programowych – takich dla wszystkich zuchów, harcerzy i harcerzy starszych. Nie było to proste. Przecież bohaterowie naszego miasta to dla nas przede wszystkim żołnierze z czasów II wojny światowej. I wybijający się w harcerskiej tradycji członkowie Szarych Szeregów. Jednak nie mogliśmy zapomnieć o ludziach, którzy dwadzieścia lat wcześniej odgruzowywali nasze miasto po wojennych zniszczeniach. Nie mogliśmy zapomnieć o bohaterach tamtych dni. Jak sensownie powiązać dzieje wszystkich bohaterów warszawiaków w jednym programie?

Tu potrzebna jest dygresja. Ważna dla młodszych czytelników. W tamtych latach (ZHP liczył ponad 1,5 miliona członków) byliśmy przyzwyczajani do realizowania wspólnego harcerskiego programu. Czasem hufca, czasem chorągwi, a niejednokrotnie całego ZHP. Takimi sztandarowymi ogólnozwiązkowymi zadaniami od 1965 roku były alerty Naczelnika ZHP, zazwyczaj powiązane tematycznie z istotnymi dla państwa rocznicami. Ten pierwszy to „Alert Zwycięstwa – Harcerski Zwiad Wiosenny”. W dwudziestą rocznicę zakończenia wojny między innymi oddaliśmy hołd ludziom, którzy polegli na polskich ziemiach walcząc z Niemcami. Efekt tego alertu był zdumiewający. Na przykład harcerze zgłosili około sześciu tysięcy niewpisanych do rejestrów miejsc męczeństwa oraz grobów z okresu wojny. Rok później realizowaliśmy program „Harcerskie Wici Tysiąclecia” wraz z zadaniami II Alertu „Ludzie naszych czasów”. Jasne było, że harcerstwo musiało się włączyć aktywnie do obchodów 1000-lecia naszej państwowości. I tak dalej, i tak dalej.

Gdy zastanawialiśmy się, jak przybliżyć naszym zuchom i harcerzom bohaterów Warszawy, wpadliśmy na pomysł najprostszy z możliwych. Ci bohaterowie przecież żyją obok nas. W naszym domu, przy naszej ulicy. Trzeba ich tylko odnaleźć.

Tu dygresja numer dwa. Uważałem i uważam nadal, że poznawanie świata, także w harcerstwie, powinno mieć swoistą logikę. Dlatego zuchy najpierw powinny poznawać najbliższe i znane im zawody – listonosza, strażaka, lekarza. Dlatego zwiad zuchowy prowadzi na pocztę czy do przychodni zdrowia. Harcerze powinni patrzeć dalej – to oni organizują sobie rajdy i wycieczki, czasem w odległe rejony Polski. Im starsi, tym dłuższe, dające więcej wiedzy i przeżyć. Nie będę rozwijał tu tematu. Po prostu w poznawaniu świata powinna być jakaś logika. Musimy coś wiedzieć o sobie, aby poznawać innych. Dziś owa logika jest zachwiana. Nie musimy znać swojego miasta, by pojechać na obóz skautowy. A to, że naszym przyjaciółom skautom o naszej ziemi ojczystej nie umiemy zbyt wiele powiedzieć, tym się nie przejmujemy.

Wróćmy do roku 1966. Usiadłem przy opracowywaniu koncepcji programu „Mój dom, numer, ulica”. To proste. Zastępy harcerskie miały tworzyć coś w rodzaju monografii jednej ulicy, jednego osiedla, jednego placu. Tego miejsca, które można nazwać małą, raczej malutką ojczyzną, tą harcerzom autentycznie najbliższą. Zadanie jedno – odwiedzać sąsiadów, szukać dziadków, którzy byli żołnierzami, szukać babć działających w podziemiu, pytać o trud odbudowy stolicy. W trakcie odwiedzin robić z nimi wywiady, notować (przecież nie było przenośnych magnetofonów). Tych, których harcerze uznali za bohaterów lub po prostu za osoby ciekawe, zapraszać na zbiórki. Owa monografia ulicy to nie tylko spisane rozmowy, to zdjęcia budynków, krajobrazu, to opis obiektów użyteczności publicznej, to odtwarzanie historii ulicy od jej powstania. Jakież to było wdzięczne dla harcerzy zadanie. Czy mam wymieniać, jakie można było przy okazji zdobyć sprawności? Jakie zaliczyć wymagania na kolejny stopień harcerski? Ale najważniejsze było, iż harcerze przekonali się, ilu ciekawych ludzi mieszka wśród nas. Tych, których można także było nazwać bohaterami Warszawy.

W drużynie, która była mi bliska, bo ją kiedyś współprowadziłem, powstała monografia ulicy, przy której mieszkałem. Harcerze znaleźli tylko jednego starszego już instruktora harcerskiego, okazało się, że wówczas zaangażowanego w działalność Nieprzetartego Szlaku. Ale za to mieszka-

ło przy niej aż trzech artystów – malarz, rzeźbiarz i twórca plakatów. Była jedna ambasada i dom modlitwy tajemniczego wyznania. W najpiękniejszej kamienicy, która mogłaby być siedzibą ambasadora, mieszkaly chyba najbiedniejsze w okolicy rodziny. Harcerze się zdziwili. Ale prawdziwy były polski ambasador też się znalazł kilka budynków dalej. No i jeszcze harcerze odkryli starsze małżeństwo – byli to państwo Alina i Czesław Centkiewiczowie – kto nie czytał „Anaruka, chłopca z Grenlandii”? Niby nic, a łącznie dla harcerzy wielka przygoda.

Wiele lat później, był to już początek XXI wieku, wziąłem udział w uroczystości harcerskiej w warszawskim Instytucie Głuchoniemych. Działiał tam pod kierownictwem hm. Wandy Tazbirówny świetny Szczep „Tęcza”. (Pomniczek druhny Wandy stoi dziś na dziedzińcu instytutu, upamiętniając tę niezwykłą instruktorkę). Impreza połączona jest z wystawą pamiatek. I co ja widzę? Tak! Plac Trzech Krzyży, gdzie mieści się siedziba szczepu, obfotografowany i opisany w ramach programu „Mój dom, numer, ulica”. Po tylu latach zachowały się w „Tęczy” materiały z roku 1966. Musiały one coś w tym środowisku znaczyć, jeżeli nikt ich przy kolejnym sprzątnięciu nie wyrzucił na makulaturę. Ciepło zrobiło mi się na sercu.

Zauważcie, o czym piszę. Był jasny cel tego programu. Była czytelna forma. Zadania dla drużyny mogły być bardzo proste i w zależności od poziomu zespołu – niesłychanie trudne. Była możliwość łatwego podsumowania. A do tego ile efektów! Nawiązane znajomości i przyjaźnie. Promocja harcerstwa. Zdobycie wiedzy (moi harcerze dowiedzieli się, jak powstaje rzeźba i jak pomnik). Program ten jest dla mnie pewnym wzorem, przykładem, że można, że trzeba z harcerzami realizować w drużynach takie zadania, które dotyczą najbliższych nam spraw. Ten świat na wyciągnięcie ręki też jest ciekawy! I powinniśmy go znać. A dziś czy ktoś z Was spróbuje ze swymi wychowankami popatrzeć na współczesny „Mój dom, numer, ulicę”?

CZUWAJ 5/2016

„Trójka” w skautingu

W trakcie mojej ponad półwiecznej instruktorskiej służby duży szmat czasu zajęły mi kontakty zagraniczne. Z harcerzami ze Wschodu, ze skautami z Zachodu. Na początku czerwca przyszła do redakcji „Czuwaj” Ewa z Muzeum Harcerstwa. – Mamy tu zdjęcie, jesteś na nim, opisz je. – A na zdjęciu trzydziestokilkusobowa reprezentacja warszawskiej „Trójki” w czasie pierwszego powojennego wyjazdu na obóz skautowy. Rok 1981. Czy był ktoś, kto wówczas myślał o powrocie ZHP do WOSM i WAGGGS? Wątpię.

Pamiętam to zdjęcie. Zrobiono nam je już po zwinięciu namiotów na zlocie w norweskim Asnes. To końcówka naszego pobytu. W trakcie spotkania w harcówce (a może lepiej powiedzieć – domu skautowym) miejscowego szczepu niespodziewanie dostaliśmy podarunki. Powiedzielibyśmy dziś „od pewnego sponsora”. W ładnie zapakowanej torebce każde z nas otrzymało na pamiątkę mały norweski kamyk, małą symboliczną norweską flagę i małą norweską... szynkę w puszcze. Dziwicie się? Warto przypomnieć sobie ten fragment współczesnej historii Polski. Mięso i cukier na kartki, w Warszawie po ulicy kroczące kobiety z dziećmi w tzw. marszu głodowym. Myśmy wówczas naszemu fundatorowi byli autentycznie wdzięczni. Mógł przecież podarować nam jakieś kubeczki lub serwetki.

Ten zlot był dla nas wielkim przeżyciem. Pierwsza konfrontacja ze skautingiem od czterdziestu lat. Tak, tak, nasi poprzednicy z „Trójki” oczywiście uczestniczyli przed wojną w Jamboree na Węgrzech, w Holandii i w Zlocie Skautów Słowiańskich w Pradze. Ich reprezentacja każdorazowo była większa niż nasza. Ale to bardzo dawne czasy. Tym razem było to lato naszej wielkiej przygody. Aby „zarobic” na pobyt na dziesięciodniowym zlocie (przecież nie byliśmy w stanie wpłacić za pobyt 200 czy 300 dolarów!) przez ponad dwa tygodnie byliśmy w Norwegii „drużyną kwatermistrzowską”. Oczywiście nie sami budowaliśmy infrastrukturę dla 20 000 skautów. Latryn z tamtych czasów dziś żaden sanepid by nie zaakceptował. Ale stoły, ale ławy dziś też na każdym obozie byłyby znakomitą sprzątką. Nie, nie były wiązane. Zbijaliśmy dziesiątki takich urzą-

dzeń i wiercie mi, była to trudna fizyczna praca. Robiliśmy różne rzeczy – a to karczowanie jakichś zarośli, a to rozstawianie wielkich hangarów, w których umieszczono sklepy i magazyny. Chodzenie (ba, pracowanie) na wysokości drugiego piętra bez specjalnych zabezpieczeń i łączenie wielkich aluminiowych konstrukcji było dla niektórych wyzwaniem.

Nie dziwiliśmy się niczemu. Ani temu, że 22 lipca dostaliśmy od mieszkanki pobliskiej wsi dwie piękne, powiedzielibyśmy „ludowe” chałki, ani temu, że zaproszeni na norweską ucztę zostaliśmy poczęstowani czymś w rodzaju kaszki manny z cynamonem, która okazała się wykwintnym norweskim deserem. Nie dziwiliśmy się, że Norwegowie, gdy chcieliśmy im ugotować tradycyjny polski czerwony barszcz, nie potrafili w promieniu wielu kilometrów zdobyć normalnych buraków. Nie dziwiliśmy się, poznając inne obyczaje, zawierając przyjaźnie, przyjmując na kawie pielgrzymki instruktorów skautowych z całej Europy. O obozie w Asnes mogę napisać długą opowieść. Bo nie tylko poznawaliśmy skauting od podszewki, ale i dość obcy nam świat znany przede wszystkim z lektur. Wtedy, latem 1981 roku my, „Trójka” z Warszawy, weszliśmy do ruchu skautowego i w nim przez długie lata byliśmy. Dziś jest cały Związek, ale Związek wszedł do skautingu znacznie później. I dobrze.

CZUWAJ 6/2016

Nasi bohaterowie

Drużyny harcerskie miały swych bohaterów „od zawsze”. Pewnie niewielu czytelników „Czuwaj” wie, że w zamierzchłych czasach, przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, powstawały drużyny skautowe noszące po prostu imiona.

Moje aktualne środowisko harcerskie powstało w Warszawie przy prywatnej szkole Emiliana Konopczyńskiego w roku 1912 i po prostu było drużyną im. x Józefa Poniatowskiego. Przed imieniem księcia musiał być x, a nie ks. Dlaczego? Nasi najstarsi druhowie kiedyś nam tę tradycję przekazali i tak zostało. Dopiero po odzyskaniu niepodległości, gdy gimnazjum przekształcono w szkołę państwową im. Adama Mickiewicza, dostaliśmy numer „3”. To czysty przypadek – nie byliśmy ani pierwszą ani trzecią drużyną, która powstała w Warszawie – byliśmy jedną z pierwszych. I imię księcia nosimy do dziś.

A inne drużyny? Te, które przez rok czy dwa realizowały akcję „Bohater”? Te założone przed kilku lub kilkudziesięciu laty, ale po roku 1956? Tak, miały i mają różnych bohaterów. Był w hufcu szczep czy drużyna imienia Zawiszy Czarnego, Janusza Korczaka, Alka Dawidowskiego – tacy bohaterowie byli w harcerstwie powszechnie akceptowani. Nic nowego pod słońcem. Mamy też szczep im. Szarych Szeregów.

Hufiec przyjął (i nosi je do dziś) imię 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki – tej, co to od Lenino do Berlina, tej, której żołnierze wysłani zostali z warszawskiej Pragi na pomoc walczącym powstańcom (i zginęło ich ponad 2 tysiące). I jak grzyby po deszczu środowiska, które nie miały bohaterów, zaczęły przyjmować imiona dzielnej porucznik Lucyny Herc lub bohaterskiego kapitana Eugeniusza Oksanicza. Jak te szczepy pracowały ze swymi bohaterami? Nie wiem i wiedzieć już nie będę. Cóż, po przyjęciu imienia przez hufiec dobrze byli widziani bohaterowie dywizji. To historia. Ani jedno środowisko tych imion już nie nosi.

Dziś sytuacja unormowała się. I chciałbym zauważyć, że dwa szczepy w naszym hufcu, które mają nowych bohaterów, wybrały sobie postacie wyjątkowo piękne. Jedną z nich jest Stanisław Sieradzki „Świsł” – bohater Powstania Warszawskiego, jeden z najlepszych gawędziarzy w ZHP,

człowiek kryształowy, który pomimo wielu krzywd, jakich zaznał w życiu, był prawdziwym optymistą. Drugim jest Stanisław Jankowski „Agaton” – cichociemny a po wojnie wybitny architekt warszawski. Wzór dla wszystkich harcerzy.

Dlaczego o nich dziś piszę? Bo nasze drużyny są zapatrzone w tych, którzy polegli w czasie wojny. A może warto popatrzeć na tych, którzy przeżyli i przez lata uczciwie pracowali, mieli w życiu nie tylko sukcesy wojenne? Może warto wzorować się na takich osobach jak hm. Stefan Mirowski?

CZUWAJ 9/2016

Ze stopniami instruktorów różnie było

Oj, było różnie. W czasie minionych pięćdziesięciu lat regulaminy i cały system zdobywania stopni instruktorskich zmieniał się. I to jak! Cofnijmy się w czasie nieco ponad pół wieku. Jest pierwszy styczeń roku 1962. Schronisko harcerskie na Głodówce. Około stu młodszych i starszych członków kadry Hufca Praga-Południe bawi się w noc sylwestrową. My – drużynowi zuchów – przyjechaliśmy saniami z Poronina. Mieliliśmy świetny kulig, cała droga zaśnieżona.

Nagle koło piątej nad ranem – alarm mundurowy – już było wiadomo, dlaczego mieliśmy je ze sobą zabrać... Apel i rozkaz. Druh Czetwertyński od dnia dzisiejszego jest przewodnikiem. Niespodzianka. Ale nie taka jak dziś, gdy staramy się zorganizować składanie Zobowiązania Instruktorskiego jako niezapowiedziane dla zainteresowanego wydarzenie. Niespodzianka w pełni – przecież ja stopnia tego nie zdobywałem! No, może nie do końca. Pracowała przecież w hufcu komisja stopni, na pewno narażać się, czy już jestem na poziomie instruktora-przewodnika. Ale narażać się beze mnie. Wcześniej byłem w Zuchowej Chałupie w Cieplicach na kursie, założyłem drużynę, byłem ze swoimi chłopakami na kolonii, w drugim roku pracy drużyny miałem już spore sukcesy. I nagle (było to bardzo miłe) wręczono mi granatową podkładkę pod krzyż.

Tak, takie były czasy. Stopnie instruktorskie traktowane były niemal jak stopnie wojskowe. Przyznawane „za zasługi” przez właściwe gremia. W takim samym trybie otrzymywałem (zdobywałem?) kolejne – podharcmistra, harcmistrza i ów honorowy stopień harcmistrza Polski Ludowej. I pomimo że taki był tryb przyznawania stopni, wydaje mi się, że nasza KSI nie popełniała błędów. Harcmistrzami byli autentycznie prawdziwi mistrzowie harców.

Gdy wprowadzono zdobywanie stopni, gdy zaistniały programy i karty prób, a więc w latach siedemdziesiątych, zaczęto tworzyć komisje stopni w szczepach. Dlaczego? Miały one przede wszystkim prowadzić próby dla młodych. Zostawali oni organizatorami – nosili białą podkładkę pod Krzy-

żem Harcerskim. Myśmy w szczepie mieli prawo prowadzenia także prób przewodnikowskich. Cóż, organizacja była ogromna, kadry jak zwykle za mało. Ta młodzież instruktorska, która złożyła zobowiązanie, była bardzo potrzebna. Kilku „naszych” instruktorów rocznie – organizatorów i ze dwóch przewodników – takie były wyniki pracy szczepowego gremium. Lata siedemdziesiąte – dla naszego szczepu czas sukcesów.

Tak, system stopni instruktorskich zmieniał się kilka razy. Nie da się ukryć – dziś wymagamy od instruktorów bardziej świadomej służby, większej wiedzy, dużych umiejętności. W rzeczywistości strasznie to trudne i skomplikowane. Ale taki jest świat. Przed pięćdziesięcioma laty żyło nam się prościej i łatwiej. I to już nie wróci.

CZUWAJ 10/2016

Kursy, kursy, kursy...

Kilka dni temu, a piszę ten tekst w listopadzie 2016 roku, prowadziłem zajęcia na kursie dla bardzo młodych harcerzy, dla gimnazjalistów. Nie mogę się nachwalić, jacy oni są wspaniali. A mają statystycznie po 15 lat. Byli na obozach, na rajdach, uczestniczą co tydzień w zbiorce harcerskiej. Są uśmiechnięci, aktywni, myślący. Potrafią składnie się wypowiadać. Byli zuchami, a więc harcerstwo dla nich nie zaczęło się przed dwoma laty, lecz przed siedmioma. Naprzeciwko gimnazjalistów ja – szkolący przyszłych instruktorów ponad pięćdziesiąt lat.

Czuję się nieco jak dinozaur, bo przypominam sobie, jak taka sama grupa siedziała ze mną w 1963 r. na zimowisku w Szczyrku a ja tłumaczyłem, jakie są główne zadania drużynowego zuchów. I na obozie w 1966 r., gdy nasz hufiec zorganizował zgrupowanie obozów szkoleniowych koło Szczytna, a ja byłem jednym z pięciu komendantów. I na zimowisku w Białym Dunajcu dwadzieścia kilka lat później. Itd., itd. Dawne czasy.

Jak wtedy było? Przed laty? Prosto. Bardzo prosto. Nikt specjalnie nie zwracał uwagi na sposoby przekazywania wiedzy i umiejętności. Trzeba było harcerzy nauczyć, jak pisać plan pracy (i kursanci pisali), jak zaplanować cykl sprawnościowy (i cykle powstawały – znakomite), jak powinna przebiegać zbiórka. To było takie jasne. Przecież nie musieliśmy zaznajać harcerzy z busolą, uczyć musztry, tłumaczyć symboliki krzyża harcerskiego. To oni znali. A kurs trwał całe zimowisko lub (co było lepszym rozwiązaniem) organizowany był w trakcie 26-dniowego obozu. Obozu, gdzie mieliśmy w praktyce normalną służbę w kuchni (oj, to obieranie ziemniaków!), wartę nocną czy trzydniowy rajd. I, co oczywiste, codzienne ognisko lub kominek.

To zdumiewające, ale siedzieliśmy pod sosną i słuchaliśmy (albo harcerze siedzieli pod sosną i słuchali mojej opowieści), jak pracować w harcerstwie, jak prowadzić drużynę. I drużyny nie działały gorzej niż dziś. Ciekawe, dlaczego. Bo nie było komputerów, tablic multimedialnych, internetu, projektów, form aktywizujących, nagranych piosenek, gier strategicznych i planszowych. Nawet nie było kolorowych karteczek do przyklejania na szary papier. I było znakomicie! Była atmosfera, bardzo dobra atmosfera.

Tak, nudno naprawdę nie było. Ot, było inaczej. Nie wiem, czy nie atrakcyjniej. Bo bardziej autentycznie. Jakoś prawdziwiej, normalniej. I oczywiście trudniej. Nie mieliśmy dokumentów o stawianiu wyzwań, po prostu te wyzwania były przed nami. Na kursie, na obozie, na rajdzie. Na zbiórce. Nie mieliśmy tylu papierów, nawet metoda harcerska była jakaś prostsza. Cóż, nie znaleźliśmy tekstów Ewy Grodeckiej.

Prowadziłem zajęcia na listopadowym kursie dla młodych i zastanawiałem się, jak daleko jesteśmy od czasów sprzed pół wieku. Tak – jeżeli chodzi o technikę, szeroko rozumianą technikę oraz metody prowadzenia zajęć – bardzo daleko. Ale, o dziwo, harcerstwo jest takie samo. Po prostu takie samo. Bardzo mnie to cieszy.

PS: Budynek w listopadzie był niedogrzany, temperatura około 15 stopni. Bardzo to nasi kursanci odczuli. Przypomni mi się kurs w Poroninie, w latach sześćdziesiątych. W sypialni na ścianach lód, zamrożnięta woda w sedesie. I nikomu nie było zimno. Takie były czasy.

CZUWAJ 11/2016

Burzyciele? Nowatorzy?

Od czasu do czasu w naszym Związku wraca historyczny temat HSPS-u, czyli Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej. I to w różnych aspektach, choć zazwyczaj w formie odcinania się od tamtych czasów i tamtej nazwy. „Myśmy nigdy nie przyjęli tego programu, myśmy nigdy nie byli HSPS-em” – czytamy w tekstach starszych już druhen i druhów. Wierzę w te zapewnienia. To całkiem zrozumiałe. Przecież większość drużyn i szczepów w szkołach ponadpodstawowych była kolosami na glinianych nogach i po 1981 roku stopniowo rozpadała się. Pozostały dziś w harcerstwie środowiska silne, najczęściej z dłuższymi tradycjami. A one tak naprawdę cały czas – i w trudnym okresie ograniczenia wieku szeregowych członków organizacji do 16 roku życia, i w trudnym czasie (choć z zupełnie innych powodów) HSPS-u – dawały sobie samodzielnie radę. I dają sobie radę dziś. Uwaga najmłodszy czytelniku „Czuwaj” – piszę cały czas o drużynach, które nazywaliśmy przed laty starszoharcerskimi, a dziś nazywamy wędrowniczymi.

Czy jednak na pewno nic z HSPS-u do naszych drużyn się nie przeliźnęło? Czy najwięksi tradycjonałści nie czerpali z pomysłów twórców tego programu? Nie, nie będę uogólniał. Napiszę nieco o moim szczepie. O naszych błędach i wypaczeniach z drugiej połowy lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

Po pierwsze szczep, który liczył około setki harcerek i harcerzy (czyli około osiemdziesiątki autentycznie aktywnych – w obozach stałych brało udział w tamtych latach siedemdziesiąt osób), był jedną wielką drużyną. I ja – szczepowy – byłem w rzeczywistości drużynowym tej ekipy. Pracowały drużyny, ale z zastępami rówieśniczymi – harcerzami z tych samych lub równoległych klas. Niewielka ich (i drużyn, i zastępów) zazwyczaj była samodzielność. Choć były zastępy, które do dziś pozostają w mojej pamięci, jak rozśpiewany żeński zastęp „Dudików” czy męski zastęp „Wszystko dla orłów” (tak, koedukacji w zastępach nie było, bo czy byśmy mogli jechać na obóz zastępami męsko-damskimi?).

Po drugie staraliśmy się organizować zgodnie z zaleceniami kluby specjalnościowe. Takie mniej lub bardziej sformalizowane. Przejelśmy z całym dobrodziejstwem inwentarza szkolny klub PTTK. Przez kilka lat bar-

dzo prężnie w szczepie pracował. Mieliśmy znakomity klub fotograficzny. Zaopiekowaliśmy się rozpadającą drużyną żeglarską, ale w tym przypadku nie stała się ona klubem, lecz została odbudowana i na normalnych zasadach jako drużyna działała w szczepie. Nie udało nam się utworzyć klubu dyskusyjnego. Jakies niewielkie spotkania organizowane w szczepie to nie było to.

Po trzecie mieliśmy w harcówce kilkadziesiąt czerwonych z białymi szlaczkami krajek – tego elementu umundurowania, którego nie nosiliśmy na co dzień, ale który chyba musiał jakoś być wykorzystywany, jeżeli wydaliśmy pieniądze na ich zakup. Na pewno były to pochody 1-majowe. I co jeszcze? Nie pamiętam. Bo na zbiórkach, na obozach i zimowiskach nosiliśmy nasze tradycyjne chusty. No tak. Były jeszcze berety bordo z lilijkami o zaokrąglonych krawędziach. Te „nieskautowe” lilijki były czymś dziwnym, ale nas nie denerwowały.

Po czwarte na chwilę wpadła do nas „Straż praw”. Był to taki starszo-harcerski sąd koleżeński. Przed strażą praw harcerz miał możliwość postawić instruktora i dokładnie się z nim rozprawić. W pewnym momencie także przed takim sądem stanąłem. Było to mało budujące dla naszych harcerzy doświadczenie (znakomicie podkopywało autorytet instruktora), więc owa HSPS-owska straż nie zagościła u nas na długo.

Po piąte harcerze starsi mieli możliwość współdecydować o losie hufca, a dalej chorągwi i Związku. Mieli możliwość wybrać swoich delegatów na zjazd wszystkich szczebli. I z prawa tego korzystali. Owe prawa harcerzy starszych były świadomie rozbudowywane, gdyż mieli oni także co roku swoje zbiórki przedstawicieli, nazwane Forum HSPS. Były to ważne dla tego pionu spotkania, upodmiotowiały harcerzy starszych, mieli oni możliwość (choćby formalnie) współdecydować o swoich sprawach. Jak byliśmy dumni, gdy jeden z naszych młodych instruktorów został wybrany na delegata na jedno z forów. (Przypomnę – ostatnie forum w trakcie VII Zjazdu ZHP przekształciło się w zbiórkę przedstawicieli harcerzy starszych).

Dużo HSPS-u było w naszym środowisku. I równocześnie dużo prawdziwego harcerstwa. Tego normalnego, tradycyjnego. Ale o tym bardziej szczegółowo przy innej okazji.

Brązowy, srebrny, złoty

Gdy snuję refleksje o minionych pięćdziesięciu latach mojej instruktorskiej służby, piszę o wielu jej aspektach. Bo spraw, problemów, wątków zebrało się niemało. W dodatku, niektórzy to pamiętają, pełniłem różne funkcje, a i moja praca zawodowa także była związana z harcerstwem. I gdy zastanawiam się, dlaczego tyle czasu z mojego życia poświęciłem innym, przychodzą mi na myśl bardzo różne powody. Można by z nich ułożyć niezły katalog albo, jak dziś ładnie się mówi – ciekawą mapę.

Gdzieś tam w oddali zawsze tkwi jedna osoba (czasem jest to grupa osób) – komendant, naczelnik, szef – który bacznie na ciebie patrzy, ocenia i... docenia. Tak, powiecie, najważniejsze jest dziecko. To prawda. Najważniejsze są harcerskie przyjaźnie na całe życie. Też się z wami zgodzę. Najważniejsza jest przygoda, wyzwania, satysfakcja – prawda. Nie każcie mi rozwijać tego katalogu. Macie rację. Jest mnóstwo tego, co w harcerstwie jest najważniejsze. Ale docenienie naszej działalności przez przełożonego, który stawia przed nami kolejne zadania, jest nie do przecenienia.

Najpierw byłem drużynowym, potem komendantem ośrodka, złożonego z kilku drużyn, później szczepowym, namiestnikiem, zastępcą komendanta hufca. Zauważcie, jak klasycznie, spokojnie rozwijała się moja instruktorska „kariera”. Gdy miałem trzydzieści kilka lat, byłem członkiem Rady Naczelnej. Banał. Ile w tym mojej zasługi, a ile moich harcerskich władz – czuwających nade mną – nie wiem.

Tak. Dobry szef, który prowadzi przez wzburzone harcerskie morza, to skarb. Tak się złożyło, że miałem interesujących przełożonych. Może nie zawsze byłem ich pupilkiem, ale w efekcie, czasami moim zdaniem za późno – doceniali mnie. Stopnie instruktorskie, nagrody rzeczowe i finansowe (nie były one wysokie, ale cieszyły), wycieczki zagraniczne to jedno. Były one w gestii komendanta i komendy hufca. Ale tenże komendant miał możliwość (i ma dziś też) jeszcze w inny sposób doceniać naszą pracę. Występował o różne odznaczenia państwowe, regionalne czy odznaczenia zaprzyjaźnionych organizacji, z którymi mieliśmy wspólne cele. I tak przed laty otrzymałem kolejno brązowy, srebrny i złoty Krzyż Zasługi, otrzymałem dwie tzw. Syrenki, czyli odznaczenia za zasługi dla

Warszawy, Medal dr. Jordana (odznaczenie TPD) czy Odznakę Kościuszkowską (przyznawaną przez dowódcę Dywizji Kościuszkowskiej, z którą współpracowaliśmy). Bardzo was przepraszam za tę wylizankę. Ale to była dla młodego wówczas instruktora ogromna satysfakcja. To było normalne, że otrzymywaliśmy odznaczenia. Oczywiście, nie z powodu odznaczeń tak aktywnie pracowałem w harcerstwie, nie z tych powodów myśmymy wszyscy tak pracowali. Lecz ta forma doceniania instruktorów była bardzo ważna.

Wyobraźcie teraz sobie. Sala Kongresowa w warszawskim Pałacu Kultury. Na widowni prawie dwa tysiące harcerzy i zuchów, a na estradzie my – grupa instruktorów, którym są wręczane odznaczenia. Tak, to były czasy, kiedy największe, najbardziej reprezentacyjne imprezy jednego ze stołecznych hufców były organizowane w tym właśnie miejscu. Większej i piękniejszej sali w Warszawie nie było. Wszystkie światła na naszą grupkę, uściski, gratulacje. Wtedy, jak to ja, z pełnym cynizmem żartowałem sobie z tych wręczanych nam błyskotek. Ale w rzeczywistości każdy z nas – kilkuset instruktorów hufca – chciał się w blasku tych reflektorów znaleźć. (Pamiętajmy, że przed laty nasz hufiec liczył najpierw kilka a później dziesięć tysięcy członków – mieliśmy więc kilkaset osób kadry).

Sala Kongresowa w remoncie, ale gdyby zasiedli dziś w niej wszyscy harcerze, którzy działają na naszym dawnym terenie (2 hufce ZHP, 5 hufców ZHR plus „Zawiszacy”), na pewno byśmy ją wypełnili. A i na scenie mielibyśmy kogo postawić. Tylko od dawna do takiej sytuacji, nawet w mniejszej sali, na szczelbku hufca nie dochodzi.

Cóż, wspominam dawne dzieje, ale jestem pewny, że wyróżnianie naszych zasłużonych członków było tak samo ważne wówczas, jak i dziś. Uważam, że co jakiś czas nasi przełożeni powinni nam powiedzieć: – Jesteś dobry, cenimy Cię. Ceni Cię także nasze państwo, nasze społeczeństwo. – Bo współcześni instruktorzy są przecież dziś tak samo zaangażowani, tak samo aktywni, jak my przed pięćdziesięciu czy czterdziestu laty. Chciałbym, aby także byli odpowiednio doceniani. Przez swoje komendy, komendantów, ale przede wszystkim władze państwowe. Chciałbym.

Dobre harcerstwo – jakie to proste

Ksiądz phm. S. powtarzał przed laty: „I ziemniaki bywają w mundurkach”. Tak, nie wystarczy założyć mundur harcerski, by stać się harcerzem (harcerką też). Wszak (przepraszam za banał) nie szata zdobi człowieka i świadczy o jego wartości. Wiemy to. Zauważyli to też twórcy próby harcerza, którzy (przeczytajcie uważnie wymagania) piszą, iż w trakcie składania Przysiężenia dziecko nie musi posiadać kompletnego munduru.

Przypomina mi się, gdy w cudownej, zagospodarowywanej przed laty przez harcerstwo Srebrnej Górze spotykaliśmy harcerzy i „harcerzy”. W tej właśnie miejscowości, wówczas chyba wsi, w forcie „Górnik” obozowały różne grupy młodych ludzi przebieranych w nasze mundury. My byliśmy na obozie wędrownym – oni na stałym, a właściwie na jakichś praktykach wakacyjnych. Czasy niesławnego HSPS-u w wydaniu prowincjonalnym. Nie wiem, ale może niektórym było głupio, gdy ich otaczaliśmy kołem (byli w mundurach, a krzyże harcerskie na tych mundurach lśniły) i w trakcie, gdy oni wydychali resztki dymu papierosowego, recytowaliśmy im 10 punkt Prawa Harcerskiego. Taka drobna pozytywistyczna praca u podstaw.

No tak, to dawne czasy harcerskich błędów i wypaczeń. Na szczęście, co przypominam, nie całego Związku. My, nasz szczepek, mogliśmy powiedzieć o sobie, że harcerzami (uf, harcerkami też) przed laty byliśmy.

Te historyjki przypomniały mi się, gdy nie tak dawno obserwowałem zbiórkę pewnej drużyny harcerskiej. Miłe dzieciaki, ciekawa zbiórka, inteligentny drużynowy. I ciągle, wieczne pytanie: czy ta drużyna, czy ta grupa sympatycznych uczniów podstawówki to harcerze. W przypadku młodych ludzi w Srebrnej Górze wiedzieliśmy – harcerzami oni nie byli. Ale tutaj mam wątpliwości. Nie, nie chodzi o przestrzeganie lub nieprzestrzeganie naszego Prawa, chodzi o tak zwany całokształt...

Wydaje mi się, że harcerz to taki osobnik, który stawia przed sobą jakieś cele – podejmuje się wykonania jakiejś pracy, konkretnych działań, samodzielnie lub z kolegami z zastępu, zdobywa więc sprawności i stopień harcerski. Harcerz to takie dziecko, które działa w zespole, zazwyczaj

w zastępie. A więc jest aktywny, jak to ładnie mówimy, „całym życiem” (właśnie całym życiem a nie przez całe życie), zna nasze Prawo i stara się go przestrzegać... Pewnie każdy może sobie dopisać, co jeszcze charakteryzuje młodego człowieka – harcerza.

Niestety, może się jednak zdarzyć, że drużynowy nie zadba o to, aby z dziecka zrobić harcerza. Z grupy tych, którzy wstąpili do drużyny we wrześniu, ani jedna osoba nie złożyła Przysięgi. I nie dziwny się, bo ani jedna osoba nie realizuje próby harcerza. Nie ma żadnych zadań do wykonania, nie ma nic do powiedzenia na temat pracy drużyny. Itd., itd. Bardzo miłe dzieci co tydzień przychodzą na zbiórkę, co tydzień są bawione na atrakcyjnych zajęciach i na tym się ich harcerstwo kończy. Są szczęśliwe i sądzą, że należą do drużyny harcerskiej. Gdyby co tydzień przychodziły do szkoły, dostawały piłkę i w nią grały, też byłyby szczęśliwe. Tylko gdzie tu harcerstwo? Podobno będzie ono na obozie – tam zdobywane będą stopnie i składane Przysięgi. Takie żarty.

Po raz kolejny zadaję sobie to pytanie. W czasach HSPS-u w dużej części drużyn harcerskich harcerstwa z różnych powodów nie było. Ale dlaczego dziś metoda harcerska i jej stosowanie jest nam także obca? Muszę przyznać, że tego nie rozumiem. Ciągłe błędy i wypaczenia. Jak nie tu, to tam. Jak nie ideowe, to metodyczne. Jak nie w programie, to w pracy w małych grupach. Przez ponad pięćdziesiąt moich instruktorskich lat w różnych sytuacjach stajemy i wiecznie tłumaczymy harcerzom i kadrze: – Tak nie można. – A efekty są ciągle mierne.

Nie, nie mówcie, że trudno, że się nie da. Nie. Po prostu jedni powinni zrezygnować z palenia, a inni zacząć pracować zastępami i podejmować się realizacji zadań zespołowych lub projektów, realizować próbę harcerza/harcerki, zdobywać sprawności i stopnie. Jakież to proste! Mielibyśmy wtedy więcej harcerstwa w harcerstwie. To nie jest wcale trudne.

CZUWAJ 3/2017

Wychowujemy

Dziś będzie nostalgiczno-historycznie. Będzie o nas – przedwojennej 3 WDH im. x Józefa Poniatowskiego. Drużyna powstała 105 lat temu w ówczesnym warszawskim gimnazjum Emiliana Konopczyńskiego, które po odzyskaniu niepodległości i upaństwowieniu przyjęło imię Adama Mickiewicza. W latach siedemdziesiątych XX wieku drużyna rozrosła się do szerepu. Prowadziłem ten szereg około 20 lat. W moich felietonach często wspominam różne wydarzenia z tamtych lat. Dziś chcę wrócić do podstawowego pytania, wyrastającego poza moje ponadpółwieczne pełnienie instruktorskiej służby. Jaki sens ma nasza praca, jak wychowujemy? Co pozostaje w naszej pamięci? Czy dajemy Polsce ludzi przygotowanych do pełnienia na jej rzecz służby, kształtujemy postawy patriotyczne? To słowa, które często padają w naszych deklaracjach czy dokumentach. Ale jak było i jak jest naprawdę?

Oddam dziś głos tym, którzy odeszli na wieczną wartę, ale którzy pozostawili po sobie dobrą pamięć, nie tylko w „Trójce”, ale i w świadomości kilku pokoleń Polaków. Którzy pozostawili po sobie większe i mniejsze wspomnienia. Poczytajcie:

Byliśmy trzecią Warszawską Drużyną Harcerską (...). Bardzośmy z tego byli dumni. Nigdy nikomu nie daliśmy się przekonać, że nasza „trójka” nie jest najlepszą z warszawskich drużyn: ani dwudziestej trzeciej od Batorego z pomarańczowymi chustkami (nasze były ciemnozielone), ani jedynce od Reytana, ani szesnastce od Staszica (...). Patronem naszej drużyny był książę Józef Poniatowski. (Ryszard Matuszewski „Żółte dzioby”).

Ryszarda Matuszewskiego niektórzy być może pamiętają jako autora podręczników szkolnych, krytyka literackiego, znakomitego gawędziarza. Ale co pisze inny nasz wychowanek?

Dziś, (...) nasuwają się refleksje, jak wiele zawdzięczam tej warszawskiej „Trójce” (...) O ile uboższa byłaby znajomość własnego kraju wyniesiona na obczyznę, na całe dalsze życie, gdyby nie coroczne wędrowne obozy harcerskie. Żaden opis nie zastąpi bezpośredniego zetknięcia z ludźmi i krajobrazem. (Jan Nowak Jeziorański: „Kurier z Warszawy”).

I fragment wspomnień kolejnej znaczącej postaci w polskiej historii, a przede wszystkim w harcerstwie:

...muszę powiedzieć, jak wiele dała mi „Trójka” i co jej zawdzięczam. Od bicia serca na pierwszych obozowych wartach, poprzez stałą gotowość, że może nocny alarm..., poprzez szacunek dla sztandaru, odznak, munduru (...). Poprzez zdeptanie polskich ścieżek, poznanie wielu polskich serc aż do wyjścia w świat. A co więcej, aż do zrozumienia, co to jest służba i do pełnienia jej całą szerokością życia i wszystkimi jego akcentami. (Stanisław Broniewski „Orsza”: „Trójka”...).

Nie będę wyliczał plejady tych, których zaliczyć można do wychowanków naszej drużyny. Lista jest długa. Osób różnych zawodów, o różnych poglądach politycznych. Tych, którzy walczyli w latach wojny i zginęli, i tych, którzy ją przeżyli... Ludzi związanych z literaturą, lekarzy, inżynierów, profesorów wyższych uczelni... Każdy z tych, z którymi miałem przyjemność się spotkać, mówił to samo, co napisał Ryszard Matuszewski, co „Orsza” i Jan Nowak Jeziorański. Wpływ wychowania harcerskiego na członków „Trójki” był ogromny.

O losach harcerzy z „Trójki”, a właściwie o jednym zastępie ciekawą refleksję napisał „Kurier z Warszawy”: *W mojej klasie zawiązała się piątka przyjaciół złożona z Rysia Matuszewskiego, Jana Kotta, Jerzego Lenczowskiego, Janka Kwiatkowskiego (syna ówczesnego ministra przemysłu i handlu) i mnie. (...) Kwiatkowski poległ we wrześniu, Lenczowski (...) został profesorem (...), czołowym ekspertem amerykańskim od spraw Bliskiego Wschodu (...), Kott i Matuszewski wybili się w PRL w partii, ale ich drogi rozeszły się (...), kiedy Kott (...) znalazł się na emigracji...* Takich zastępów, także poplątanych dróg życiowych było w „Trójce” wiele. Bo takie były powojenne losy polskiej inteligencji.

Dziś co prawda wśród współczesnych wychowanków nie ma ministrów i posłów albo znaczących literatów, ale plejada naszych powojennych instruktorów też jest ciekawa, może kiedyś za ich zgodą dłuższy tekst o nich napiszę. Uważam, że wychowujemy dziś nie gorzej niż przed laty. Na szczęście nie musimy stawiać przed takimi decyzjami, przed jakimi stawali ci „sprzed wojny”. Sądzę jednak, że z pewnością mądrze wychowujemy, kontynuując dobre tradycje naszych poprzedników.

Mój szczep i nasze pieniądze

Przed miesiącem opublikowałem nieco nostalgiczny tekst z licznymi cytatami, pokazującymi, że po pierwsze nie wyskoczyliśmy jako 3 WDH im. x Józefa Poniatowskiego sroce spod ogona, a po drugie, że nasi zaśluzeni i znani wychowankowie nawet we wspomnieniach niedotyczących harcerstwa kilka zdań o swej drużynie i o wychowaniu w niej wtrącali.

Dziś będzie o bliższych, choć dla większości instruktorów zamierzających czasach lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. I będzie o wychowaniu gospodarczym. Nie napiszę jednak o namiotach, saperkach i kotłach oraz innym sprzęcie kuchennym. Ten wątek może kiedyś rozwinę. Mowa będzie o zwykłym, rzecz by można prostackim, zarabianiu pieniędzy. Przyznam od razu – zarabialiśmy godnie, mieliśmy pieniądze złożonych na naszej książeczce oszczędnościowej (pamiętacie, że lata całe takie książeczki funkcjonowały?) na tyle dużo, że mogliśmy zawsze dofinansowywać wyjazdy naszych harcerzy. Zasada była prosta – szczep płaci połowę kosztów imprezy, harcerz drugą połowę. To były stosunkowo duże sumy – zwykły wyjazd na rajd w góry musiał kosztować.

Tamte lata to nie tylko historyczne książeczki oszczędnościowe, ale zupełnie inny obrót pieniędzmi, inne sposoby zdobywania środków na naszą działalność. Nie tylko nie było 1 procenta (to taki plus współczesności), ale nie odprowadzaliśmy podatków od zarobionych sum. Naszej papierowej książki finansowej tak naprawdę to nikt nie sprawdzał (ale prowadziliśmy ją bardzo uczciwie).

Inne czasy. Biedne, ale dla Związku Harcerstwa Polskiego niesłychanie komfortowe. Bo byliśmy jako organizacja na garnuszkę państwa, bo dostawaliśmy dotacje na działalność programową, duże pieniądze otrzymywaliśmy na akcję letnią. Ale te duże pieniądze były jakby poza nami. Korzystać mogliśmy tylko z przydzielanej nam dotacji na obozy.

W szczepie rządziliśmy się sami. Po pierwsze nie było problemów ze składkami. Niewielką sumę zbieraliśmy systematycznie. Ta część wychowania gospodarczego funkcjonowała bez zarzutu. Dlatego dziwi mnie wypowiedziane także przez starszych instruktorów zdanie, że w ich środowiskach to składki nigdy się nie zbierało. I dopiero teraz przyszedł takie ciężkie czasy. Składki były i są obowiązkowe.

Po drugie pracowaliśmy, zarabialiśmy pieniądze i tak naprawdę to praca znajdowała nas, a nie my pracę. Miejskowa administracja domów mieszkalnych zaproponowała nam kopanie na wiosnę trawników – no to kopaliśmy. Później malowaliśmy śliczną zieloną farbą drzwi bardzo licznych garaży na terenie naszej dzielnicy. Gdy przechodzę na Saskiej Kępie obok jednego z nich przypomina mi się, jak pomalowane zostały farbą olejną (nie do sprania) nie tylko drzwi, ale także moje spodnie...

Zarabialiśmy na sprzedaży zniczy. Funkcjonowaliśmy jak małe przedsiębiorstwo. Do obsłużenia cztery niewielkie dzielnicowe cmentarze. Cztery duże stoiska od rana do zmroku. Dwa boksy w szatni szkolnej zajęte zniczami. Jeden samochód dostawczy (jakiś żuk czy nysa) pracujący przez 12 godzin. Wyjazdy do hurtowni na Mokotów, gdy zniczy w naszej szkole zabrakło. Ceny (teoretycznie) jak w sklepie. Ale tylko teoretycznie. Zarabialiśmy też jak małe przedsiębiorstwo.

Sprzątanie targowiska, jak to się ładnie mówiło, na Wolumenie. Co niedziela po zakończeniu sprzedaży ekipa ze szczepu pojawiała się i doprowadzała teren do porządku. Brzmi to tak niewinnie, ale to była trudna praca. Dlatego gdy zaproponowano nam podobną działalność na powstającym wielkim bazarze na Stadionie Dziesięciolecia, odmówiliśmy.

Jak zły sen wspominam akcję wysyłania broszur dla maturzystów. To był pierwszy taki pomysł w kraju – wysłać do szkół materiały do powtórzenia programu szkolnego. O tej akcji, na której wysłaliśmy jak Zabłocki na mydle, powinienem napisać odrębny felieton. Żeby uzmysłowić skalę naszej pracy, powiem tylko, że w szkole mieliśmy filię urzędu pocztowego, który codziennie przez miesiąc wysyłał w Polskę ciężarówkę paczek. Nie, nie dołożyliśmy do tego, ale gdyby policzyć, ile zarobiliśmy za tzw. osobogodzinę pracy, to ręce opadają.

Zarabialiśmy i nie tylko dopłacaliśmy do zajęć programowych, lecz bez kłopotu kupowaliśmy sprzęt czy prowadziliśmy koło fotograficzne (ono też kosztowało).

I jeżeli porównuję to moje harcerstwo sprzed lat z tym dzisiejszym, w którym przecież aktywnie działałam, to w tej sferze – możliwości i chęci zarobkowania – widzę ogromną różnicę. Czy my wtedy nie byliśmy bliżsi naszemu ruchowi z okresu dwudziestolecia międzywojennego? Chyba tak.

Być redaktorem!

Gdy ktoś pyta mnie o zawód, zawsze odpowiadam: – Jestem redaktorem książkowym. – To takie niezbyt dziś popularne zajęcie. Ale przez wiele, wiele lat redaktor w wydawnictwach był niezbędny. Bez niego książka nie mogła pójść do druku.

Wiele lat temu nauczono mnie redagować książki i to jest umiejętność na całe życie. A zacząłem 2 stycznia 1970 r. Wtedy to przyjęto mnie, instruktora chyba nadal w stopniu podharcemistrza, do pracy w Wydawnictwie Harcerskim. Oczywiście w redakcji harcerskiej.

Nasze wydawnictwo mieściło się w kilku pokojach na drugim piętrze budynku przy Konopnickiej 6. Tak, tak, w budynku GK ZHP. Byliśmy niewielką firmą, produkującą przede wszystkim książki dla naszej organizacji, ale także powolutku (dopisaliśmy sobie do nazwy słowo „Horyzonty”) staraliśmy rozwijać redakcję literatury pięknej i popularnonaukowej dla nastolatków. O niej i moich doświadczeniach związanych z bardzo ciekawymi autorami może kiedyś napisać.

Kim był taki redaktor jak ja? To osobnik znający się na wszystkim, czym zajmowaliśmy się w harcerstwie. Bo redagowanie – doprowadzanie, by tekst był dobrze napisany po polsku – to najmniejszy problem, choć zadanie ważne. Ale było kilka innych – trudniejszych. Redaktor był odpowiedzialny za część merytoryczną wydawnictwa. Pamiętajmy przy tym, że nie było internetu – poszukiwać wiedzy trzeba było w innych wydawnictwach, ale wielu przypadkach – w głowie. Trzeba było tekst – maszynopis zrecenzować, dać także do recenzji zewnętrznej. Napisać uwagi dla autora i czasami długo do swoich racji go przekonywać. Przyjęcie pracy po poprawkach, redagowanie merytoryczne, wprowadzanie poprawek szefów – kierownika redakcji i redaktora naczelnego. Autoryzacja. Przekazanie do druku. Korekta redakcyjna (niezależnie od korekty którejś z zawodowych korektorek), druga korekta redakcyjna, podpisanie do druku. Ale po drodze był jeszcze grafik z projektem okładki i ewentualnie ilustracjami. Była redakcja techniczna, bo trzeba było dobrać wszystko – skład, format, rodzaj okładki... Gdy książka trafiała do nas już gotowa, jeszcze przed rozpowszechnianiem trzeba ją było przeczytać. Ale czynił to inny

redaktor – kolega, patrzący na nasze „dzieło” chłodnym okiem. I decyzja – drukować erratę czy nie drukować...

Najważniejsza jednak była redakcja merytoryczna. Redagowanie książeczki z gram i zabawami dla harcerzy było proste. Wiele ich organizowałem, wiele widziałem. Jeżeli któraś była nieciekawa, mogłem ją usunąć. Poradniczki dla drużynowych zuchów – banał. Redagowanie poradnika z terenoznawstwa także. Tak samo z pionierki lub redagowanie śpiewniczka z piosenkami harcerskimi. Ale redagowanie poradnika dla drużynowych drużyn wodnych i żeglarskich było dla mnie nieprawdopodobnym wyzwaniem. O żeglarstwie nie miałem zielonego pojęcia, a musiałem rzeczowo i konkretnie recenzować tekst o pracy drużyn wodnych, a następnie wprowadzać do tekstu swoje poprawki. Jak to było możliwe, że poprawiałem błędy i usterki prawdziwych żeglarzy? No właśnie. Po prostu byłem redaktorem i musiałem tak opracować poradniczek, by nie było w nim błędów.

W wydawnictwach mieliśmy system awansu: asystent, młodszy redaktor, redaktor, starszy redaktor. A dalej już można było zostać kierownikiem redakcji. Ale już jako asystent zostałem włączony do planowania. Bo rzadko autorzy przychodzili do nas z gotowymi tekstami. Trzeba było wymyślić książkę i do niej jeszcze wymyślić autora. To nie było proste. Najłatwiej albo prawie najłatwiej było ze wznowieniami. Najłatwiej – bo na przykład tekst książki Aleksandra Kamińskiego o Andrzeju Małkowskim wydanej wcześniej przez Instytut Wydawniczy PAX, był gotów. Ale zawsze z kłopotami, gdyż mieliśmy ważny w tamtych latach organ – cenzurę. Cenzorzy decydowali, co zmienić w tekście, jaki fragment utworu nie może być opublikowany. Nie każdą opinię o polskim Lwowie (tym Lwowie z czasów powstawania pierwszych drużyn skautowych) można było wydrukować. Redakcja i autor musieli decydować – publikować z ingerencjami cenzury czy z publikacji rezygnować. Zawsze trudna decyzja. (Zestaw tych ingerencji w „Andrzeju Małkowskim” oczywiście w jakimś podziemnym wydawnictwie opublikowano). Kierownik redakcji lub redaktor naczelny biegał na ulicę Mysią i dyskutował z cenzorem. Czasami cenzor dawał się przekonać, czasami nie.

No tak, trzeba przypomnieć – w Warszawie przy ulicy Mysiej (to taka mała uliczka między pierwszymi domami Nowego Świata a Bracką) mieścił się jeden z najważniejszych urzędów w PRL-u – Urząd Cenzury. Zapamiętajcie tę uliczkę, bo to jeden z symboli tamtych lat.

Na szczęście nasze harcerskie poradniczki nie budziły żadnych wątpliwości. Kłopot był jednak ze znalezieniem autorów. Tylko czasami byli to instruktorzy z pierwszego piętra – z GK ZHP. Wydawnictwo jednak miało się dobrze, było coraz prężniejszą instytucją. Aż zlikwidowano jego samodzielność, tworząc pion książkowy w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej RSW „Prasa – Książka – Ruch”. To była decyzja polityczna i jakiś redaktor (wówczas już starszy redaktor), jak ja, nie miał nic w tej sprawie do powiedzenia. Dalej redagował książki dla ZHP. Aż do czasu...

PS: W takim wspomnieniowym felietonie znaleźć się powinno choć jedno zdanie o moich przełożonych, ludziach, dzięki którym w cudownej (można powiedzieć – harcerskiej) atmosferze spokojnie rozwijałem swoje umiejętności. To trójka harcmistrzów, tak się złożyło, że cała trójka działała wcześniej bezpośrednio w pionie zuchowym: hm. Nina Wunderlich, hm. Ewa Drobnik i hm. Mietek Siemieński. Później, gdy już pracowałem w „Drużynie”, moją szefową była następna świetna instruktorka i cudowny człowiek – Jola Chelstowska. Harcmistrzyni i była instruktorka GK. Jakiś tak się składało, że to nieco starsze ode mnie pokolenie instruktorów, pracowników naszej harcerskiej centrali, to byli mądrzy i dobrzy ludzie.

Wszystkim życzę, by mieli w życiu takich szefów.

CZUWAJ 6-7/2017

Wędrowaliśmy tu i tam...

Dziś ponownie będzie o moim szczepie – o warszawskiej „Trójce”. O logice w naszych działaniach i o tym, czym jest konsekwentny rozwój. I będzie o naszych obozach. Kiedyś już o tym pisałem – co roku organizowaliśmy obóz stały, oczywiście samodzielny. Gdzieś na Suwalszczyźnie, gdzieś w okolicach Ełku albo koło Szczytna. Tak jakoś wychodziło, że (chyba to było podświadome) nie zbliżaliśmy się do rejonu Borów Tucholskich, gdzie rozstawiało swe namioty dwa czy trzy tysiące harcerzy naszego hufca. Samodzielność to samodzielność.

A po obozie stałym – w naszych najlepszych czasach – organizowaliśmy obozy wędrowne. Tak, nie pomyliłem się – nie obóz a obozy – bo były to dwa, a czasem aż trzy obozy – górski, rowerowy, kajakowy. Oczywiście w Polsce. Pamiętajmy – w latach siedemdziesiątych XX wieku tkwiliśmy w głębokim socjalizmie i obóz pionierski w Arteku (nie będę rozwijał, czym był ten ośrodek, kto nie wie, niech sprawdzi w internecie) był największym marzeniem wielu harcerskich instruktorów.

I w pewnym momencie w naszym szczepie okazało się, że normalny obóz stały i krajowe obozy wędrowne nie wystarczają. To właśnie owa logika. Co więc wymyśliliśmy? Oczywiście wędrowne obozy zagraniczne. Ale w tamtych siermiężnych czasach wcale nie było to takie proste. Zachód był właściwie poza naszym zasięgiem – paszporty, wize, dewizy, zaproszenia, pozwolenia... Skromna więc była ta nasza zagranica. Pozostawały tzw. kraje socjalistyczne. Próby wyjazdu na Litwę nie powiodły się (wszak to był Związek Radziecki i kto by tam wpuścił harcerzy wędrujących swobodnie po tym kraju), ale potem było lepiej – udało się zorganizować fascynujące wówczas dla nas zagraniczne obozy wędrowne do Czechosłowacji, NRD, Rumunii.

Trzeba przyznać, że najciekawszy był nasz pierwszy obóz rumuński. Nie tylko dlatego, że jechaliśmy w tamtą stronę pociągami, a wracaliśmy samolotem (była to dla nas nieprawdopodobna atrakcja, nie latało się wówczas po świecie jak dziś, gdy konkurują ze sobą tanie linie lotnicze), ale przede wszystkim dlatego, że był to dla nas dziki kraj, którego symbolem był Siedmiogród i książę Drakula. Nie wybieraliśmy się na wybrzeże

(gdzie na czarnomorskich plażach wypoczywało wówczas wielu polskich turystów), ale penetrowaliśmy wnętrze kraju – bez map, a właściwie z naszymi przedwojennymi sztabówkami, z bardzo ogólnym planem wędrówki. No i dotarliśmy do polskich wsi (dziś to żadna atrakcja), do polskich dzieci mówiących piękną góralską gwarą, do malowanych cerkiewek (takich z zewnątrz), oglądaliśmy prawdziwy wiejski pogrzeb (odprowadzała na cmentarz zmarłego – w odkrytej trumnie – cała wieś, w tym asysta na koniach), biwakowaliśmy „na dziko” i żadna miejscowa milicja nas nie nękała, rumuńscy chłopcy przynosili nam na sprzedaż jajka (ale do siebie nie zapraszali, ich milicja nękać mogła), zwiedziliśmy Bukareszt, w którym widać jeszcze było zniszczenia po niedawnym trzęsieniu ziemi itd., itd. Nieprawdopodobne doświadczenia i nieprawdopodobne przeżycie. Kolejny etap (ta logika w podejmowaniu coraz większych wyzwań) to w latach osiemdziesiątych obozy na zachodzie Europy. Lecz to już całkiem inna historia...

Tak sobie myślę, że gdy wszyscy jesteśmy w zjednoczonej Europie, taka wyprawa jak nasza byłaby łatwiejsza, ale wcale nie mniej fascynująca. Tylko czy są jeszcze harcerze, którzy chcieliby na obóz wędrowny po Europie się wybrać? Ot, takie sobie pytanie.

CZUWAJ 8/2017

Zdziwienia

To było dawno, dawno temu. Właściwie wszystko, o czym piszę, nawet gdy miało miejsce pięć lat temu, dla wielu było dawno temu. A więc przed wielu laty, gdy prowadziłem szczerp, gdzieś pod sam koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku mieliśmy kilkudziesięcioosobowe zimowisko w Sudetach, w niewielkiej wsi Jarkowice. Były to czasy niechlubnego HSPS-u (nie każcie mi teraz tłumaczyć, dlaczego niechlubnego), a myśmy byli bardzo dobrym środowiskiem. Co jest (niekoniecznie dziś) łatwe do udowodnienia.

Niezbyt odkrywczco zauważyłem w tychże Jarkowicach, że uwagi, jakie przekazuję zastępowym na radach, że prośby, jakie wyrażam na apelach, że moje gawędy na kominkach nie przynoszą właściwych efektów. W którymś pokoju jest ciągle bałagan, któryś zastęp spóźnia się na zbiórki, jakaś grupka nie przestrzega ciszy nocnej. I mam kłopot. Nie stosowałem (tak jak i na obozach) tzw. karniaków. Moi harcerze mieli w większości ukończone 16 lat, zmuszanie ich do wykonywania dodatkowych prac czy karne bawienie się w przysiady lub inne pompki byłoby zupełnie nieskuteczne. Poza tym niemoralne, o czym od czasu do czasu mówię i piszę.

A więc co zrobiłem? Wymyśliłem „Zdziwienia”. Codzienną gazetkę komendanta. Ukazywała się ona w jednym egzemplarzu, pisałem ją na jednej stronie papieru podaniowego. Czasami na dwóch. Oczywiście ręcznie, czytelnie. Były stałe rubryki, były też teksty pisane dosłownie w biegu. W „Zdziwieniach” po prostu (nie da się ukryć, że złośliwie, ale tak, aby nikomu nie zrobić zbyt dużej przykrości) komentowałem zimowiskowe wydarzenia. Dziwiłem się. Ktoś nie wyszedł w piżamie na poranną gimnastykę na śniegu? Znalazł się w „Zdziwieniach”. Któryś zastęp nie przygotował się jak należy do wieczornego kominka? Dziwiłem się. Narty były niewłaściwie ułożone po powrocie z wycieczki? Opis znalazł się w gazetce. I wyobraźcie sobie – to, co w formie uwag, apeli, dyskusji do moich harcerzy nie trafiało, w formie pisemnej odnosiło skutek. W gronie około pięćdziesięciorga harcerzy starszych (tak nazywano dzisiejszych wędrowników) zawsze coś trafiło się do opisania. Ciągle coś wymagało poprawy. I poprawiało się.

„Zdziwienia” były wywieszane codziennie i każdy uczestnik zimowiska starał się jak najszybciej je przeczytać. Kar na zimowisku nie było. Znalezienie się w „Zdziwieniach” było dostateczną karą.

Oczywiście w formie notatki czy króciutkiego felietonu dziwiłem się też pozytywnie. A więc chwaliłem, chwaliłem, chwaliłem. Bo było za co chwalić. O tym, jak wspaniale było na zimowisku, można napisać kilka felietonów.

Ta forma zmieniania postaw, zachowań naszych harcerzy funkcjonowała na dwóch zimowiskach, jednym obozie, wykorzystałem ją kilka razy w czasie roku szkolnego. A później ja zacząłem pisać systematycznie do starszoharcerskiej wkładki do „Motywów”, czyli „Na Tropie”, zostałem zawodowym dziennikarzem i „Zdziwienia” się skończyły.

Piszę ten tekst nie tylko, aby wspomnieć fragment mojego instruktorskiego półwiecza. Młodzi instruktorzy zadają mi pytanie, jak można karać harcerzy inaczej niż pompkami, przysiadami, pilotami i nocnymi alarmami. Ot, przytaczam jeden przykład. Piszcie, piszcie własne „Zdziwienia”.

CZUWAJ 1/2018

Być seniorem

W wieku „senioralnym” jestem już jakiś czas. Dobrych kilkanaście lat. Ale starsze ode mnie druhnny i dostojnych wiekowych druhów bacznie obserwuję w naszej organizacji znacznie dłużej. Kłopot z seniorami był i jest w ZHP ogromny. Przypomnę, że mieliśmy pomysł, aby nasze kręgi starszych skautów wyłączyć ze Związku, utworzyć silną ogólnopolską organizację i właśnie ją wprowadzić do struktur międzynarodowych – ISGF. Nic z tego nie wyszło. Czy poza kręgiem szczecińskim działa jeszcze jakieś środowisko Bractwa Zawiszy Czarnego? Bo tę organizację tu wspominam.

Z seniorami jest kłopot, bo nie ma w ZHP takiej kategorii członkowskiej. Seniorzy są starszyzną lub instruktorami – i tyle. A gdy starszy członek Związku (starszy, to znaczy 55-letni, nie wiem, dlaczego ustalono taki wiek) seniorem się poczuje, zgłasza to i już nim jest.

Od niedawna wydział w GK nie jest wydziałem seniorów, lecz seniorów i starszyzny, bo ktoś teoretycznie członkami Związku, którzy wyrosli z wieku wędrowniczego, powinien się zająć. Niech się 22-latkami (i starszymi nieinstruktorami) zajmują seniorzy. Bez sukcesów. Kolejny kłopot. Na marginesie pytanie – czy wszystkie nasze kręgi skupiające starszyznę i seniorów w tymże wydziale są odnotowane? Chyba nie.

Mam wrażenie, że Związek nie poradził sobie z harcerskimi seniorami. Bo ci nasi seniorzy to trochę ruch, trochę organizacja. Co roku organizują zjazdy, mają ów wydział i są reprezentowani w ISGF, od jakiegoś czasu nawet w jego europejskich władzach dzięki hm. Teresie Tarkowskiej-Dudek. Są aktywni. Każde środowisko działa po swojemu. I dobrze. Nie będę rozwijał tego wątku.

W wieku „senioralnym” jestem tych kilkanaście lat. I do głowy mi nie przyszło, aby zapisać się do kręgu, skupiającego starszych członków naszej organizacji. Co ja bym tam robił? Wspominał jakieś dawne dobre czasy? Jeździł na zjazdy, rajdy i wycieczki z moimi rówieśnikami? Rozmawiał o chorobach, wnukach i żywieniowych dietach najlepszych dla ludzi po sześćdziesiątce? No nie. Ja bardzo przepraszam, ale czy na tym ma polegać działalność w Związku Harcerstwa Polskiego?

Powiecie – organizacja jest wielopokoleniowa. Należć do niej można do końca życia. To fakt. Ale naszym celem jest wychowywanie młodego pokolenia, a nie bawienie się w kręgach przyjaciół. I to niezależnie od tego, ile członkowie tych kręgów dają z siebie w trakcie kominków, zbiórek czy innych spotkań z harcerzami. Środowiska seniorów w rzeczywistości w większości wypadków działają przy ZHP, a nie w ZHP. Taki jest fakt.

Bo w ZHP jestem ja i mnie podobni. W moim wieku można (i trzeba) być normalnym instruktorem. Coś dobrego zrobić w Głównej Kwaterze (dlaczego nie, jeżeli jestem tam jako instruktor potrzebny?). A przede wszystkim być normalnym instruktorem we własnym hufcu. Warto być opiekunem kilku prób instruktorskich, być członkiem komisji stopni instruktorskich, współuczestniczyć w szkoleniu drużynowych. Coś napisać, doradzić, podyskutować, ocenić z dystansu. Czasami się pokłócić.

Wydaje mi się, że gdy już nie będę Związkowi potrzebny, spokojnie z niego odejdę i wstąpię do kręgu, który będzie poza ZHP. Bez składek, bez władz hufca i chorągwi, bez obowiązków statutowych, zbiórek wyborczych i uchwał. Wtedy będę na autentycznej harcerskiej emeryturze. Stuprocentowej. Ale być harcerskim seniorem – nie, nigdy.

CZUWAJ 2/2018

Duży hufiec – jak to działało

Duże hufce. Duże? 700-osobowe? Za moich czasów (no nie, teraz też są moje czasy, trzeba napisać inaczej...); za czasów mojej młodości (to nieprawda, za czasów młodości było inaczej...); a więc – w drugiej połowie lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku nasz hufiec był dziesięciotysięcznikiem. Kilka razy już o tym wspominałem w tych felietonach. Tak, czasy były inne, ustrój państwa też.

Nie będę tu pisał o roli PZPR we wzmacnianiu naszej organizacji, a także o znanym fakcie, iż w tamtych czasach – my, kadra – mieliśmy więcej czasu, który mogliśmy poświęcić harcerstwu. Napiszę więc tym razem kilka zdań o programie naszego hufca. Z zastrzeżeniem – o naszym programie. Nie wszyscy tak pracowali. Może byliśmy typowi, a może specyficzni – nie wiem. Starsi druhowie mogliby zabrać tu głos.

Po pierwsze: cykle programowe

Hufiec, całe dziesięć tysięcy zuchów, harcerzy i harcerzy starszych, miał obowiązek (i raczej się nie buntował przeciw takiej sytuacji) realizować zadania kolejnych cykli. W ciągu roku mieliśmy ich trzy. Ot, rok 1975/76: „Druga zmiana”, „Karnawał przyjaźni” i „Ruszał w drogę”. W kolejnym roku: „Syrena 32”, „XX lat i my” oraz „Azymut 77”. Namiestnictwa rozpisowały dość szczegółowo propozycje programowe, w masowej organizacji dla słabszych środowisk były to podpowiedzi, czym można zająć się na zbiórkach. A silniejsze? Bywało różnie. Jeżeli nieco bardziej szczegółowo zaczniemy analizować, co się kryje pod poszczególnymi hasłami, okaże się, że proponowano nam sporo zadań związanych z kulturą, turystyką a także wprost – z rozwojem organizacji w szkołach. Często cykle powiązane były z ważnymi dla PRL-u lub harcerstwa rocznicami (owo XX lat to dwudziestolecie hufca, Syrena 32. to rocznica wyzwolenia Warszawy). Powtórzę – cykle słabym pomagały, mocnym za bardzo nie przeszkadzały.

Po drugie: imprezy hufca

Tak, braliśmy w nich udział z większym lub mniejszym zapalem. Ale nasz coroczny festiwal kulturalny to była nie tylko możliwość zaprezentowania się na forum hufca, ale także zawalczenia w swojej grupie metodycznej o pierwsze miejsce. Jaka to była radość, gdy my, Szczep 3 WDH im. x Józefa Poniatowskiego, jesienią roku 1976 pokonaliśmy Szczep „Błękitnych” 147 WDH, prowadzony przez słynną hm. Danusię Rosner i Szczep 115 WDH, prowadzony przez świetnego twórcę teatrów amatorskich hm. Ryszarda Jakubisiaka. Ważna też była dla hufca organizacja dorocznego rajdu Olszynka Grochowska. Z Olszynką – miejscem bitwy z Rosjanami w czasie powstania listopadowego wiąże się opowieść grupy „cywilnych” osób, które nie tak dawno temu wspominały, jak to w okresie PRL-u musiały tajnie składać kwiaty na grobie-pomniku powstańców. Bo, jak twierdzili, ówczesne władze nie pozwalały na organizowanie uroczystości w rocznicę bitwy. A my, ZHP, prowadziliśmy 1000–2200 harcerzy trasami rajdu, w czasie którego pomagało nam wojsko. I razem z nami kwiaty składali przedstawiciele tychże władz. Takie były w rzeczywistości czasy.

Po trzecie: wielkie imprezy

Takie na wiosnę były dwie. Udział hufca w pochodzie 1-majowym. Bez zuchów, których tylko wybrana grupa w pięknych pelerynkach mogła z werblami przemaszerować w pochodzie. Spotykaliśmy się wszyscy i było to (tak, tak) autentycznie radosne święto. No i wielką drugą imprezą były zloty hufca. Tam już byliśmy razem z zuchami. To było ważne – pokazać się dzielniccy, pokazać miastu, jak jest nas dużo. Czasem spotykaliśmy się na którymś z dzielnicowych stadionów, czasem na błoniach koło ówczesnego Stadionu Dziesięciolecia. Razem, znów razem... Zlot był imprezą – dziś byśmy powiedzieli – promocyjną. Bardzo nam potrzebną. Bo jak nas widzą...

Po czwarte: prawdziwie harcerska akcja letnia

O akcji letniej innym razem.

Wielki hufiec programowo pracował sprawnie i inaczej niż dziś.

Ci ze zniżkami godzin

Od czasu do czasu przypominamy sobie, że w ZHP część kadry, szczególnie na wsi i w niewielkich miejscowościach, to nauczyciele. Wychowawcy i nauczyciele stanowią też znaczącą część instruktorów Nieprzetartego Szlaku. Zaraz, zaraz... Przecież ja także byłem nauczycielem. W szkole zatrudniony byłem ponad 40 lat! Szmata czasu.

Z tym moim nauczycielstwem to było tak... Zacznę od początku. W szkole po południu głównej roli nie pełni dyrektor, nie pełnią nauczyciele. Najważniejszą osobą w całym budynku jest pani woźna. Ona może nie dać klucza do sali, ona może nie zezwolić, aby zbiórka odbywała się na korytarzu. Ona może donieść dyrektorce, że harcerze hałasowali i nie powinni być wpuszczani o jakichś dziwnych godzinach na teren placówki. Nie, nie wszystkie woźne są takie, ale ja postanowiłem dmuchać na zimne i zostać w „mojej” szkole, w której miałem przejąć szczep, nauczycielem. Nauczycielowi pani woźna klucz wyda, nauczycielowi nie będzie kazała chodzić w kapciach. Nauczyciel to jest panisko. Pani woźna mówi do niego: – Panie profesorze.

Jak wymyśliłem, tak zrobiłem. Byłem co prawda w tamtym momencie w konflikcie z komendantem hufca, dyrektorkę poinformowano, że człowiek samowolny i trudno się ze mną pracuje. Ale pani B. po rozmowie z właściwym sekretarzem właściwej partii zdecydowała: – Zatrudniam druha. – Bo oczywiście jako druh w szkole byłem już znany.

Czyli wszystko przez szkolne woźne. Zacząłem w naszym liceum uczyć języka polskiego... jedną klasę. A więc były to chyba cztery lub pięć godzin w tygodniu. Klasa była super, ze świetną ekipą harcerską. A ja po roku czy dwóch ku mojemu najwyższemu zdumieniu zostałem nauczycielem na pół etatu. Bo (dla tych, którzy tamtych czasów nie pamiętają, gdyż się za późno urodzili) były to czasy, gdy nauczyciel-szczepowy mógł otrzymać zniżkę godzin. Zniżkę aż do połowy etatu, czyli mógł uczyć tylko 9 godzin w tygodniu i otrzymywać wynagrodzenie za pełny etat. Takie to były czasy!

Mieliśmy w hufcu takich nauczycieli ze zniżkami kilkoro. Zadacie pytanie – czy szczepy przez nich prowadzone były inne? Lepsze? Czy sami

nauczyciele-instruktorzy czymś się wyróżniali? Nie. W ekipie tej znaleźli się ci, którzy „od zawsze”, tak jak ja, byli w hufcu, tylko jedna czy dwie osoby przyszły do nas „z cywila”. Szybko się wciągnęli do zwykłej działalności. U nas w hufcu szczepowy-student, szczepowy pracujący w dowolnym zawodzie i szczepowy-nauczyciel to byli tacy sami instruktorzy. Dziś słyszę, że „oni” – nauczyciele czymś się wyróżniają wśród kadry. I trochę nie rozumiem, o co w tym wyróżnianiu chodzi.

Po jakimś czasie zniżki zlikwidowano, a my w harcerstwie działaliśmy normalnie nadal. Dawno temu szczep przekazałem, ale w szkole, tak trochę z przyzwyczajenia, pozostałem. Pożegnałem się z nią definitywnie siedem miesięcy temu, w wieku 72 lat. I trochę mi jej brakuje.

PS: Jedna z instruktorek z mojego szczepu po przeczytaniu felietonu sprzed miesiąca powiedziała: – Z tym autentycznie radosnym świętem 1-majowym przesadziłeś. Chodziliśmy na pochody, ale tak autentycznie radośnie? – To prawda, szczepowym byłem kilkanaście lat i tak uogólnić uczestniczenia w pochodach nie powinienem. Było różnie. Ale chce się pamiętać te najwspanialsze chwile.

CZUWAJ 4/2018

Na Przedwiośniu

Przedwiośnie to bardzo optymistyczna pora roku. Jeszcze zimno, ale już pojawiają się pierwsze listki i pierwsze kwiaty. Przedwiośnie budzi nadzieję. Już przecież niedługo nadejdzie wiosna. Przyroda budzi się do życia.

Jeden z ośrodków, gdzie mamy drużyny Nieprzetartego Szlaku, ma właśnie taką nazwę: „Na Przedwiośniu”. Skąd się ona wzięła? Z uwielbienia dla twórczości Żeromskiego? A może z optymizmu tzw. organu założycielskiego? Chyba nie. Wydaje mi się, że z powodów bardziej prozaicznych. Uliczka, a właściwie jezdnia, którą można dojść do tego obiektu w Międzylesiu (o rzut kamieniem od Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka), nazywa się Przedwiośnie. Więc ta metaforyczna, piękna i optymistyczna nazwa wywodzi się od nazwy ulicy? Chciałbym, aby nie była to jedyna przyczyna, dla której nadano mu taką nazwę.

Dla mnie dom opieki społecznej kojarzy się z domem seniora, dawniej nazywanym prozaicznie domem starców (bo przecież nie spokojnej starości). A tu nie. To tak naprawdę dom dla niepełnosprawnych dzieci i młodzieży. Choć ta młodzież miewa też i ponad 40 lat. W przypadku niepełnosprawnych nie zawsze liczy się wiek.

Dawno nie byłem „Na Przedwiośniu” u tych dzieci. Gdy ośrodkiem kierował Andrzej, nasz instruktor, niegdyś zastępca komendanta hufca i świetny zuchmistrz, było mi tam bliżej. Nawet organizowałem tam całkiem cywilny wolontariat studentów warszawskiego uniwersytetu. Andrzej był dumny z prawie setki swych pensjonariuszy. Każdego znał, z każdym, mijając go na korytarzu, zamieniał kilka słów. To niebywałe, jakie szczegóły z życia tych pokrzywdzonych przez los młodych ludzi znał nasz „Pan dyrektor”. Tak wyobrażam sobie, że powinien pracować szef takiej placówki. Po prostu z zapalem i z sercem.

Przed laty najbardziej Andrzej był dumny z chłopca, który przez długie lata był uznawany za osobę z głębokim upośledzeniem intelektualnym. Nie mówił, nie mógł się samodzielnie poruszać. I Andrzej ze swoimi pracownikami uzyskał z nim kontakt, chłopak zaczął się porozumiewać z otoczeniem. Okazało się, że ma wysoki iloraz inteligencji. Doszło do

tego, że przy pomocy opiekuna zaczął „pisać” wiersze. Przebywając zazwyczaj w jednym pomieszczeniu, potrafił metaforą oddać bardzo interesującą refleksję o zewnętrznym, słabo mu znanym świecie.

Pokazywał Andrzej też inne osoby, które tam przebywały. I kilkudziesięcioletnie „dziecko”, które było pomocne pracownikom domu, gdyż normalnie rozmawiało, było w stanie sporo zapamiętać i na dodatek było silne. Z jaką radością rwał się ten człowiek do wszystkich prac, które mógł wykonać. I zaprowadził mnie Andrzej do autentycznej kilkunastoletniej „roślinki”, z którą kontaktu nie było. Były to jednak wszystkie jego „dzieci”, których potrzeby rozumiał, którym chciał dać w smutnym wszak życiu jak najwięcej ludzkiej życzliwości.

Do Międzyzlesia wyprawiali się harcerze z drugiego krańca Warszawy, aby popłasać z bardziej sprawnymi pensjonariuszami skupionymi w jednej z dwóch drużyn NS. Aby przeprowadzić z nimi jakąś prostą, taką zuchową, grę. Bo „Na Przedwiośniu” działał przed laty i działa dziś szczerp harcerski. Gdy przeglądam prezentację pokazującą aktualną pracę tego środowiska, bardzo się cieszę, że szczerp trwa, harcerze są szczęśliwi i mogą w różnorodnej formie uczestniczyć w życiu ZHP. Nie wierzycie? Znajdźcie w internecie 419 WDHZ NS i przekonajcie się sami.

PS: Hm. Andrzej Winiarski, dyrektor Domu Opieki Społecznej „Na Przedwiośniu” zmarł w 2010 r. Środowisko harcerskie działa nadal.

CZUWAJ 5/2018

U naszych przyjaciół za granicą...

Ostatnio nasz hufiec (jakby nie było, ponad tysiąc członków) stał się bezdomny. Z naszą siedzibą jest kilka kłopotów, nie miejsce tu, aby opisywać, jak do tego doszło. Istotne, że zostaliśmy bez siedziby. Szukamy jej wraz z władzami dzielnicy już od dłuższego czasu. I co? Ano dziś, w połowie czerwca 2018 r., nic. Nowego miejsca zarząd dzielnicy od kilku lat nam nie znalazł. W dużej dzielnicy Warszawy!

W kontekście tego ważnego dla nas problemu (jak to ładnie brzmi) przypomnieli mi się skauci z bogatego małego Luksemburga.

Przed laty byliśmy zaprzyjaźnieni ze szczepem w Dudelage. Niejeden raz mieszkaliśmy w ich siedzibie. Piętrowy murowany budynek, co najmniej kilkaset metrów kwadratowych. W nim schronisko turystyczne, sala jadalna – konferencyjna, kuchnia (można zorganizować wesele!), sale drużyn, mała kawiarnia. Obok duże zabudowanie – magazyn sprzętu i warsztat. I niewielkie pole namiotowe. Własność od kilkudziesięciu lat tego środowiska. Wybudowali je, rozbudowali i teraz w nim gospodarują. Tak naprawdę zabudowaniami (pięknie zadbanymi) opiekują się miejscowi seniorzy. Nie idą na skautową zasłużoną emeryturę, tylko ciężko pracują, by obiekt błyszczał. Seniorzy też najwięcej wpłacają do kasy kawiarenki. To miejsce, gdzie starsi panowie systematycznie się spotykają. Towarzysko.

Szczep w Dudelage (jeden z dwóch w tym miasteczku) działa od wielu lat i ma swą siedzibę dzięki ciężkiej pracy jego założycieli. Ale jeżeli powstaje nowe środowisko? Nowe, ale ponad 100-osobowe. Byłem w ich chacie, jeszcze nie do końca zagospodarowanej, należącej do szczepu mieszczącego się koło stolicy państwa, koło Luksemburga. Budynek w kształcie ogromnej stodoły, pełen światła, dużo w nim drewna, dwa poziomy – parter i piętro. Pewnie jakieś 800 metrów kwadratowych. – Jak udało wam się zbudować tak wielki obiekt? – pada z naszej strony pytanie. – Po pierwsze rodzice, to oni składali się na naszą „harcówkę”. A po drugie – dostaliśmy bardzo dużą dotację z miejscowego samorządu. – Rada

gminy rozumie, że wychowanie miejscowych dzieci jest bardzo ważne, że trzeba w nie inwestować. I inwestuje. Jeżeli skauci nie mają odpowiedniego dla siebie miejsca, trzeba je im zapewnić. To takie proste.

Powiecie – bogate państwo, ich stać na budowę skautom siedzib. Stać rodziców i samorząd. Na dodatek Wielki Książę Luksemburga jest naczelnym miejscowym skautem. Ale dlaczego tam skauting jest autentycznie ceniony przez całe społeczeństwo i czerpie z tego profity, a my, wcale nie gorzej wychowujący dzieci i młodzież, jakoś nie możemy przebić się do świadomości władz, tak aby ta władza rzeczywiście nam pomagała? Przecież nasz hufiec nie chce dziś własnego domu harcerza wybudować, ale potrzebuje od władz dzielnicy realnej, autentycznej decyzji, gdzie ma działać komenda hufca, gdzie może we własnym pomieszczeniu na co dzień spotykać się kadra.

Cóż, narzekanie nic nie da. Na pewno jakąś powierzchnię dla hufca zdobędziemy. Może tylko żal, że jesteśmy dziś organizacją trzeciej użyteczności. Ogromny żal.

PS: Wiem, że są hufce cenione i wspierane przez samorządy. Może nasz ma po prostu pecha?

PS 2025: Hufiec siedzibę otrzymał, ale okazało się, że nie stać nas na comiesięczne płacenie za dużą powierzchnię. Zmieniamy siedzibę – będzie taniej. Tak informacyjnie – jest nas około tysiąca.

CZUWAJ 6/2018

To też warto przeczytać!

Wspominam minione pół wieku mojej instruktorskiej służby, ale dziś będzie o wcześniejszych czasach. Po prostu warszawska „Trójka”, z którą jestem związany kilkadziesiąt lat, organizowała się w roku 1911. Czyli ile drużyna liczy sobie lat? Ile? No tak: 107!

Dzięki Oficynie Wydawniczej „Impuls”, której szef hm. Wojtek Śliwerski zainicjował i rozwija serię „Przywrócić pamięć”, ukazał się reprint jednodniówki „3 Drużyna Harcerzy im. X. J. Poniatowskiego w Warszawie, 1911–1936”, wydanej z okazji 25-lecia drużyny. Na końcu pięknie opublikowanej broszurki fragmenty wspomnień wychowanków drużyny: Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Stanisława Broniewskiego „Orszy”, Ryszarda Matuszewskiego i Romana Michałowskiego. Wraz z moim szkicem o historii „Trójki” po 1956 r. stanowią one uzupełnienie dziejów środowiska aż do początku XXI wieku. Dlaczego o tym pisać? Oczywiście, aby przypomnieć czytelnikom „Czuwaj” o serii, w której wydano już ponad 150 pozycji. Ale także z innego powodu. Z opowieści sprzed wielu lat możemy wyciągnąć bardzo wiele wniosków do naszej współczesnej działalności. I ciągle czytać porównania:

Obozy. Gdy spojrzymy na mapę Polski z zaznaczonymi na niej obozami „Trójki” przed II wojną światową, zobaczymy, że co roku chłopcy obozowali w innej części kraju. W centrum i blisko granic. Poznawali dosłownie całą Polskę. A jeżeli do tego dodać obozy wędrowne oraz udział we wszystkich zlotach krajowych, Jamboree i Zlocie Skautów Słowiańskich – poznawanie kraju i Europy było jeszcze pełniejsze. Czy tak samo obozują nasi harcerze dziś?

Drużynowi. W latach trzydziestych drużyna liczyła ponad stu członków. I, zupełnie jak współczesne drużyny, miała kłopoty z wyborem drużynowego (bo drużynowy był wybierany przez jej radę). Wychowało się w niej kilku wybitnych instruktorów, ale nie wszyscy chcieli kierować drużyną. Tu przy okazji można zauważyć, jak tolerancyjna była kadra. Drużynowym (co było ewenementem na skalę kraju) był instruktor pochodzenia żydowskiego, drużynowym był też późniejszy wybitny instruk-

tor Szarych Szeregów Jan Rossman. Druh Jan był ewangelikiem. Czy my w harcerstwie aktualnie też jesteśmy tak tolerancyjni?

Symbole i tradycje. Drużyna żyła, zmieniała się z roku na rok. Podstawowe reguły zapisane były w jej regulaminie. Był on modyfikowany, bo życie tego wymagało. Wydaje się, że tylko nazwy zastępów pozostawały zawsze takie same. To „Rysie”, „Jaskółki”, „Czajki”, „Łosie” i „Jelenie”. Zawsze nazwy zwierząt. W roku 1936 zastępów było 13. Czy te nazwy, zgodnie z koncepcją BP, to nie piękna tradycja? Ale inne elementy? Nie dziwimy się dziś, że z nakryć głowy w 1933 r. zniknęła swastyka (drużyna wydawała także pismo „Swastyka”). Ale dlaczego zmienili krajki na krawaty? A później krawaty na (jak to ładnie napisali) zielone chustki? Takie nosimy my. Nic nie było tam sztywne i niezmiennie. Gdy patrzę dziś na nasze drużyny, w których „tak było od zawsze”, bardzo mnie to śmieszy. Od zawsze? Żarty.

Czy warto czytać o pracy jednej z dziesiątków drużyn działających w 20-leciu międzywojennym? Czy to może być interesujący materiał dla współczesnego czytelnika? Wiercie mi, że tak.

CZUWAJ 7–8/2018

Jedno trudne słowo

To słowo zrobiło ostatnio w ZHP ogromną karierę. Wszystko przez przewodniczącego ZHR. Wypowiadając się o przeszłości i teraźniejszości naszej organizacji w trakcie konferencji na gdańskim zlocie, użył słowa „miazmaty”. Dokładniej – mówił o „miazmatach przeszłości”, czyli z czasów sprzed roku 1990. Co to jest? O co chodzi? Zgodnie z przenośnym słownikowym znaczeniem tego słowa miazmat jest to „zły, demoralizujący wpływ, czynnik” albo „demoralizujące lub destrukcyjne czynniki”. A więc, rozumiejąc wprost wypowiedź hm. Grzegorza Nowika, przeszłość ZHP ma dziś na naszą organizację demoralizujący wpływ.

Taka interpretacja budzi ogromny sprzeciw. Milenialsi i kolejne młodsze pokolenie – najaktywniejsza kadra Związku – nie mają zielonego pojęcia, jakie to czynniki przeszłości mają (mogą mieć?) zły wpływ na pracę ZHP. Nawet jeżeli kadra ta dowie się (a dowiedzieć się powinna), że w drużynach HSPS mieliśmy duży procent harcerzy figurujących tylko na papierze, że promowano funkcjonowanie społeczno-politycznych klubów dyskusyjnych lub że w tychże drużynach oficjalnie noszono czerwone krajki z białym szlaczkiem, to co? Czy ta wiedza o harcerstwie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku będzie destrukcyjnym czynnikiem wpływającym na instruktorów w młodym i w średnim już wieku? Czy ta wiedza będzie w przyszłości dla nich demoralizująca? Przecież zlot w Spale i Zlot Grunwaldzki z 1988 r. są dla nich taką samą historią.

Jednak w trakcie konferencji nie sprawdzałem słownikowego znaczenia tego słowa i... przyznałem Grzegorzowi rację. Bo w jednym się zgadzamy. Owa historia, owa przeszłość Związku (nie zawsze świetlana) tkwi w nas, instruktorach (tak, Grzesiu, tak) starszego pokolenia. Tkwią dobre i złe wspomnienia. Tych pierwszych jest oczywiście więcej, ale czasem przypominamy sobie te złe. I jeżeli mówić o miazmatach przeszłości w ZHP, to chciałbym tu jasno powiedzieć: mówmy o miazmatach przeszłości i w ZHP, i w ZHR. Bo przecież starsi instruktorzy ZHR (jakoś nie mówimy tego głośno) wychowali się przed laty w ZHP i postanowili założyć z części drużyn Związku Harcerstwa Polskiego odrębną organizację. Ale organizację, która, o dziwo (nie, nie jestem zdziwiony) sięga korzenia-

mi, tradycją do „naszego” Małkowskiego i „naszych” Szarych Szeregów. Oni poszli drogą rewolucyjną, my – drogą ewolucyjną. I my mamy dziś pozytywne tego efekty. Efektów pracy ZHR nie oceniam.

Tak się złożyło, że druh Grzegorz wychował się w tym samym hufcu, co ja. Obaj mniej więcej w tym samym czasie byliśmy szczepowymi. Robiliśmy swoje i czasem ponosiliśmy tego konsekwencje. Czasy były ciekawe, w organizacji (uwaga, piszę o naszym hufcu) duże znaczenie odgrywali funkcjonariusze partyjni. Czasem nas to drażniło, czasem partia doprowadzała do zwolnienia któregoś instruktora z funkcji (oczywiście trudno było być niepokornym) i ten miazmat przeszłości Grzegorz (wszak od lat członek ZHR) pamięta. Pamięta druha X, który zdjął go z funkcji, pamięta druhnę Y, która mu nie pomogła. I te miazmaty w Grzegorzku tkwią. Na zawsze. Miazmaty, czyli pamięć o naszej kłopotliwej wspólnej przeszłości. Trzeba przyznać, że ja czasem też obrywałem, choć z innych niż Grzegorz powodów.

Czas płynie. Ludzie się zmieniają. Zmieniają poglądy, postawy, zachowania. Ateista staje się osobą głęboko wierzącą (i na odwrót). Bijemy się w piersi i dostajemy rozgrzeszenie. Wyrok sądowy po jakimś czasie ulega zatarciu... My, instruktorzy harcerscy, nie potrafimy niektórych naszych zachowań z przeszłości zacząć analizować jako wydarzeń historycznych, lecz tkwią one w nas jako Grzegorzowe miazmaty. I tkwią (powtórzę to) w instruktorach obu organizacji. W instruktorach, a nie w organizacjach. Choć chyba nie mogę odpowiadać za ZHR – napiszę więc inaczej: owe miazmaty nie dotyczą ZHP. I może już pora, abyśmy, wyciągając wnioski z przeszłych wydarzeń historycznych, mówili o przyszłości. To naprawdę ma sens.

CZUWAJ 9/2018

Życzenia na pół wieku

W felietonach zamieszczanych co miesiąc w „Czuwaj” opisuję moje refleksje – efekt wieloletniej służby instruktorskiej. Dotyczą one połowy, a nawet więcej niż połowy funkcjonowania Związku Harcerstwa Polskiego, który powstał w 1918 r.

Obchodzimy stulecie ZHP. Ale ja pamiętam tylko nieco ponad pół wieku jego działalności. Czy wspominać dziś po raz kolejny przeszłość? Nie, tym razem pomarzę o przyszłości. Pomyślmy, jaki chcielibyśmy widzieć nasz Związek za lat pięćdziesiąt. Dlaczego za pięćdziesiąt, a nie za sto? Nasze zuchy będą nadal w harcerstwie lub będą do gromad zuchowych wysyłać swe wnuki. To taka ludzka, zrozumiała dla nas perspektywa.

Po pierwsze – harcerstwo działa we wszystkich gminach. Niech każde dziecko ma szansę należeć do harcerstwa. Nie mam aktualnych informacji, jak wygląda taka harcerska mapa Polski. I chyba nikt w Związku ich nie ma. Ale wiem, że harcerstwo powinno być dla każdego, bo dzieci na to zasługują.

Po drugie – harcerstwo to przyjaźń z naturą. Tak, nasza organizacja musi na co dzień wychodzić z harcówek i korytarzy szkolnych na pola i do lasu. Niech zbiórka drużyny będzie dla harcerzy wielką terenową przygodą, niech nie odbywa się co tydzień po lekcjach. Chyba że są to zuchy, ale to już inna historia. Niech biwak będzie pod namiotami, a przygotowanie posiłku na kuchni polowej.

Po trzecie – pracujemy systemem zastępowym. Teraz mamy z tym zasadniczy kłopot. Niedawno usłyszałem, że dziś, w XXI wieku, pracować zastępami się już nie da. Nie jest to prawda. Oczywiście łatwo jest drużynowemu poprowadzić ciekawą zbiórkę osobiście (przy pomocy przybocznych) jak na świetlicy. Jeżeli nie będziemy działać zgodnie z metodą skautową, nie będziemy mieli harcerstwa. To takie proste.

Po czwarte – wszyscy drużynowi są instruktorami. Dziś duża część drużynowych, o czym pisaliśmy kilkakrotnie w „Czuwaj”, być może jest przygotowana do pełnienia funkcji, ale stopnia instruktorskiego nie posiada. Tak być nie może. Funkcję drużynowego powinien pełnić pełnoletni instruktor. Stworzyliśmy w ZHP jakieś bariery, utrudnienia (np. kurs

przewodnikowski i kurs drużynowych), miało to podnieść poziom naszej kadry. A efekty są bardzo skromne.

Jak można zauważyć, wszystkie moje życzenia krążą wokół drużyny i jej problemów. Bo prochu tu nie wymyślę – dobre drużyny to dobre harcerstwo. I co tam hufiec, co tam chorągiew, co tam problemy, jakie mają miejsce na szczycie naszych władz. Jeżeli decyzje zjazdów ZHP i kolejnych Rad Naczelnych nie będą bezpośrednio lub pośrednio mieć wpływu na pracę drużyny, to mogą one nie istnieć. Wystarczy decyzja Naczelnika.

Przeczytajcie uchwały naszych zjazdów w ciągu minionych lat, poczynając od Zjazdu Bydgoskiego (to taki zjazd, gdzie po raz ostatni byłem delegatem). Przecież gdyby zostały one zrealizowane, mielibyśmy w organizacji milion członków pracujących metodą harcerską. Tylko że z uchwałami nieźle nam idzie – gorzej z wprowadzaniem ich w życie.

Dlatego nie będę wpisywał tu: po piąte, po szóste itd. Życzyłbym jednak naszemu Związкови, aby część z nas – harcmistrzów – przestała z jednej strony błędzić z głową w chmurach, a z drugiej strony marudzić i narzekać, tylko wzięła się do działań, nazwałbym, u podstaw. Prowadziła kursy, warsztaty, także dla „cywilnych” ochotników na wsiach. Opiekowała się drużynami, aby rozrastały się w szczepy. Nawet te drużyny organizowała lub odtwarzała.

No tak, napisało mi się to piąte życzenie. Ale to nie cel, to jeden ze środków naszej codziennej działalności. No i jeszcze jedna uwaga – te cztery cele wcale nie muszą być osiągnięte za pięćdziesiąt lat. Może warto pomyśleć o jakiejś bliższej perspektywie?

CZUWAJ 11/2018

Oni i my, czyli o Związkach Harcerstwa Polskiego

Niedawno bardzo się zdziwiłem. Jedna z naszych instruktorek zadała pytanie, czy ZHP i ZHP działający poza granicami kraju to jedna i ta sama organizacja. Przyznam, że osłupiałem. Jak można tego nie wiedzieć? I wtedy przypomniało mi się pewne wydarzenie sprzed wielu lat.

Był rok 1984, a może 1985. Na pewno już po stanie wojennym. Redagowałem wówczas miesięcznik dla harcerzy starszych (czyli dzisiejszych wędrowników) „Drużyna – Na Tropie”. Któregoś dnia wszedł do redakcji onieśmielony nieco starszy już mężczyzna. – Jestem S. Mam stopień harcmistrza. Mieszkam w Londynie.

Ucieszyłem się. W tamtych latach miałem bardzo intensywne kontakty ze skautami kilku europejskich krajów, ale z harcerzami poza Polską – bardzo skromne. I po chwili rozmowy wyjaśniło się, dlaczego. Dlaczego tylko tak skromne kontakty być musiały.

– Druhu Adamie – powiedział S. – Ja tu jestem incognito, bo my, harcerstwo „londyńskie”, nie mamy prawa z wami rozmawiać, kontaktować się, ba, prowadzić korespondencji. – Nie pamiętam, czy to on mi wtedy opowiedział, czy może później jakiś inny instruktor, że instruktorzy z ZHP działającego poza granicami Kraju ponoć zanim wyjadą do kraju ojców, muszą zawiesić swoją działalność harcerską. Jadą do Polski jako „cywile” i dopiero po powrocie ponownie uzyskują prawa członka ZHP-pgK. Taka wizyta, jak druha S., była z jego strony po prostu aktem odwagi.

Druh S. okazał się instruktorem, z którym można było rozmawiać jak z kimś, kogo zna się od lat. Rozumiał uwarunkowania pracy naszej organizacji i potrafił mówić o kłopotach harcerstwa „londyńskiego”. Był on bardzo blisko władz ZHPpgK i bardzo martwił go fakt, że obie organizacje są sobie wrogie. Bo wrogie były.

Od tego czasu systematycznie otrzymywałem prasę z Londynu, zdobywałem na temat emigracyjnego harcerstwa coraz większą wiedzę. Druh

S. był dla mnie swoistym pomostem między naszymi organizacjami. Ilu było jeszcze takich druhów S.? Nieprzestrzegających tamtejszych reguł? Nie wiem.

Po zjeździe bydgoskim przestaliśmy być sobie wrody, ale swoista nieufność w stosunku do ZHP ze strony Londynu cały czas była widoczna. Dlatego ogromnym sukcesem obu stron było uczestniczenie reprezentacji ZHPpgK w zlocie w Zegrzu w 1995 r. Potem spotykaliśmy się jeszcze wielokrotnie podczas różnych przedsięwzięć.

Ale pewne niezrozumienie nas i naszej działalności występuje nadal, ono nadal gdzieś wśród instruktoerek i instruktorów na emigracji tkwi. Cóż, nie od razu Kraków zbudowano. My ten nasz harcerski Kraków budujemy z trudem. Zawsze wiele zależy od harcerskich władz. Ale wiele też od wzajemnych kontaktów drużyn. Takich kontaktów oddolnych. Aby się polubić, musimy się dobrze poznać.

W ostatnich miesiącach nastąpiło wyraźne przyspieszenie. Ja też w tym przyspieszeniu mam swój udział. Kontakty naszego naczelnictwa z władzami ZHP Świat (taką nazwę przyjmuje ostatnio harcerstwo emigracyjne) są dość bliskie. Mówimy jednak o małych krokach, bo jakiegokolwiek szybkie deklaracje nie przyniosą dobrych efektów.

Na szczęście jesteśmy już bardzo daleko od tych czasów, gdy speszony druh S. przyszedł do redakcji „Drużyny – Na Tropie”. Przyszedł, choć nie było mu wolno.

PS: A druhnie, która pytała, czy jesteśmy jedną organizacją, w tym felietonie chyba jasno odpowiedziałem. Jesteśmy dwiema organizacjami.

CZUWAJ 12/2018

Czy byliśmy za młodzi?

Pod koniec listopada ubiegłego roku zebraliśmy się w kilkudziesięcioosobowej ekipie starszych już byłych i aktualnych instruktorów, by wspominać dawne czasy, a przede wszystkim druha Stefana Romanowskiego, zmarłego miesiąc wcześniej naszego wieloletniego komendanta hufca. Kierował on w latach świetności Hufcem Praga-Południe, kiedy sukces gonił sukces, a hufiec był przez wielu uważany za najlepszy w ówczesnej Chorągwi Warszawskiej.

Snuliśmy więc opowieści o druhu Stefanie, ale w rzeczywistości były to opowieści o nas i czasach naszej młodości... W pewnym momencie zauważyłem, że w wypowiedziach kolejnych osób powtarza się jakby ten sam motyw. Mówi Ela: – Właśnie ukończyłam Liceum Pedagogiczne i o harcerstwie miałam niewielkie pojęcie, a tu druh Romanowski mówi do mnie: „Poprowadzisz obóz”. Ja, która raz byłam na obozie harcerskim!? I co? Poprowadziłam, podobno bardzo dobrze. – Druga Ela opowiada: – W Ocyplu (to nasza hufcowa baza kolonijna) komendant podszedł do mnie i mówi: „Będziesz namiestniczką zuchową”, a ja o zuchach nie miałam bladego pojęcia! Zabrałam się do studiowania książek o zuchach i we wrześnie objęłam nową funkcję. To naprawdę było dobre namiestnictwo, kilkudziesięcioro drużynowych... – I jeszcze Ewa: – Nie miałam jeszcze osiemnastu lat, ale dobrze bawiłam się z zuchami. I komendant mówi do mnie: „Będziesz komendantką kolonii”. Prowadziłam kolonię przez dwa turnusy, zuchy były zadowolone, i ja, i komendant też.

Ja tym razem nie opowiadałem, jak mając 19 lat prowadziłem zgrupowanie obozów. Moi komendanci byli pełnoletni – wszyscy mieli 18 lat: Bożena, Zdzisio i Michał. Wszystko zgodnie z prawem.

Jak to mogło być? Mało doświadczeni, młodzi, czasami mający niewielką wiedzę i umiejętności mianowani byliśmy w hufcu na wysokie funkcje. Ba, to, że byliśmy mianowani, to szczegół, ale myśmy te funkcje przyjmowali i na nich się sprawdzali. Byliśmy na tyle dobrzy, że nasz hufiec mógł być uznawany za wzorcowy. Z tak, jak wynikało z naszych wspomnień, słabą kadrą. Ale słabą tylko na wejściu, na początku. Byliśmy ambitni, poprzeczka była zawieszana wysoko. A myśmy szybko dorastali. Szybko, bardzo szybko się uczyli.

Nasz komendant działał, jakby znał zapis dzisiejszej Misji ZHP. Stawiał przed nami wyzwania. Bo komendant znał nas – swoją młodą kadrę i wiedział, komu jaką rolę w naszym harcerskim świecie przydzielić. Przecież pierwsza Ela miała już sporą wiedzę pedagogiczną, brakowało jej tylko szlifowania harcerskiego. Druga Ela w Ocyplu napatrzyła się na zuchy, tak naprawdę wiedziała, jak one pracują. A Ewa była jako 17-latką bardzo dorosła, pod okiem naszego szefa bez kłopotów kolonię prowadziła. Ja? Też sobie poradziłem.

Jakiś czas po spotkaniu poświęconym druhowi Stefanowi rozmawiałem z Barbarą, naszą byłą komendantką chorągwi. Okazało się, że była ode mnie lepsza – samodzielny obóz prowadziła, mając ukończone 18 lat. Choć Grażyna, moja późniejsza żona, kierowała w Bieszczadach samodzielnym 40-osobowym obozem szczepu będąc 17-latką. Kto tam za nią podpisywał papiery?

Byliśmy młodzi. Mieliśmy problemy. Czy wiecie, że kłopotem obozowym w tamtym czasie nie był program, nie była pionierka, siekiery z ogromnym trudem oprawiane, nie były kłopoty wychowawcze. Także wyżywienie całego towarzystwa było stosunkowo proste, choć gotowaliśmy na połowych kuchniach, budowanych samodzielnie z cegieł.

Nie, dla młodego (ale i dla starszego też) komendanta koszmarem były zetżety – zapotrzebowania żywnościowe. Było to takie zestawienie wszystkich produktów, jakie były wydawane jednego dnia do kuchni. Zetżet musiał być podsumowany, aby było wiadomo, ile danego dnia wydałimy na jedzenie. Suma widniejąca na zetżecie podzielona przez liczbę uczestników obozu dawała nam konkretną dzienną stawkę żywnościową. Po obozie suma wydatków na jedzenie z książki finansowej musiała zgadzać się z sumą wszystkich zetżetów oraz (uwaga, uwaga) z sumami zapisanymi w kartotekach magazynowych, bo każdy produkt miał swoją kartotekę. Myślicie, że to się zgadzało? Nie, nigdy. Pamiętajmy przy tym, że były to czasy, kiedy wprowadzano dopiero kalkulatory. Gdy miałem 19 lat, liczenie odbywało się, jak to ładnie nazywaliśmy, „na piechotę”.

Dlaczego o tym się rozpisuję? Ponieważ ciągle słyszę, że kadrę mamy za młodą, że za mało umie, że jeszcze nie dorosła... Nie dorósł instruktor mający 25 lat. Czuje się za młody, niedojrzały. Wtedy, pięćdziesiąt czy czterdzieści lat temu myśmy też byli za młodzi. Ale dawaliśmy sobie radę. Nawet z zetżetami.

50 (pięćdziesiąt)

Marzec 1969 roku. W rozkazie Komendanta Chorągwi Warszawskiej pojawia się informacja miła mojemu sercu – zostaję mianowany harcmistrzem. Mój komendant hufca wręcza mi czerwoną podkładkę pod krzyż harcerski. Tę podkładkę mam do dziś – trzymam ją w domowym składziku pamiątek. Zużyła się bardzo, nie wyglądałaby pod krzyżem zbyt reprezentacyjnie.

Tak, to już minęło pół wieku od chwili, gdy zostałem owym mistrzem harców. Szmat czasu... I dla niektórych to niezrozumiałe – cały czas jestem w czynnej służbie. Takiej autentycznej, nie na zapleczu – wyłącznie w kręgu seniorów czy komisji historycznej. Można powiedzieć – cały czas, bez ani jednego dnia przerwy, na pierwszej linii. Można było? Można.

Chwila wspomnień o tamtych latach. Rok 1968, pamiętny ze studenckiego marcowego buntu. Lato było dla mnie niezwykle interesujące – pięć tygodni zupełnie nieharcerskiego obozu wojskowego. Wspomnienia o nim nie mieszczą się w tych zapiskach, a szkoda. Cóż, w sierpniu mogłem tylko uczestniczyć w obozie wędrownym. Mało.

A lato, pierwsze lato z czerwoną podkładką? Najpierw obóz z Jankiem Schaitterem w Bieszczadach. W turnusie przed nami obozowała tam fan-ka Bieszczad Danusia Rosner. Było to piękne miejsce i całkiem dzikie. Już niedługo będzie znane w całej harcerskiej Polsce. Tak, tam na terenie dawnej wsi Wołosate obozować będą harcerze z Kielc. Tam narodzi się zespół „Wołosatki”. Kieruję jednym z obozów męskich, w którym są chłopcy z moich „46”, niedaleko są dziewczęta z Ewą jako komendantką i obożną Basią – nauczycielką w naszym liceum, to jej przekażę szczep. Tak, to jeszcze były czasy, kiedy koedukacja nie dominowała w środowiskach starszoharcerskich. Nad potokiem kuchnia, w której króluje nasza obozowa mama. Wszyscy, nawet Janek, mówiliśmy do niej „mamo”, choć była w rzeczywistości mamą jednej z naszych harcerek. Mama była z nami kolejny raz, pierwszy raz pojechała na obóz w 1964 r., gdy ja, także po raz pierwszy, prowadziłem zgrupowanie obozów.

Po Wołosatem, pół roku później zimowisko 1969/1970 na Hali Bora-czej. To tam rozpoczęliśmy w szczepie tradycję porannej gimnastyki w pi-

zamach na śniegu. Okazało się, że nie jest to straszne, nikt się nie przeiębił. Długo jeszcze mogę przypominać sobie wydarzenia sprzed pół wieku, gdy byłem młodym druham harcmistrzem.

Po pięćdziesięciu latach instruktorskiej służby z czerwoną podkładką mogę zadać sobie proste pytanie. Czy warto było? To przecież tyle dni i nocy, tyle potu i trudu, tyle kłopotów...

Odpowiem na to pytanie bardzo banalnie – oczywiście było warto. Moje życie toczyło się jakoś normalnie. Praca zawodowa – redaktor w wydawnictwie, dziennikarz, piszący zazwyczaj o harcerstwie, czasem korektor... Tu mieści się redagowanie „Czuwaj”. Drugi, równoległy zawód – nauczyciel języka polskiego w liceum. Lubiłem to, ten wątek zamknąłem półtora roku temu. Rodzina – żona (instruktorka), dwoje dzieci, dziś troje wnuków. Stabilizacja finansowa. Też normalnie. W harcerstwie pełniłem sto różnych funkcji, ciekawe by było ich wyliczenie. Po pięćdziesięciu latach bycia harcmistrzem jestem w ZHP nadal potrzebny. I w hufcu, i w Głównej Kwaterze, na przykład prawie trzydzieści lat wspieram polskie harcerstwo na Wschodzie, szczególnie na Białorusi... Miałem też jeszcze różne inne życiowe przygody, na przykład byłem radnym dzielnicy i radnym Warszawy.

Moje ostatnie pięćdziesiąt lat to ciąg wielu sukcesów, ale, jak to w życiu, różne wpadki też miałem. (Co powiedzieć o klasie, której duża część po maturze zaczyna publicznie mówić o mnie źle, a nawet bardzo źle, choć nie podaje konkretów, po prostu mnie nie lubi. To, że mnie nie lubi – trudno, ale ja tego wcześniej zupełnie nie zauważyłem!). Wpadki w harcerstwie, niewłaściwe zachowania z mojej strony. Były, były! To przecież pięćdziesiąt lat! Do dziś się wstydzę za towarzyszenie druźnie B. w wizytowaniu (w minionej, słusznie krytykowanej epoce) obozu, który nazywał się „Ostra Brama”. Jacyś rodzice donieśli o niewłaściwej nazwie i drużna musiała udzielić komendzie obozu reprimendy. Brałem w tym udział i do dziś czuję niesmak – nie stanąłem w obronie młodego komendanta.

Ale cóż, gdy spojrzę wstecz, gdy popatrzę na moich wychowanków, przede wszystkim tych harcerskich, mogę powiedzieć, że podejmowałem słuszne decyzje, tkwiąc w organizacji na dobre i na złe. Prowadząc szczerp „46”, po jakimś czasie „3”, kursy drużynowych, obozy stałe i wędrownie, zimowiska, duże (takie dla całego hufca) i małe (takie dla kręgu instruktorskiego) rajdy, różne imprezy i zbiórki... Słynęliśmy z obozów zagranicznych. Jakież trudne było ich załatwianie! Pasporty, wizy, trans-

port, program, pieniądze. Ale pod koniec lat siedemdziesiątych i w czasie kolejnych dwóch dekad nasi harcerze zwiedzili pół Europy, uczestniczyli w wielu zlotach i obozach skautowych. A nie byliśmy wtedy członkami WOSM i WAGGS.

Gdyby ktoś chciał się dowiedzieć, jakie są moje poglądy na tematy harcerskie, może sięgnąć do felietonów, które publikuję trzydzieści kilka lat. Tego, co pisałem, nie wstydę się. Bo cały czas walczę o lepsze harcerstwo. Nie tak dawno przeczytałem moje teksty z 1981 i 1982 roku. To przecież były całkiem inne czasy, okres przełomowy dla organizacji (właśnie zamknęliśmy niechlubny czas HSPS), a problemy jakby te same i to, o czym pisałem, nadal jest warte współczesnej refleksji.

I jeszcze jedna ważna uwaga. Jestem przywiązany do Związku Harcerstwa Polskiego. Nigdy nie pomyślałem, że można z niego odejść. Uważałem, że naszą organizację trzeba modernizować, zmieniać, ale nigdy mi nie przyszło do głowy, by robić w niej rewolucję. Dlatego oburzony byłem przeprowadzoną przez instruktorów mojego hufca okupacją budynku Głównej Kwatery ZHP na początku marca 1990 r. Oni mieli dużo racji w swych postulatach, ale nie można zmieniać organizacji takimi metodami! Nasi hufcowi buntownicy odeszli z ZHP, osłabili nas (bo odeszły dobre i bardzo dobre środowiska). Musiało upłynąć kilkanaście lat, abyśmy odbudowali hufiec, tak by przekroczył on tysiąc członków. Byłem członkiem komendy. Mam w tym swój udział.

Harc mistrzowskie pięćdziesiąt lat. A największy sukces tej mojej połowy wieku? Nie, nie da się tego określić. Sukcesów były dziesiątki, a może setki. Chyba sukcesem jest, że dziś też jestem organizacji potrzebny. Nie będę się tu nadmiernie chwalił, ale teraz, po tylu latach, ciągle mam satysfakcję z tego, co robię w ZHP. I niech tak zostanie.

PS: Uważni czytelnicy zauważyli, że ten felieton, taki wspomnieniowy i z lekką nostalgiczny, jest podwójnie jubileuszowy, nosi on numer 50. Za miesiąc w pięćdziesiątym pierwszym roku mojego harcmistrzowania przeczytacie felieton nr 51.

Nie masz na nic czasu?

Słyszeliście kiedyś taki tekst? – Ja już nie mam na nic czasu, ciągle mi się zdarza, że na zbiórkę idę nieprzygotowany, ale daję sobie radę. – Albo taki: – Przecież się nie rozdwoję, komenda, komisja stopni i jeszcze szczep. Nie wiem, w co ręce włożyć, nie mogę przyjść na spotkanie do hufca! – Słyszeliście? Ja tak. I wydaje mi się, że jest to coraz częstsza nasza instruktorska codzienność. Podejmujemy się pełnienia kolejnej funkcji, bo nie mamy w hufcu kandydatów do zespołów, namiestnictw, władz, nie mamy po prostu kadry, na dodatek, jak wiemy, brakuje nam doświadczonego drużynowych.

Szukamy w hufcu, szukamy i... znajdujemy. Bo gdzieś obok nas jest jakiś „ktoś”, kto jeszcze przy okazji bycia namiestnikiem weźmie na swoje barki pracę w zespole wychowania duchowego, w komisji historycznej i zostanie na dodatek skarbnikiem w szczepie. Znajdzie się druh (albo druhna) wielofunkcyjny, który do czwartej funkcji dokłada sobie piątą. A jeżeli zaproponowana mu zostanie funkcja w chorągwi, jest szczęśliwy. Nigdy nie potrafi odmówić, po prostu powiedzieć „nie”.

Ale pomyślcie, jak tu być asertywnym, gdy w KSI brakuje harcmistrza, gdy nie ma kto reprezentować hufca na ważnej konferencji, a drużyna zostaje bez szefa i choć sam drużyny nie poprowadzę, to muszę, po prostu muszę zostać opiekunem niepełnoletniego drużynowego. No jak powiedzieć „nie”? A co zrobić, gdy jestem popularny w hufcu i zaczęną się do mnie zgłaszać kolejni chętni, bym był opiekunem ich próby instruktorskiej? Jeżeli mam już czwórkę podopiecznych, to może i piątym, a może i szóstym mógłbym się zaopiekować. Wszak miło być lubianym wśród młodych.

Uff. Dość przykładów. Harcerstwo ma być dla nas, instruktorów, miejscem, gdzie realizujemy swoją pasję bycia społecznym wychowawcą. A po latach – bycia wychowawcą wychowawców. Ale, co czasami mówię głośno, harcerstwo ma dla nas – instruktorów – być radością, przyjemnością, miejscem normalnej ludzkiej satysfakcji. Jeżeli funkcje nas przytłaczają, jeżeli w harcerstwie jesteśmy zestresowani, nie jesteśmy w stanie wywiązać się z przyjętych na siebie (wszak dobrowolnie) obowiązków, powinniśmy coś

zmienić. Przecież nie może być tak, abyśmy działali byle jak, bez przyjemności, bez satysfakcji. Bo cóż to za radość poprowadzić przeciętny, słaby rajd lub nieprzygotowany obóz? Albo opiekować się przyszłymi instruktorami, wcale się nimi nie opiekując?

Zmierzam do jednego, bardzo prostego wniosku: podejmujemy się tylko takich zadań, które możemy zrealizować na piątkę. (Zauważyliście, że nie piszę „na szóstkę”?). A więc może lepiej prowadzić jedną drużynę niż dwie? Może lepiej opiekować się dwojgiem przyszłych przewodników niż piątką? Być bardzo dobrym członkiem hufcowej komisji rewizyjnej, niż pełnić w hufcu trzy różne funkcje? Czy harcerstwo nie będzie wtedy lepsze? I czy my nie będziemy po prostu szczęśliwsi?

Powiecie: – Będziemy mieli mniej drużyn, mniej zespołów w hufcu lub zespoły te będą mniejsze. Klęska! No nie! – Ale czy na pewno tak będzie gorzej? Przecież będziemy lepszymi instruktorami, mniej obciążonymi dodatkowymi zadaniami i będziemy szczęśliwsi. Po drugie – będziemy mieli lepszą organizację, a to jest warte każdych wyrzeczeń, nawet za cenę pozbawienia się siódmej i ósmej funkcji w ZHP.

CZUWAJ 3/2019

Nadal pięknie się różnić

Gdy prowadzę ognisko, a zgromadzeni pochodzą z różnych środowisk, co na przykład ma miejsce na każdym kursie, ale także często na obozie, gdy już wyznaczę strażników ognia, gdy już poproszę najważniejszą w naszej gromadzie osobę o wykorzystanie jednej zapalki, zabieram głos... Mówię o sprawie banalnej, ale o której zawsze powiedzieć trzeba.

– Druhny i druhowie, tych kilka słów będzie o naszych ogniskowych zwyczajach. Nie jest dla was nowiną, że przy ogniu, który szanujemy, nie rozkładamy się, nie siedzimy do niego tyłem, że gdy śpiewana jest piosenka, której nie znamy, nie rozmawiamy. To jasne. Ale powiedzcie mi, jak się powinniśmy zachować, gdy śpiewamy pierwszą pieśń obrzędową? Siedzieć czy stać? Niektóre drużyny wstają, inne siedzą. Czy któraś z form jest lepsza? Moglibyśmy tu długo dyskutować. Ale jak fatalnie jest, gdy połowa zgromadzonych stoi, a połowa siedzi... Jak rozprasza to atmosferę ogniska. A co robić z rogatywką? Położyć na ziemi czy trzymać cały czas na rękę? A gdzie ma się znajdować nakrycie głowy w trakcie tejże pierwszej pieśni. Na głowach? A może powinniśmy trzymać je w rękę? Przypominają mi się dawne czasy, gdy każdy harcerz nosił przy pasku finkę. Zostawić ją w pochwie? Zapomnieć o niej? A może, tak po indiańsku, wbić w ziemię, by udowodnić, że mamy „broń”, ale przy ogniu jesteśmy nastawieni pokojowo? A może nie wbijać (kaleczymy matkę Ziemię), lecz po prostu finkę położyć?

– Tak, moi drodzy, w każdym szczepie, w każdej drużynie tradycje mamy inne. Co więc musimy uczynić? To niesłuchanie proste. Dostosować się do osób prowadzących ognisko. Do tych, którzy ogniskiem kierują. Oni wstają – wszyscy wstajemy, siedzą – siedzimy. Zakładają na głowy rogatki – my wszyscy też. I tak dalej. Pamiętajmy – ten, który kieruje, jest najważniejszy, w trakcie ogniska z nim nie dyskutujemy i oczywiście nie przeciwstawiamy mu się. Jesteśmy gromadą działającą wspólnie pod kierunkiem jednego wodza. – Tak kończę mój wstęp i ogień może już zapłonąć.

Po zakończeniu ogniska zawsze można podejść do prowadzącego, próbować go przekonać, że może prowadzić ognisko inaczej...

Dlaczego prowadzę tu ten przydługi wywód o sprawach tak jasnych? Otóż wydaje mi się, że instruktorzy naszej zacnej organizacji nie zachowują się tak, jak proponuję, żeby to czynić przy ognisku. Ktoś uznaje, że nakrycia głowy mają być założone, ktoś inny, że zdjęte. A gdy znajdzie się trzeci, który sądzi, że w dzisiejszych czasach rogatywki to przeżytek, koniec, tylko sięść i płakać.

I, niestety, również w innych sprawach nie potrafimy często podporządkować się prowadzącemu, uznać, że ktoś kieruje – apelem, rajdem, zadaniem, drużyną, hufcem... Dlatego w tym miejscu przypominam. Aktualnie ktoś kieruje Związkiem Harcerstwa Polskiego, chorągwią, ktoś hufcem, a my... zgodnie z zapisem Prawa Harcerskiego mamy podporządkowywać się tym przełożonym. Musimy zrobić wszystko, by zachowywać się jak przy ognisku. To trudne, wierzcie mi, dla mnie też ogromnie trudne. Ale przełożony to przełożony. Takiego sobie wybraliśmy. Prowadźmy oczywiście z nim dyskusję, przekonujmy się nawzajem do swoich racji. Jednak gdy już staniemy w kręgu i zaśpiewamy „Bratnie słowo”, niech będzie to wspólny śpiew. To będzie sukces całego naszego Związku.

CZUWAJ 4/2019

Pogwizdywać w każdej sytuacji

Pamiętacie, jak to było u Baden-Powella? Czy to nie on zapisał w skautowym prawie, iż chłopak ma się uśmiechać i pogwizdywać we wszystkich okolicznościach? Nie, nie czepiajmy się tłumaczenia. Biegli w piśmie zaczną mi wytykać, że nie pogwizduje, tylko gwiżdże, i nie w okolicznościach, tylko w każdej ciężkiej przygodzie. Inni, wiedzący wszystko najlepiej, zaprezentują inną wersję tłumaczenia. No i dobrze.

Popatrzymy na sens tego wymagania, przetłumaczonego ponoć przez Andrzeja Małkowskiego i zamieszczonego w 9-punktowym polskim „Prawie skautowym” z 1911 r., gdzie ciężka przygoda jest zapisana jako najcięższe nawet położenie.

Jakie to proste – skaut się uśmiecha, skaut jest radosny, zadowolony z życia, skaut jest szczęśliwy. I to szczęśliwy w każdej sytuacji, nawet wtedy, gdy okoliczności sprawiają, iż jest mu po prostu źle. Uśmiechowi (wołę uśmiech od śmiechu) towarzyszy pogwizdywanie. Owo pogwizdywanie świadczy o lekceważeniu trosk, bólu, zmartwień. Kiedyś popularny był zwrot: „Gwiżdż na to”, chyba dziś rzadko słyszany. „Gwizdać” można było też na kogoś – nie w celu przywołania go, jak to ma miejsce na naszych obozach – lecz ukazując, że nie jest on wart naszej uwagi. Taka postawa nie jest godna pochwały i taką interpretację zapisu lorda B-P odrzucamy.

Pogwizdywanie to także wyraz naszej beztroski i zadowolenia. Może ktoś z was zna zabawną piosenkę, śpiewaną w czasach Andrzeja Małkowskiego (a i później też): *Nie masz nad żołnierza dzielniejszego człeka, chociaż kule świszczą, to on nie ucieka, a chociaż go nawet trafi kulek trzysta, maszeruje dalej i tak sobie śwista.*

Owo świstanie, pogwizdywanie, ta skautowa radość to niesłychanie ważna cecha całego naszego ruchu. Gdy prawie czterdzieści lat temu po raz pierwszy miałem możliwość zetknięcia się ze skautingiem (a był to zlot nieco większy od naszego ubiegłorocznego na Wyspie Sobieszewskiej), zwróciłem uwagę na dwie sprawy – jacy oni, tam na Zachodzie, są dobrze zorganizowani i jacy oni są uśmiechnięci, przyjaźni, zadowoleni. Nie, nie

gwizdali w trudnych sytuacjach. Ale ta ich dobroć, ten codzienny uśmiech nieco różnił ich (w swojej masie) od nas. A od skautowego uśmiechu nie-daleko było do skautowego braterstwa. I z owym braterstwem mieliśmy na co dzień do czynienia.

Gdy patrzę dziś na naszą nie największą organizację, gdy słyszę o licznych dyskusjach czy polemikach, nie jestem pewny, czy staramy się być w głębi duszy radośni i przy okazji braterscy. Gdy patrzę na nasze drużyny, na harcerzy na zbiórkach, nie widzę uśmiechu na ich twarzach. Jesteśmy organizacją smutasów i osób, które postawiły przed sobą ważne zadania. Pamiętamy przecież o stawianiu sobie wyzwań. Poważnych! Trudno dziś nam w zgodzie z obowiązującym nas Prawem Harcerskim być pogodnym. Nie, nie proponuję, by pogwizdywanie było wprowadzone do naszego prawa. Ale więcej przyjaźni, radości, uśmiechu, więcej życzliwości by nam się przydało. Ot, z uśmiechem pokonujemy wszystkie trudności.

CZUWAJ 5/2019

Radość istnienia

Zima. Wyszliśmy o świcie na całodniowy rajd. Zdobywamy Śnieżkę. Tak, naszą pocztową górę w Sudetach. Podchodzimy od nietypowej strony – od wschodu. Jest zimno, bardzo zimno, a Śnieżka przypomina lodowaty stożek – jak z bajek. Wspinamy się po lodzie krok za krokiem, wiatr urywa nam głowy, czasami trzeba iść, podpierając się rękami. Zrezygnować z podejścia? Zjechać (dosłownie) po tym lodzie w dół? Czy z trudem przeć do góry? Nie, jednak idziemy, a właściwie się czołgamy. Grupa zamarzniętych bałwanów. I co? Śnieżka zdobyta. Wicher nie ustaje. Wpadamy do czeskiego schroniska. Co za radość. Radość zwycięstwa i radość istnienia. Jesteśmy szczęśliwi.

Lato. Jura Krakowsko-Częstochowska. Zapowiadało się, że będzie padać. Ale żeby aż tak padało? Nie, to nie jest burza, to po prostu półdniowa ulewa. Leje równo, bez szans, aby przerwało. Przykrywamy się, czym możemy, i idziemy. Prowadzi nas Leszek. Jak zwykle – w słońce czy w deszcz – na głowie ma swój beret bordo. Z beretu spływają czerwone strużki wody. I z przodu, i z tyłu. Idziemy. Prowadzi malowany Leszek, my za nim. Kilometr, dwa, trzy. Pomimo peleryn wszyscy już mają zmoczone nie tylko buty, ale i bieliznę. Wreszcie schronisko. Jest! Będzie można się wysuszyć. Co za szczęście! Deszcz nas nie pokonał. To był cudowny dzień! Tylko Leszek dziwnie wyglądał na wieczornym kominku.

Prosty spacer, choć z plecakami zawsze kłopotliwy – Jaworzyna Krynicka. Oczywiście na nogach. Idziemy spokojnie, ładna pogoda, ot, dojść, umyć się, coś dobrego zjeść. Spokój, cisza. I nagle, nie wiadomo dlaczego, otacza nas mgła. To nie jest mgła, to jest mleko, nie widzimy się w odległości metra. Co tam mówić o szlaku turystycznym. Wchodzimy na (chyba) dużą łąkę. Może to tu? Ale nie, schroniska nie ma. Wędrujemy, jakoś tak na wycucie, i po dłuższej chwili z końca naszego „sznureczka”, a było nas koło 20 osób, dochodzi cichy z tej odległości okrzyk: – Stójcie, tu coś z prawej strony widać! – Tak, nasza „latarnia” zauważyła schronisko. I dzięki jej za to. Nie musieliśmy zawracać. Po takiej malutkiej przygodzie schroniskowe naleśniki smakują dwa razy lepiej.

Wiecie, gdzie jadłem najlepsze drożdżówki na świecie? Było to w Norwegii w żeńskim protestanckim (jedynym w tym państwie) klasztorze. Siostry pokazywały nam, 30-osobowej grupie harcerek i harcerzy z mojego szczepu, swój klasztor, który tak naprawdę był wielkim, częściowo dzikim ogrodem. Z kamienistymi ścieżkami i miejscami, gdzie można się skupić, modlić, chwalić Pana. Z jakąś tablicą z biblijnym cytatem. Grzało nas letnie słońce, a siostry opowiadały o swoim prostym, skromnym życiu. I to one poczęstowały nas tymi pysznymi drożdżówkami, których smak pamiętam do dziś.

Następny przykład? Można je mnożyć. Na obozie, zimowisku, biwaku, na comiesięcznej zbiórce drużyny. Ileż to razy stajemy w połowie drogi lub dochodzimy do celu naszej wędrówki, kończymy jakieś zadanie i mówimy: – Życie jest piękne, otaczający nas świat jest zachwycający, wszystkie przeszkody da się pokonać. I jacy otaczają nas wspaniali ludzie. – Przecież bez problemów można zlekceważyć ogromną ulewę, bo wiemy, że wszystko da się wysuszyć, a przeżycie – wędrówka w deszczu – jest niepowtarzalna. A gdy jeszcze obok nas mamy przyjaciół? Gdy ktoś poda ci rękę wtedy, kiedy już masz dość i myślisz, że nie zrobisz ani jednego kroku więcej w czasie podchodzenia na oblodzoną Śnieżkę.. – I budzi się w nas refleksja. Sama, bez specjalnych rozmów, bez filozofowania. Życie jest piękne.

CZUWAJ 6–7/2019

Służba, braterstwo, praca nad sobą

Piękna triada. Podstawowe cele harcerstwa. Czym jest praca nad sobą, ładnie zwana samorealizacją, dobrze wiemy. O zdobywaniu stopni powstały dziesiątki felietonów. Czym jest braterstwo, także braterstwo skautowe, dyskutujemy na co dzień. Dziś będzie na ten trzeci temat. Będzie o służbie.

Dużo i różnorodnie o niej piszemy. Że zapomniana, że niemodna, że ważna. Że bez harcerskiej służby nie ma harcerstwa. I o tym, że przed laty harcerze przelewali krew za ojczyznę, pełniąc służbę. I o tym, jak współcześnie ważna jest „służba krwi” – bezinteresowne oddawanie krwi dla potrzeb polskich szpitali. Że kiedyś to mieliśmy inną harcerską służbę, na przykład „Niewidzialną rękę”, taką fajną, pożyteczną i przeprowadzaną przez zastępy. Uczestniczyłem niedawno w długiej dyskusji na temat różnicy między służbą a wolontariatem. Naprawdę ciekawej, wciągającej... Tylko pisanie i mówienie to jedno, a rzeczywiste pełnienie wolontarystycznej harcerskiej służby to drugie. Pięknie by było, gdyby dziś po przeprowadzeniu mądrej rozmowy harcerze zakasali rękawy i zabrali się do pracy. Czy tak jest? Z moich obserwacji, na pewno wycinkowych i mało reprezentatywnych, wynika, że nie. Tak, w rzeczywistości służba w harcerstwie stała się niemodna.

Nie powiem, że służba, działanie na rzecz ludzi, działanie na rzecz przyrody było przed laty głównym celem naszego harcerskiego środowiska. A piszę o pracy, która miała miejsce 30, 40 czy 50 lat temu – dawno, dawno temu, w innej epoce, w harcerstwie, które co poniektórzy uważają za „nieprawdziwe”. Ale powiem, że wtedy służbę na co dzień po prostu pełniliśmy. Czasami z wielkim trudem, czasami z radością i bez wysiłku.

Na przykład okazało się, że systematyczne odwiedzanie starszych państwa, noszenie im ze szkolnej stołówki posiłków, a raz lub dwa razy w tygodniu czytanie im gazet lub książek było piekielnie trudne. Bo młodzież (także i ta harcerska) systematyczna nie jest (i być nie może). Zatem taka służba rzadko się sprawdzała, choć była niezbędna i przynosiła harcerzom

dużą satysfakcję. Zostawiali przy niej nieliczni. Co ciekawe, nie zostawiali swych podopiecznych aż do czasu, gdy dziadkowie przeszli na zawsze do lepszego, ponoć, ze światów.

Ciekawsza była służba jednorazowa. Ile mieliśmy radości na jednym z zimowisk, gdy codzienne (!) prowadziliśmy dla miejscowych dzieci zbiórki harcerskie. Każdego dnia inny zastęp zbiórkę przygotowywał. My się bawiliśmy, bawiły się dzieci. Przez kilka lat dostawaliśmy od nich życzenia na Boże Narodzenie. Dzieci nas pamiętały. Na innym zimowisku, w Jarkowicach, wystawiliśmy w miejscowej szkole przedstawienie kukiełkowe. I w tej samej miejscowości zorganizowaliśmy zawody sportowe – takie na wesoło, jak na obozie harcerskim. To był nasz duży sukces. A dla dzieci duża radość. Piszę „my”. Ale przecież, to pamiętam, za przedstawienie odpowiadał zastęp „Dudików”, a który zastęp, a może które zastępy, organizował zawody? Tu pamiętać mnie zawodzi.

Bo za poszczególne zadania odpowiadały zastępy. Nie szczep, nie drużyna – po prostu zastęp. Nie, nie kwestionuję roli komendanta szczepu czy drużynowego. Ale to było normalne, że pracowaliśmy zastępami. I muszę tu przyznać, że we wsi na tym przedstawieniu nie byłem. Byłem za to na próbie. Bo jednak jakość naszego występu musiałem znać.

Latem rozmawialiśmy z leśnikami – pytaliśmy, ile moglibyśmy otrzymać pieniędzy za wykonaną pracę – pielienie szkółek leśnych. Odpowiedali: – Panie, grosze, dlatego taką pracę wykonujecie wy – harcerze. Nie musimy wam płacić. – No tak. Co roku na obozie jeden dzień spędzaliśmy, pracując w lesie. Społecznie. To było zupełnie normalne. Leśnicy nie znaleźliby osób do wykonywania takiej pracy. A my coś z siebie dawaliśmy lasowi, w którym obozowaliśmy. Ciekawe było też wycinanie tzw. suszków – młodych drzew, które uschły. Z tego materiału budowaliśmy urządzenia obozowe. Nie był to najlepszy materiał, bo był dość kruchy, ale jakoś prycze nam się nie rozpadały. I był jeden plus – samodzielnie wycięte w lesie suche żerdzie były nam przez leśników przekazane za darmo. Nie, nie było tak co roku. Podałem jednak przykład służby na rzecz lasu, która była dla nas bardzo korzystna.

Na obozach zapraszaliśmy też miejscowe dzieci, ale czasem i dorosłych, na nasze ogniska. Takie, do których się przygotowywaliśmy. Zazwyczaj obozowaliśmy daleko od wsi i kontakt z miejscową ludnością był utrudniony. Pamiętaliśmy też o „zielonych przedszkolach”, ale tu sukce-

sów nie odnosiliśmy. Aby zorganizować przedszkole, potrzebne były dzieci. A w okolicach, gdzie obozowaliśmy, dzieci nie było.

Ponieważ były to czasy, kiedy bardzo intensywnie zarabkowaliśmy (pisałem o tym w jednym z felietonów), nasza służba na rzecz szczepu i ta czysto charytatywna, absolutnie bezinteresowna jakoś się mieszała. Bo harcerze ciężko pracowali, nie otrzymywali za tę pracę pieniędzy, gdyż pieniądze trafiały do szczepu. Nie, nie mieliśmy konta w banku, pieniądze były lokowane na książeczkach oszczędnościowych.

I pieniądze spływały. Za sprzedaż zniczy (to było małe spółdzielcze przedsiębiorstwo), za sprzedaż książek (przede wszystkim Wydawnictwa Harcerskiego), za wysyłkę materiałów dla maturzystów (mieliśmy w szkole filię poczty), ale także za malowanie drzwi garaży i kopanie trawników na terenie naszej dzielnicy. To była bardzo trudna praca. Dla harcerzy – służba – taka na rzecz siebie; bo jak to inaczej nazwać? Ale jako szczep mieliśmy duże zyski.

Ważne było jedno – podejmowaliśmy bardzo dużo działań o różnej wadze i pracowaliśmy na rzecz innych. A dziś? Nasze władze wprowadziły to ważne słowo „służba” do wymagań na stopień przewodnika. Czy to coś zmienia w naszej harcerskiej rzeczywistości? Czy nie można po prostu w planie pracy wpisać – zrobimy coś dla innych ludzi? Dla dzieci z przedszkola, osób starszych w domu opieki, kolegów z klasy, dla miasta, dzielnicy, dla otaczającej nas przyrody itd. Czy nie można służby wpisać do planu każdej drużyny?

CZUWAJ 8/2019

Opinie i oceny

Oj, jakich to ja instruktorów obserwowałem w czasie mojej półwiekowej harcmistrzowskiej instruktorskiej służby. Tych wspaniałych, mających znakomity kontakt z młodzieżą, i tych całkiem przeciętnych. Tych, którzy mieli tysiące nowatorskich pomysłów, czasem zupełnie nierealnych i tych, którzy prochu nie wymyślali, ale byli uczciwymi „wyrobnikami” dobrze, a czasem bardzo dobrze prowadzącymi drużyny. Odpowiedzialnych i wprost odwrotnie. „Pistoletów”, zachowujących się jak wojskowi kaprale, i tych (a przeważnie te), którzy byli dobrymi wujkami (i ciociami), do których można było przyjść, poskarżyć się, wypłakać.

Po co ten przydługi wstęp? Gdyby nie ostatnio negatywny (niestety) kontekst – powiedziałbym, że jesteśmy kolorowi jak tęcza. Łącznie z niewystępującym w tęczy kolorem szarym. Zrozumienie tego faktu jest dla wielu z nas, harcerskich instruktorów, niezwykle trudne.

Obserwowałem przed niedawnym zjazdem nadzwyczajnym wypowiedzi naszych instruktorów. Czytam też wywody druhów dyskutantów, którzy – nie, nie zamierzają pokazać naszej pracy, naszych sukcesów, nie mają potrzeby pochwalić się dokonaniem jakiejś grupy instruktorów, ukazać zwycięstwa nad ludzkimi słabościami – ale z lubością opisują w różnorodny sposób, jaką to my mamy słabą organizację.

Dlatego nie zdziwił mnie szum, jaki wywołała nasza tolerancyjna postawa w stosunku do osób nieheteronormatywnych. Ponoć taka postawa budzi w społeczeństwie powszechny protest i ZHP ma coraz gorszą opinię wśród rodziców. Jak się dowiedziałem, na niedawnym zjeździe nadzwyczajnym (nie dane mi było w nim uczestniczyć) pojawiały się także takie wypowiedzi.

To zadziwiające, jak łatwo nasi instruktorzy wpisują się w ów nurt krytykantów (a nie krytyków) ZHP. Bo wystarczy z trybuny zjazdowej lub z fotela, na którym się siedzi i pisze dyskusyjne uwagi na facebooku, po prostu zejść i pojechać na zbiórkę jakiejkolwiek drużyny. Być może prowadzonej przez druhnę – lesbijkę. I porozmawiać z rodzicami. Ich nie interesuje pan Biedroń bardzo interesująco wypowiadający się na zlocie w Gdańsku na wiele tematów, ich nie interesuje druh W., który apeluje do

Prezydenta o ułaskawienie (druh W. został skazany za pedofilię, skrzywdził prawdopodobnie kilka dziewcząt w swym środowisku). Rodziców interesuje dobra zbiórka, interesuje biwak, obóz, fakt, że ktoś społecznie chce pomóc w wychowaniu ich dzieci. Rodziców interesuje, by drużynową czy drużynowym była osoba autentycznie spolegliwa. Czy nie zdajemy sobie sprawy, jak odległe od niektórych opinii wyrażonych na zjeździe jest autentyczne życie organizacji?

Na szczęście drużyna i drużynowy są najważniejsi. I rodzice, którzy chcą, aby ich dziecko wychowywało się w Związku Harcerstwa Polskiego. To takie proste.

CZUWAJ 11/2019

Jestem częścią historii harcerstwa

W grudniu tego roku Muzeum Harcerstwa wyprodukowało koszulki, na których widnieje powyższe zdanie. Koszulki te jako prezenty świąteczne były rozdawane instruktorom i współpracownikom muzeum. Jestem jednym z nich. Będę więc mógł ukazywać publicznie swoje wyznanie: „Jestem częścią historii harcerstwa”.

To prawda. Każdy z nas jest częścią historii naszej organizacji. I nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, że jesteśmy, by użyć prostego porównania, jak drobne strumyczki. Łączą się one w potok, który wpada do rzeki (albo potok sam rzeką się staje). Rzeka ma swoje dopływy na całym długim czasem biegu. Z ilu strumyczków składa się potęga rzeki? Woda z każdego strumyczka płynie w tej wielkiej rzece, płynie jak czas...

Aby owa historia nie odeszła w niebyt, aby choć niektórzy z nas, będący żywą historią harcerstwa, pozostali niezapomniani, dba nasze Muzeum Harcerstwa, dbają różne zespoły instruktorskie, kręgi seniorów. I także chorągwiane komisje historyczne. Od lat jestem członkiem takiej komisji w Chorągwi Stołecznej – komisji, która działa raz lepiej, raz słabiej, ale dzięki której udaje się część naszej historii „ocalić od zapomnienia”. Nie widzimy potrzeby, by zajmować się globalnie warszawskim harcerstwem od jego początków w roku 1911 do dziś. Nie mamy na to sił, nie mamy możliwości, często nie potrafimy podejmować niektórych tematów. Będąc „częścią historii harcerstwa”, nie silimy się na realizację zadań przekraczających nasze możliwości, dlatego postanowiliśmy, że zajmujemy się przede wszystkim trzema tematami: sztandarami, publikacjami i ludźmi.

Sztandary – to swoiste symbole organizacji, warto te stare, już nieużywane, gromadzić, katalogować, opisywać. Publikacje pozostają jako trwałe dorobek komisji. I wreszcie ludzie – strumyczki, „częstki historii”. Zbieramy o nich informacje, piszemy biogramy, organizujemy spotkania wspomnieniowe. Bo przecież bez nich nie byłoby harcerstwa...

Niektórzy instruktorzy jeszcze niedawno byli między nami. Osoby wybitne – czasem wpływające na losy całej organizacji, a czasem po prostu

znakomici wychowawcy, znani tylko w swoich środowiskach. Są wśród nich ikony harcerstwa, postacie pomnikowe. Druhna Wanda Tazbirówna – przez dziesiątki lat prowadząca świetny szczerp Nieprzetartego Szlaku w Instytucie Głuchoniemych (jej pomnik znajduje się na dziedzińcu instytutu przy placu Trzech Krzyży), druh Władysław Skoraczewski – twórca kilkusetosobowego chóru dziecięcego i młodzieżowego oraz orkiestry symfonicznej przy Teatrze Wielkim, druh Stanisław Sieradzki „Świst” – harcerz Szarych Szeregów, represjonowany w okresie stalinowskim, świetny gawędziarz i przyjaciel młodzieży, druh Leszek Gasztych – żeglarz, drużynowy, twórca Harcerskiego Ośrodka Wodnego... To o nich rozmawialiśmy w gronie wychowanków, przyjaciół i tych, którzy chcieli poznać ich bliżej, dowiedzieć się więcej. Gdyby nie oni, harcerstwo byłoby słabsze, a przede wszystkim mniej barwne. A były to silne indywidualności. Ostatnio wspominaliśmy jednego z takich instruktorów – druha Andrzeja Kieruzalskiego, który przez wiele lat wychowywał setki dzieci i młodzieży w zespole „Gawęda”.

Wcale nie dziwi, że gdy przygotowujemy kolejne spotkania, rozmawiamy z osobami, które naszych bohaterów znały najlepiej. I wtedy okazuje się, że dawne harcerskie przyjaźnie są trwałe, że wychowankowie z „Chóru Skoraczewskiego”, „Gawędy” czy HOW-u spotykają się po latach, wspominają dawne czasy i swych „druhów”. Może dlatego zbiórki naszej komisji historycznej są tak fascynujące? Ileż ciekawych informacji można zdobyć w trakcie tych kilku godzin...

Tak. Naprawdę byli silnymi strumieniami – częstkami historii harcerstwa. Bardzo jest ważne, by pamiętać o nich wszystkich w nas pozostała.

CZUWAJ 12/2019

To był wywiad!

Był rok 1981. 19 lutego. W najpopularniejszym warszawskim porannym dzienniku „Życie Warszawy” na pierwszej stronie typowe dla tamtych czasów tytuły: „Posiedzenie Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR”, „Zakończenie strajku w Łodzi”, „W sprawie mięsa” (przypominam – mięso było na kartki), zdjęcie z kręcenia w Stoczni Gdańskiej „Człowieka z marmuru”, „Gospodarcze i społeczne problemy wsi”, mała notatka „Drugi dzień Jana Pawła II na Filipinach”... Ależ to były czasy! A w dolnej części na pierwszej stronie „Rozmowa Życia – Czy harcerstwo wymaga odnowy?”. Tak. Jest tam moje zdjęcie – niewiele się różniące od tego, które zamieszczane jest w „Czuwaj” – no, broda mi posiwiiała – i rozmowa o harcerstwie.

Co interesowało wówczas panią redaktor i czytelników „Życia”?

Występuję tam jako komendant szczepu (ciekawe – w gazecie wydrukowano, iż nosi on imię Józefa Poniatowskiego a nie, jak być powinno – księcia Józefa...). Jest rok 81, kraj w kryzysie ekonomicznym, wolne związki zawodowe mogą aktywnie działać, do stanu wojennego jeszcze dziewięć miesięcy, nasz Związek przed VII Zjazdem. Polska stoi w obliczu ogromnych zmian, w obliczu zmian stoi harcerstwo.

Cóż wtedy dziennikarce „Życia Warszawy” powiedział druh harcmistrz? Najpierw „odnowa”. Na pytanie, na czym ma polegać odnowa w moim szczepie, czyli 3 WDH, ku mojemu dziś najgłębszemu zdziwieniu odpowiedziałem: – *Twierdzę, że harcerstwo w ogóle nie wymaga odnowy.* – Uznałem jednak chyba, że się zdecydowanie zagalopowałem i wyjaśniam, mówiąc dalej nie o organizacji, lecz o ruchu: – *Harcerstwo od zarania swych dziejów kierowało się pewnymi podstawowymi i niezmiennymi zasadami (...) zasady te leżały zawsze u podstaw wszelkiej aktywności młodzieży, były i są racją istnienia związku. Dlatego w naszym szczepie nie zmienimy nic z tego, co robiliśmy dotychczas.*

Fakt, wypowiadałem się w imieniu naszego środowiska. A przecież wówczas takich szczepów jak nasz nie było w całej organizacji zbyt wiele. Nie chciałem krytykować naszej organizacji, nie chciałem źle mówić o ZHP tysiącom czytelników pisma. Ot, u nas w szczepie jest dobrze. Na-

stępnie tłumaczyłem się z faktu, że istniejące drużyny Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej staną się drużynami starszoharcerskimi. Dziennikarka zapytała, czy to nie jest odnowa? Odpowiedziałem: – *To tylko powrót do tradycyjnej nomenklatury. Obowiązująca jeszcze, w naszym przypadku nigdy się nie przyjęła. Zresztą miano „drużyna HSPS” w zestawieniu z naszym patronem brzmiało nawet trochę humorystycznie. (...) Chodzi pani zapewne, że program drużyn HSPS kładł ogromny nacisk na prowadzenie różnych form wychowania ideowo-politycznego. (...) My od lat prowadzimy dla chętnych klub dyskusyjny. Uważam, że nasze spotkania ze znawcami rozmaitych zagadnień były ciekawe i pożyteczne. Nie przyjęły się natomiast inne z lansowanych przez program HSPS formy, np. beznadziejnie sformułowane regulaminy stopni starszoharcerskich.*

Cóż, byliśmy normalnym środowiskiem harcerskim w warszawskim liceum. Co roku samodzielny obóz stały, ze dwa wędrownie, ostatnio zagraniczne. Szykowaliśmy się do zlotu skautowego w Norwegii. Realizowaliśmy zwykły program w roku harcerskim. Dużo turystyki, sporo prac zarobkowych i codziennej harcerskiej służby. Mogłem spokojnie o tym mówić, mając pełną świadomość, że nie wszędzie tak jest.

Rozmowa jest długa, poruszamy w niej problemy akcji centralnych. Takich jak „Operacja Bieszczady 40”. I tu także, ku mojemu zdziwieniu, jestem dość krytyczny. Mówię, że *lepsze efekty wychowawcze będą, gdy harcerze zrobią w lesie zwiad, porozmawiają z leśnikiem, i dopiero wtedy w efekcie podejmą służbę na rzecz środowiska. Zupełnie inaczej jest, kiedy grupa pomaszeruje na przygotowany front robót, [harcerze] zrobią, co im się każe, wreszcie podsumują roboczogodziny, przeliczą je na punkty, rozdadzą odznaki. Uważam, że każde postępowanie wychowawcze winno być przeprowadzone od początku do końca. Od rozbicia namiotu, ba, zapracowania na niego i kupienia w ciągu roku, aż do zwinięcia. Wyjaśniałem, o co mi chodzi. Przecież harcerstwo ma być organizacją harcerzy, a nie dla harcerzy. Zajmuję się także jakością kadry (mieliśmy wówczas wielu nauczycieli, którzy byli zmuszani przez dyrekcje szkół do pełnienia funkcji drużynowych), opowiadałem nieco o sobie. Kończę przypomnieniem, iż tradycje naszego środowiska sięgają roku 1911. Z jednej strony to ułatwia pracę, z drugiej – zobowiązuje do sprostania tym tradycjom i do ich kontynuowania. (...) Chyba dlatego powiedziałem na początku, że w naszym szczepie nie musimy niczego odnawiać.*

To zupełnie nieprawdopodobne. Prawie czterdzieści lat temu cały czas mówię o normalności w szczepie. O zwykłej pracy, o tradycji. Ale także o problemach, trudnościach organizacji – o słabej kadrze, akcjach centralnych, nawet o niewłaściwych wymaganiach na stopnie harcerskie. Uważny czytelnik zauważy, że w całym związku zmiany są niezbędne. Ale w wyjątkowo kłopotliwej sytuacji cały czas po prostu promowałem dobre harcerstwo. Bo tak trzeba, nie tylko wtedy. Dziś także.

CZUWAJ 1/2020

Budujemy metodyki od nowa?

Uważnych i pamiętających moje felietony czytelników „Czuwaj” ogromnie przepraszam. Nie tak dawno (w grudniu 2016) już na ten temat pisałem. Może w trochę innym kontekście, bo zaczynała się wówczas kolejna reforma szkolna, ale jednak. Tym razem zmobilizowała mnie hm. Lucyna Czechowska, a właściwie jej tekst opublikowany w pierwszym tegorocznym numerze „Czuwaj” (styczeń 2020). Zastępczyni naczelniczki ZHP zajmuje się w swoim artykule tym samym problemem – liczbą grup metodycznych i decyzjami, jakie w tej sprawie w najbliższym czasie powinna podjąć Rada Naczelna.

Lucyna reprezentuje pokolenie instruktorskie, dla którego niesłychanie ważne są badania, konsultacje, wyniki statystyczne. Potrzebne są jej twarde dane. Takie podejście wzmacnia dodatkowo fakt, że jest ona, w odróżnieniu od większości instruktorów Związku, pracownikiem nauki, zatem jej naukowa analiza świata nie powinna nikogo dziwić.

Ja jestem praktykiem. Wiele widziałem, to i owo przeżyłem – świadczą o tym chyba także moje kolejne teksty. Oceniam rzeczywistość na podstawie swoich doświadczeń i obserwacji. Czy z tego powodu nasze poglądy muszą więc być rozbieżne? Czy nie należy naukowo analizować pracy organizacji? Ależ nie. Badania, konsultacje są nam na pewno potrzebne. Tylko wydaje mi się, że w tym przypadku zastępczyni naczelniczki patrzy na problem drużyn starszoharcerskich bardzo wąsko. Głównym jej argumentem za utrzymaniem dotychczasowej struktury, czyli kontynuowaniem pracy drużyn starszoharcerskich, są trudności, jakie pojawiają się w pracy takiej drużyny, w której będą 10-letnie dzieci i 16-letnia (w rzeczywistości 15-letnia) młodzież.

Tak, oczywiście jest, że funkcjonowanie zastępu, do którego należy trójka czwartoklasistów i czwórka ósmoklasistów jest jakimś nieporozumieniem. Ale który rozsądny drużynowy zgodzi się na pracę takiego zastępu? Oczywiście zakładam, że rozmawiamy o normalnej, pracującej zgodnie z metodą harcerską drużynie, czyli takiej, w której działają zastępy.

Wydaje mi się, że należy wrócić do „starego” systemu. Ale z kilkoma modyfikacjami. Najwięcej zmian według mnie powinno mieć miejsce tam, gdzie na pozór jest najlepiej, czyli w pionie zuchowym (powszechnie uważamy, że ruch zuchowy funkcjonuje w ZHP bezbłędnie).

Dlaczego chciałbym „zamieszać” w zuchach? Otóż w wieku „późno-przedszkolnym” i wczesnoszkolnym widać u dzieci ogromne różnice. Dla mnie, laika, jedną z podstawowych widocznych różnic jest umiejętność czytania i pisania. Wiedza i funkcjonowanie dzieci czytających i jeszcze nieczytających są bardzo zróżnicowane. Popatrzmy na ich rozwój fizyczny i społeczny. Dopuściliśmy, by dzieci z zerówki i trzeciej klasy bawiły się w jednej gromadzie. Różnice między tymi dziećmi są większe niż między czwarto- i ósmoklasistami. A tymi różnicami „straszy” nas Lucyna. W przypadku najmłodszych członków naszej organizacji moje propozycje są nieco dalej idące.

Proponuję:

- Tworzymy w ZHP nową grupę metodyczną „krasnoludków” czy „skrzatów” (oczywiście nie chodzi tu o nazwę). Do tych gromad należeć będą dzieci, które nie potrafią jeszcze czytać i pisać, czyli maluchy z najstarszych grup przedszkolnych (w tym z tzw. zerówki) oraz dzieci z pierwszej klasy szkoły podstawowej. W tych gromadach zdobywać się będzie przede wszystkim sprawności baśniowe, te fantastyczne. Skrzaty nie wyjeżdżają na kolonie, na biwaki. Samoobsługa jeszcze ich nie dotyczy. One wszechstronnie przygotowują się do bycia... zuchami.
- Do zuchów należą dzieci z klas II–IV, jak to dawniej było. To są już prawdziwe dzielne zuchy, które nie płaczą na kolonii. Ta dzielność, taka z „Antka Cwaniaka”, charakteryzuje tę grupę metodyczną. I są to dzieci, które same potrafią dbać o swoją higienę, potrafią posprzątać, przeczytać instrukcję... (albo wierszyk). Większość zdobywanych sprawności zespołowych to tzw. sprawności zawodowe.
- Harcerze wracają do dawnej struktury – klasy V–VIII. A więc cztery roczniki, na przykład z zastępowymi z klas ósmych. Albo zastępy rówieśnicze z wybranym w zespole zastępowym. Uczniom po piątej klasie można dać już na obozie siekierę i piłę do ręki. To ważne – przecież muszą umieć zbudować sobie prycę.
- Harcerze starsi (wędownicy?) działają w szkołach ponadpodstawowych. Nic nowego pod słońcem. Oni też teoretycznie są w drużynie

przez cztery lata. Moim zdaniem mamy dziś szansę na powszechny powrót drużyn do liceów i techników. Drużyn złożonych z harcerzy niebędących kadrami zuchową i (użyjmy starej nazwy) młodszoharcerską.

- Odrębną grupą metodyczną byłiby nieliczni w Związku akademicy. Mam tu zbyt nikłą wiedzę, by pisać szczegółowo na ich temat. Ale to grupa skupiałaby członków ZHP od 19 do 25 roku życia. (Czyli starszyczna staje się starszyczną nieco później niż dziś, znów wracamy do „starego” porządku). Może nie nazywać tej grupy akademikami tylko właśnie wędrownikami, by nie zawęzić członków tej grupy, by mogli wejść do niej młodzi dorośli, którzy nie studiują. To oczywiście wstępna koncepcja. W tej grupie nie byłyby zdobywane stopnie według dotychczasowych zasad. Samorozwój akademików musi być inaczej poprowadzony...

W mojej koncepcji mamy stopnie, sprawności. Zastępy w klasach siódmych i ósmych realizują projekty. A może wszystkie zastępy projekty powinny realizować? Może to jest dobry pomysł? To przecież zadanie zespołowe, ale zaproponowane przez członków zastępu. W drużynach w szkołach ponadpodstawowych zdobywane byłyby zmienione znaki służb. Działamy bardzo tradycyjnie, jak przed laty, choć oczywiście wymagania na stopnie, sprawności, znaki służb są zmodyfikowane. Bo zmodyfikowane być muszą. Tylko to już inna historia.

Cóż, ta koncepcja, niewywracająca metodyki poszczególnych grup do góry nogami to inny pomysł niż te, o których ostatnio słyszałem. Ale może wart, drухno Lucyno, przedyskutowania? Dlatego piszę o tym w „Czuwaj” po raz drugi.

CZUWAJ 2/2020

Zawsze można dać sobie radę

Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze nam się nie śniło, że ZHP będzie członkiem WOSM, że będziemy organizować europejskie Jambo-ree, a może nawet światowe, z grupą 16 członków (i członkiń) naszego Szczepu 3 WDH im. x Józefa Poniatowskiego uczestniczyliśmy w zlocie skautów norweskich. Był to rok 1985. Nasz szczep był już bardzo zaawansowany w kontaktach z kilkoma środowiskami skautowymi w Europie. Po pobycie w Norwegii w 1981 r. byliśmy dwa lata później w Irlandii Północnej, gościliśmy też na swoim obozie skautów irlandzkich. Dlaczego to Irlandczycy nie bali się przyjechać do Polski w stanie wojennym? Pewnie się domyślacie. U nich wojna ciągle trwała. Myśmy się jednak także nie bali pojechać do nich...

Rok 1985. Trudny rok dla Polski, trudny rok dla harcerstwa. Ten norweski zlot, w którym wzięło udział kilkanaście tysięcy uczestników, nie był dla nas jakąś wielką niewiadomą. Dobrze znaliśmy skauting norweski. Wiedzieliśmy już, że miejscowi instruktorzy nigdy się nie spieszą. Zawsze są uśmiechnięci, nie denerwują się (co nam – harcerzom – niestety się zdarzało). Chodzą w mundurach, traktując je jak zwykłe koszule. Tak, wszyscy to dziś wiemy, ale wówczas dla harcerzy była to nowość. Na zlocie instruktorzy przygotowują ze swymi skautami smaczne i proste posiłki. My też już potrafiliśmy zbudować stół z paleniskiem, na którym rozpalaliśmy ognisko. Bardzo przydatne przy gotowaniu obiadu. Instruktor skautowy, gdy mówił, że spotka się o 18.00, przychodził po prostu o 18.00. Umiał też wiązać te węzły, które były mu potrzebne, by na przykład zbudować urządzenia obozowe bez użycia gwoździ (ów stół z paleniskiem też). Wiedzieliśmy, że instruktor po tygodniowym szkoleniu (oglądaliśmy norweski ośrodek w górach) potrafi poprowadzić drużynę. Wtedy po raz pierwszy strasznie spodobało mi się tipi, w którym na kursie skauci nie tylko śpią, ale mają w nim zajęcia. I to małe ognisko płonące na środku. Miło, ciepłutko. Wiedzieliśmy więc sporo, ale nie wszystko. Przekonaliśmy się o tym w trakcie zlotu.

Złot jak złot. Pierwsze dni upłynęły zgodnie ze schematem. Rozbijanie namiotów, urządzenie obozowiska, później wielkie otwarcie, czyli imponujące skautowe widowisko. Ogromna estrada, światła, nagłośnienie – skąd my to znamy? Zaczynają się codzienne normalne zajęcia. I nadchodzi TEN DZIEŃ. Chyba czwarty dzień złotu. Świt. Na teren naszego obozowiska wchodzi norweski skaut i spokojnie mówi: – Wstawajcie, pakujcie się, powódź. – Powtórzę, mówi spokojnie, jakby nic nadzwyczajnego się nie działo. Nic nie rozumiemy. Co się dzieje? Skautowe ćwiczenia? – Fakt, niebo było zachmurzone, ale deszcz jeszcze nie pada. Tu niezbędna jest jedna informacja. Przez środek obozowiska płynął strumień. Każdy sprawny harcerz po prostu mógł go przeskoczyć. Ot, strumyk. Wstaliśmy. Każą się zwiżać, to się zwiżamy, wszystkie drużyny także zaczęły się krzątać koło własnych namiotów. Po pół godziny, gdy nasze rzeczy były już wyniesione na pobliski pas dawnego lotniska, teren biwaku był już w wodzie. Najpierw po kostki, później po kolana. Woda płynęła leniwie, a z nieba zaczął padać dość intensywny deszcz. Wszędzie mokro. Staliśmy sobie z naszymi rzeczami, czekając, aż się coś dalej wydarzy. Wokół chodzili spokojni i też przemoknięci instruktorzy. I setki skautów. Nikt się nie denerwował, nikt nie panikował. Pobliski kiosk skautowy był nadal czynny.

Okazało się, że w górach było autentyczne ogromne oberwanie chmury i strumyk, który nigdy nie wylewał, tym razem po prostu zalał dużą część terenu złotu. Nie, nie wszystkie namioty, okazało się, że trzeba było ewakuować tylko około 6 tysięcy uczestników. Jedni powiedzą – tylko 6 tysięcy, inni – aż 6 tysięcy.

I co dalej? Po południu wszyscy skauci byli zakwaterowani pod dachem (my w siedzibie pobliskiego klubu sportowego). Zorganizowano nam ciepły posiłek, dostarczono produkty na kolację, każdy mógł wejść pod prysznic, a wieczorem odbyły już się zajęcia. W klubie była nas garstka, może setka. Gdy pojechałem do pobliskiej szkoły i zobaczyłem, jak bawi się tysiąc zakwaterowanych tam skautów, byłem szczęśliwy, że jesteśmy gdzieś na uboczu. Następnego dnia (muszę powiedzieć – zdziwiłem się) podstawiono nam autokar i pojechaliśmy na całodniową wycieczkę zaplanowaną na początku złotu. Ci, którzy mieli zajęcia na terenie złotu, zostali tam zawieszeni. My mogliśmy obejrzeć piękne fiordy, dowiedzieć się, gdzie i w jaki sposób produkowano w czasie II wojny światowej ciężką wodę. Usłyszeć o działalności norweskiego podziemia w tych trudnych czasach. Zobaczyć dział wodny i popatrzeć, jak z jednego źródła tworzą

się dwa potoki spływające w dwie różne strony. I jeździć tak krętymi i wąskimi szosami, że niektórym z nas mogło zakręcić się w głowach.

Ten dzień był wspinały, następne też. Już więcej nie padało, ale do końca zlotu biwakowaliśmy w klubie. Było świetnie.

Gdy woda opadła, a spłynęła tak szybko, jak przy płynęła, poszliśmy na teren naszego obozu. Na łące pozostał kilkucentymetrowy muł. I w tym mule tkwiła srebrna łyżeczka jednego z naszych harcerzy. To była jedyna zguba (i jedyne znalezisko) całej naszej ekipy. Gdy wspominamy ten zlot, nie mówimy: – To wtedy, gdy musieliśmy się ewakuować, była wielka powódź. – Mówimy: – To było na zlocie, na którym odzyskaliśmy srebrną łyżeczkę.

Po co to wszystko piszę? Po pierwsze bywa, że w naszym życiu nastąpi niespodziewane oberwanie chmury i trzeba zmienić plan dnia. Po drugie – z każdej sytuacji można wyjść obronną ręką (przypomnę – dawno, dawno temu nie było telefonów komórkowych, nie było internetu, to były całkiem inne czasy...). Można natychmiast tak przeorganizować życie kilku (a w rzeczywistości kilkunastu) tysięcy ludzi, by nadal mogli się bawić, by mogli zdobywać nowe doświadczenia, by dobrze się czuli w niespodziewanej, nietypowej sytuacji. Po prostu można.

Nie da się ukryć, ci niemrawi, stateczni, spokojni Norwegowie mi za imponowali. Jak oni to zrobili? Tak szybko i tak bez paniki? Szkoły, autokary do przewozu uczestników i realizacja wcześniej założonego programu. Dostawa żywności. Byli nadzwyczajni. Prawdziwi skauci. I można się było wiele od nich uczyć.

Tak. My aktualnie też znaleźliśmy się w nietypowej sytuacji. Nie było oberwania chmury, zaatakował nas wirus. Życzę wszystkim, aby potrafili jak nasi skandynawscy przyjaciele całe życie sprawnie przeorganizować. I nic przy tym nie stracić. Bo zawsze można dać sobie radę. Zawsze.

A ty ciągle w harcerstwie?

No tak, ciągle. Tylko pytanie, dlaczego. Dlaczego ciągle, dlaczego już niedługo obchodzić będę sześćdziesiątą rocznicę złożenia Zobowiązania Instruktorskiego. Najpierw posłuchajcie o tamtych czasach...

W Cieplicach w Centralnej Szkole Instruktorów Zuchowych, zwanej „Zuchową Chałupą”, pod koniec kursu drużynowych zadano nam pytanie, kto chce zostać instruktorem. Wszyscy, którzy mieli ukończone 16 lat, chcieli. Ja też, choć do tych 16 lat brakowało mi dwóch tygodni. Kadra kursu machnęła ręką: – Chce, niech składa. – I pewnego zimowego dnia w ruinach Zamku Chojnik (było to tradycją w CSI) wraz z grupą kursowych kolegów i koleżanek zobowiązaliśmy się do pełnienia instruktorskiej służby. Otrzymałem piękny dyplom i... nic z tego nie wynikło. Bo w tamtych czasach, aby być instruktorem, należało mieć stopień przewodnika. Co wcale nikogo nie dziwi. Więc przez rok byłem takim instruktorem – nieinstruktorem. Przewodnikiem zostałem (tak, tak, w naszym schronisku na Głodówce) 1 stycznia 1962 roku.

Od tamtych zamierzchłych czasów ciągle, bez dnia przerwy, jestem instruktorem. I to wcale nie dlatego, że ktoś ukuł powtarzaną formułkę, że jak raz harcerzem, to harcerzem na całe życie. Może właśnie dlatego, że od czasu do czasu ktoś, jakaś harcerska władza bardzo chciała mnie zachęcić do opuszczenia Związku albo udowodnić, że działam marnie. Ileż to razy musiałem się postawić i powiedzieć: – Po moim trupie. – Bo, jak mówią niektórzy: – Co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Tak. Jakoś te sytuacje demotywujące wpływały na mnie motywująco. Przykłady? Proszę bardzo.

Na zjeździe hufca (wtedy występującym pod nazwą „konferencja sprawozdawczo-wyborcza”) zostałem wybrany na funkcję zastępcy komendanta hufca. Hufiec duży, wielkości dzisiejszych chorągwi. Jest więc co robić. Oczywiście społecznie. I któregoś dnia słyszę: – Musisz z funkcji zrezygnować. – Co, dlaczego? Przecież jestem chwalony za moją pracę. Wykonuję ją dobrze. – Ale wiesz, rozumiesz, sekretarz propagandy w Komitecie

Dzielnicowym... – Zatkąło mnie. Co ma sekretarz propagandy do mojej funkcji? Miał. I to na tyle dużo, że zostałem w ciągu miesiąca zesłany do komendy chorągwi. Tam zostałem mianowany instruktorem. Później się dowiedziałem, że towarzysz sekretarz stwierdził, iż... byłem za bardzo samodzielny. A taki nie jest w harcerstwie potrzebny. Ale okazało się, że potrzebny jestem i po czasowej banicji do hufca wróciłem.

Inny przykład – proszę bardzo. Jesteśmy na zimowisku szczepu. Jest nas dużo, co najmniej pięćdziesięcioro. Super program turystyczny, szkoleniowy, kulturalny. Podejmujemy służbę społeczną w pobliskiej wsi. Prawdziwe, dobre harcerstwo. Któregoś dnia zjawia się wizytacja z harcerskiej centrali. Druhowieństwo oglądają nas w działaniu, sprawdzają książki pracy, rozmawiają z kadrą i uczestnikami. I w pewnym momencie z ust jednego z wizytatorów pada pytanie: – A jak druha przygotowujecie młodzież do wielkiego święta, jakim jest letni Festiwal Młodzieży i Studentów? My tu, Główna Kwatera, przesłaliśmy zadania dla wszystkich środowisk. – Że co, że jak, jaki festiwal? Co nas, harcerzy, obchodzi na zimowisku impreza w Berlinie? – Nie będę opisywał oburzenia wizytatorów. Ocenili bardzo dobre zimowisko jako dostateczne. I stwierdzili, że tak naprawdę to powinni ocenić jako niedostateczne, ale są tolerancyjni. I nie powinienem brać się za wychowywanie młodzieży. Nie uwierzyłem im.

I jeszcze jedna dykteryjka. Od czasu do czasu prowadziłem kursy dla kadry drużyn starszoharcerskich (dzisiejszych wędrowniczych). Po takim kursie, moim zdaniem bardzo dobrym, z uczestnikami na wysokim poziomie, kursie, na którym była świetna atmosfera, przeprowadził ze mną „poważną rozmowę” ówczesny komendant hufca: – Wiesz, nie jestem zadowolony z twojego kursu. – Dlaczego? – zapytałem. – Uważam, że twój kurs był na zbyt wysokim poziomie, w harcerstwie nie mamy prowadzić kształcenia na poziomie studiów magisterskich, tylko kursy zwykłych drużynowych... – Jak to, przecież oni kurs ukończyli! Co to znaczy „na zbyt wysokim poziomie?” – Tak uważam – powiedział mój komendant. I rzeczywiście, dopóki on był komendantem, do kształcenia kadry nie byłem zapraszany. Okazało się, że można więc być demotywowanym w harcerstwie z powodu prowadzenia zbyt dobrego kursu. Tak też bywa.

Nie, nie będę przytaczał podobnych współczesnych sytuacji. Gdy ten i ów instruktor zachował się jak ów pan sekretarz, jak druha wizytator z GK, który wiedział najlepiej, jak powinno wyglądać zimowisko starszoharcerskie. Niektórzy z dzisiejszych druhow – demotywowatorów czytują

„Czuwaj”, pełnią różne funkcje w Związku. Nie będę nikomu robił tu przykrości.

Każdy z nas spotyka się z podobnymi przypadkami. Ja zawsze mówię sobie: Nie dam się, wyjdę z tego konfliktu mocniejszy. I rzeczywiście tak było. Nadal jestem dumny z faktu, że nie pamiętałem o wielkim festiwalu, o którym pamiętać musiałem. I że usunięto mnie z hufca, gdyż byłem za bardzo samodzielny oraz prowadziłem kurs „na zbyt wysokim poziomie”. Było to dawno, dawno temu...

PS: Zastanawiam się, czy moimi demotyworami byli tylko instruktorzy wyższych szczebli. Czy moi harcerze, moi instruktorzy także nie zniechęcali mnie do pracy w harcerstwie. I muszę przyznać, że nie. Może dlatego, że młodym zawsze ich błędy wybaczalem, może z tymi młodymi pracowało mi się lepiej. Cóż, nadal jestem w harcerstwie.

CZUWAJ 5/2020

Byłem naczelnym „Czuwaj”

Dawno, dawno temu... Czy nie była to wiosna roku 1994? Zaprosił mnie na rozmowę Naczelnik ZHP. Pracowałem wtedy w Głównej Kwaterze, odtwarzając Wydawnictwo Harcerskie „Horyzonty”, którą to firmę zlikwidowano, a która okazała się potrzebna w nowych czasach w nowym ustroju i przy szybko modyfikującej się organizacji. Wydawnictwo, które przynosiło skromne zyski i zatrudniało równie skromne grono pracowników, po jakimś czasie ku mojemu największemu zdziwieniu zlikwidowano. Ale to całkiem inna historia warta kiedyś opisanie.

Zaprosił mnie więc naczelnik Paclawski, postawił przede mną kawę i zapytał: – Adam, czy zechciałbyś zostać naczelnym redaktorem „Czuwaj”? – Zdziwiłem się ogromnie, bo w głowie miałem pomysły związane z wydawaniem kolejnych książek. A nasz instruktorski miesięcznik miał się, moim zdaniem, zupełnie dobrze. – Wiesz, Ala, naczelna, zmienia pracę. Nie to jest jednak najważniejsze. – Zaciekałem się. – Widzisz – powiedział druh Naczelnik – chciałbym, aby pismo się zmieniło. – I opowiedział mi, na czym mu najbardziej zależy.

Do tej pory (a pismo wychodziło od kilku lat) w „Czuwaj” bardzo grzecznie, bezkrytycznie prezentowano pracę Związku Harcerstwa Polskiego. Bezkrytycznie, czyli po prostu nudno. To trzeba zmienić! Rzeczywiście. Pisałem do „Czuwaj” krótkie felietony, zatytułowane „Wężykiem”. Budziły one zainteresowanie, gdyż starałem się w nich uszczypliwie pisać o problemach Związku. Ale poza tym pismo było grzeczne aż do przesady. Może z powodu owego „Wężyka”, może dlatego, iż Naczelnik pamiętał moje czasami kontrowersyjne teksty sprzed kilku lat z „Drużyny – Na Tropie”? W każdym razie postawił zadanie: – Próbuj zmieniać naszych instruktorów, publikując różne, także krytyczne, materiały. – Zapewnił także, że nie będzie się wtrącał do tego, jak redaguję pismo. Pomyślałem, zgodziłem się.

Ku mojej radości druh Ryszard zapewnił mi (a niedługo nam, bo do redakcji doszła Halina Jankowska „Misia”) dobre warunki pracy. Otrzy-

maliliśmy duże pomieszczenie na redakcję. Byłem zapraszany na najważniejsze imprezy organizacji. Brałem udział nie tylko w spotkaniach Rady Naczelnej, ale także we wszystkich posiedzeniach Głównej Kwatery. Wiedziałem, bardzo dokładnie wiedziałem, co się dzieje w harcerstwie na szczeblu centralnym. Nie da się ukryć – bez wahania zabierałem głos na spotkaniach GK, byłem więc dodatkowym, takim zupełnie nieformalnym członkiem tego gremium.

Szybko też zorganizowałem (czy też zorganizował się) zespół współpracowników z wielu chorągwi. To oni mniej i bardziej systematycznie pisali, jak w terenie funkcjonuje nasz Związek. A czasy były trudne, reforma w ZHP dokonywana była powoli. W którymś momencie zwrócono mi uwagę: – Adam, czy rzeczywiście w jednym numerze musisz zamieszczać trzy teksty o piciu alkoholu przez naszą kadrę? Tak, na pewno przesadziłem. Ale ten problem (jak i wiele innych) istniał.

Prowadzenie pisma, które z jednej strony prezentuje osiągnięcia organizacji, ale z drugiej strony jej widoczne braki, to trochę jak chodzenie po linie. Gdy się chodzi za długo, musi dojść do upadku. Spadłem więc, fakt, że mało elegancko, ale nie miejsce tu, by użalać się nad sobą.

Do końca życia będę pamiętał, czego wymagał ode mnie naczelnik Pałowski: – Rób prawdziwe pismo, pokazuj w nim prawdziwą organizację. I nie martw się, że (jak dziś mówią w jednej z radiowych audycji) prawda nas zaboli.

Do dziś się cieszę, że za moich czasów, pracując na etacie Głównej Kwatery, byłem autentycznym niezależnym i samodzielnym redaktorem naczelnym miesięcznika „Czuwaj”. Powtarzam: na etacie.

PS Dziś co prawda nasz naczelny także kieruje „Czuwaj” zgodnie z własną koncepcją, ale to i owo się zmieniło. Druh Grzegorz za redagowanie i łamanie pisma nie dostaje ani grosza (często do wydawania „Czuwaj” dołącza), nie jest zapraszany na zbiórki Rady Naczelnej i spotkania Głównej Kwatery. Nawet w minionym zjeździe nadzwyczajnym redakcja nie miała szans uczestniczyć. Mogliśmy obrady obejrzeć sobie w relacji internetowej. Takie dla harcerskiego dziennikarstwa smutne czasy.

Gdybyście mogli przeczytać

Od pewnego czasu jestem członkiem kapituły Krzyża „Za Zasługi dla ZHP”, od niedawna kapituła zajmuje się też Medalem Wdzięczności ZHP – stosunkowo nowym odznaczeniem przeznaczonym przede wszystkim dla naszych harcerskich przyjaciół. Podstawowym zadaniem kapituły, co nikogo nie dziwi, jest opiniowanie wniosków składanych przez komendantów chorągwi i Naczelniczkę ZHP (bo tylko oni mają do tego prawo). Nasze oceny przekazujemy Przewodniczącemu ZHP, który bierze je pod uwagę, przyznając (lub nie przyznając) odpowiednie odznaczenie. Tu istotna uwaga – Przewodniczący nie musi się z kapitułą zgadzać. My jesteśmy tylko ciałem doradczym. Jest nas czworo i musimy przyznać, że bardzo dobrze się uzupełniamy, mając różne doświadczenia instruktorskie i życiowe. Ale miło jest stwierdzić, że jesteśmy zgodni w ocenach.

Praca w kapitule jest pasjonująca. Co dwa miesiące zapoznajemy się z kilkudziesięcioma opiniami dotyczącymi zasłużonych instruktorek i instruktorów. Wniosków w sprawie odznaczenia naszych wypróbowanych przyjaciół jest znacznie mniej.

Dlaczego to praca pasjonująca? Dostajemy informacje o dużej grupie naszej kadry z całej Polski. O instruktorach z małych miejscowości i wielkich miast. O instruktorach – studentach, inżynierach, pracownikach społecznych, nauczycielach i wychowawcach, o emerytach i pielęgniarkach. O starych i młodych, o podharcmistrach, którzy stopień zdobyli przed kilkoma miesiącami i seniorach, którzy niegdyś byli harcmistrzami Polski Ludowej.

Wszyscy oni są autentycznymi harcerzami, wychowawcami młodych pokoleń, pełniącymi najróżniejsze funkcje. I każdy poświęca dni i noce naszej organizacji. To jest wspaniałe. Naprawdę serce rośnie, gdy się czyta ich harcerskie życiorysy i uzasadnienia wniosku. Bo każdy z nich oddaje dzieciom swój wolny czas, a w dzisiejszych czasach nie mamy go zbyt wiele.

Tak, pięćdziesiąt lat temu, gdy byłem młodym harcmistrzem, naprawdę mieliśmy go znacznie więcej, Nie byliśmy tak zabiegani, zaafetowani

wiecznym doksztalcaniem się i zdobywaniem środków materialnych. Było bardziej biednie, siermiężnie, ale jakoś wszystko toczyło się spokojnie, logiczniej, bez takich emocji, jakie obserwujemy współcześnie.

Nic to. Gdy czytam kolejne uzasadnienie, za każdym razem się zachwycam. Że jest nas tak wiele, że nam się chce, że tyle wśród nas jest prawdziwych harcerskich zapaleńców. A przecież trafiają do nas, do naszej kapituły, oceny tylko niektórych. Bo wielu jest takich jak ja, którzy już krzyż w stopniu złotym mają. I wiele młodych, świetnych instruktorek i instruktorów, którzy z racji wieku czy stopnia jeszcze na to najwyższe odznaczenie nie zasłużyli. Nie może też być wniosków w sprawie tych starszych, którzy nie zdobyli stopnia podharcmistrza. Nie mnie tu dywagować, dlaczego tak się dzieje, ale niektórzy zapaleńcy, podejmujący się wielu wyzwań, na pewno na poziomie harcmistrzowskim, noszą ciągle granatowe podkładki pod krzyżem. I zgodnie z regulaminem Krzyża „Za Zasługi dla ZHP” otrzymać nie mogą.

Ale wiercie mi, gdybyście mogli przeczytać choć część uzasadnień, też byście powiedzieli: – Jaką świetną mamy organizację dzięki nim, dzięki nam, harcerskim instruktorkom i instruktorom.

CZUWAJ 7/2020

Gdybyście mogli przeczytać (2)

Od pewnego czasu jestem członkiem kapituły Krzyża „Za Zasługi dla ZHP”... Tak zacząłem felieton przed miesiącem. I tak też zacznę tym razem. Będzie nadal o nagradzaniu nas – instruktorów ZHP.

Nasza kapituła to zespół mądrych instruktorów, który marzy. Marzy o mądrych decyzjach naszych władz różnych szczebli. Jakby to było dobrze, abyśmy mieli precyzyjny, czytelny system wyróżniania naszej kadry – od tej najmłodszej do najstarszej, od najmniej doświadczonych instruktorów do seniorów, mających za sobą kilkadziesiąt lat harcerskiej służby. Jakby to było wspaniałe, gdyby młodą aktywną kadrę nagradzano najpierw w hufcu, aby ci najlepsi uzyskiwali na przykład tytuły instruktorów czy drużynowych roku. Aby zwyciężali w hufcowych plebiscytach i otrzymywali wyróżnienia w środowisku. Banał? A kto mi nie pozwoli wypowiadać banalnych lecz prawdziwych sformułowań. List pochwalny Naczelnika ZHP z okazji Dnia Myśli Braterskiej jest jednym z tych wyróżnień. Zauważyliście, że wiele hufców z tej formy nagradzania kadry nie korzysta?

Później tych przewodników czy podharc mistrzów po jakimś czasie powinniśmy nagradzać odznaczeniami chorągwanymi. I by dopiero wtedy, gdy już chorągiew instruktora wyróżni, komendant chorągwi dla tego najlepszego instruktora, nagradzanego w hufcu i chorągwi, pisał do Przewodniczącego ZHP wniosek o odznaczenie Krzyżem „Za Zasługi dla ZHP”.

Zauważyliście, o jakiej drodze wyróżnień piszę: hufiec – chorągiew – Przewodniczący ZHP. Taka powinna być ścieżka. O takiej, logicznej i prawidłowej, marzymy.

Ale co chwila spotykamy się z sytuacją, która może nas zaniepokoić. Dostajemy wniosek. Odznaczona Krzyżem „Za Zasługi dla ZHP” ma być drużna podharc mistrzyni. Lat 20. Stopień otrzymała przed dwoma tygodniami. Widać, że komendant chorągwi czekał, aż ukaże się rozkaz. Drużna już od prawie trzech lat jest instruktorką. Jest znakomita, autentycznie. Tylko jeszcze wcześniej na szczeblu hufca i chorągwi nigdy

nie była wyróżniona. Jest tak naprawdę na początku swej instruktorskiej służby! Ona przecież jeszcze się organizacji nie zasłużyła! Odrzucamy taki wniosek i jest nam przykro. Bo może ktoś już młodej instruktorce powiedział o wniosku? I dlaczego komendanci – hufca i chorągwi – nie postarali się, aby sensowniej motywować młodą instruktorkę?

Dostajemy też inne wnioski. Druh harcmistrz. Lat 50. Pełnił liczne funkcje w hufcu i w chorągwi. Przez 30 lat bez dnia przerwy. Dostajemy wniosek o przyznacie krzyża w stopniu brązowym. Z opinii wynika, że od 10 lat powinien mieć już nasz krzyż w stopniu złotym. Nikt o nim nie pamiętał? Wszyscy myśleli, że ma już wszystkie harcerskie odznaczenia? Trudno nam powiedzieć. Ale siedzimy w gronie kapituły i dumamy... Co się w tej chorągwi działo, gdzie przez lata byli nasi komendanci?

Może jakimś rozwiązaniem jest utworzenie w każdej chorągwi (bo w kilku już są) kapituł/zespołów do spraw odznaczeń. Takich grup instruktorskich, które z jednej strony będą blokować wnioski na krzyże zasługi dla osób, które powinny być najpierw wyróżniane w środowiskach, a z drugiej strony trzymać będą w rękę wykazy całej autentycznie zasłużonej kadry instruktorskiej, której w odpowiednim czasie powinny być przyznawane harcerskie odznaczenia.

Owe zespoły do spraw odznaczeń mogłyby też zajmować się typowaniem instruktorów do odznaczeń innych organizacji (np. TPD), resortowych (np. Medalu KEN) i państwowych. Ileż tu możliwości motywowania naszej kadry! Bo, czytaliście o tym przed miesiącem, tylu wśród nas jest znakomitych społeczników. Powinni być za to symbolicznie nagradzani. Naprawdę.

CZUWAJ 8/2020

Sztuka kochania

Ten obóz zorganizowaliśmy nad jeziorem Łaśmiady – pięknym i dużym akwenem niedaleko Elku. Normalny obóz szczerpu starszoharcerskiego. Działo się na nim wiele – ja z niego najlepiej zapamiętałem zabawę w przygody Odyseusza. Oczywiście nie podróżowaliśmy dziesięć lat, lecz tylko jeden pełny dzień. Od śniadania, gdy byliśmy w okolicach Troi, przez obiad – czy wydawała nam go Kirke? – aż do kolacji już na Itace. Byliśmy załogą, ale w odpowiednich momentach wcielaliśmy się w postacie, które akurat uczestniczyły w kolejnej przygodzie. Niektóre sceny musieliśmy nieco ocenzurować, bo fragmentów erotycznych w sposób dosłowny nie inscenizowaliśmy. Ale syreny śpiewały ślicznie, Posejdon mógł wykazać się ogromnym gniewem, a Cyklop stracił swe oko. Zalotników na Itace było kilku, ale Penelopa była wierna swemu od lat niewidzianemu mężowi.

Tak, to zapamiętałem ja – komendant. Ale moi harcerze być może tę zabawę zapamiętali, lecz wydaje mi się, że znacznie lepiej utkwiły im w pamięci popołudniowe lektury druha W. Druh ów (dziś jeden z bardziej znaczących polskich biznesmenów) zdobył świeżo wydaną lekturę. Najbardziej pożądaną w Polsce tego lata książkę – „Sztukę kochania” Michaliny Wisłockiej. – No też, taka ramota – pomyślą młodszy czytelnicy niniejszego felietonu. – Jest co zapamiętywać??? – Otóż tak. Młodzież mogła sobie przeczytać w tamtych czasach malutką broszurę naszego druha prof. hm. Andrzeja Jaczewskiego „O czym każdy chłopiec wiedzieć powinien”, wydawaną w dużych nakładach (podobne wydawnictwo było dla dziewcząt). I tyle. Skromne, delikatne, ostrożne uświadamianie trzynastolatków. A nasi licealiści nie mieli dla siebie żadnej lektury, naprawdę żadnej. Książka Wisłockiej to było odkrycie i prawdziwa sensacja.

Tu dygresja nauczyciela – polonisty. Jak śmieszyć dziś musi młodych czytelników lub widzów zachowanie Edka – jednego z bohaterów „Tanga” Sławomira Mrożka, który zafascynowany jest obrazkami z podręcznika anatomii. Tak, przecież nagiego ludzkiego ciała w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych XX wieku nigdzie nie pokazywano. Chyba że w zagranicznych kolorowych czasopismach do dziś zwanych „świerszczykami”.

Lektura „Sztuki kochania” była sensacją. Bo to było autentyczne uświadamianie młodzieży, i to zbiorowe. Nie, nie wszyscy wysłuchiwali druha W. Przecież nie wszyscy chcieli. Było normalnie.

Dlaczego o takim drobnym wydarzeniu z obozu nad Łaśniadami pisać? Bo pewnie dziś po takim obozie, gdy wszyscy jesteśmy nowocześniejsi, gdy od tamtych czasów upłynęło ponad 30 lat, gdy mamy internet, telefony komórkowe i wszelkie możliwości zdobywania i przesyłania informacji, przyszedłby do mnie jakiś rodzic i zakomunikowałby, że sobie nie życzy i że w harcerstwie tak pracować nie można. Bo dziś to rodzice mają ze swoimi dziećmi czytać Wisłocką. I harcerstwu od tego tematu wara. Taką mamy tę nowoczesność.

CZUWAJ 9/2012

Tak było... – czyli okruchy wspomnień

Byłogoszcz 30 lat temu, sala widowiskowa miejscowego dowództwa wojskowego (jaka różnica, gdy pamiętało się wypełnioną Salę Kongresową w warszawskim PKiN), zjazd ZHP odbywający się w niesłychanie burzliwych i przełomowych w dziejach Polski czasach... Jeżeli nie piszemy pamiętników, wspomnienia się zacierają. Dziś będzie bardzo autobiograficznie.

Byłem w latach osiemdziesiątych dziennikarzem, kierującym „Drużyną. Na Tropie” – miesięcznikiem drużynowych starszoharcerskich (czy też ruchu starszoharcerskiego). Miesięcznikiem wydawanym przez likwidowaną w 1990 r. Młodzieżową Agencję Wydawniczą. W dniach zjazdu MAW-owskie „Motywy” – nasz tygodnik, kierowany także do innych społecznych wychowawców – już wówczas nie istniały, w zamian zaczął wychodzić dwutygodnik „Czuwaj” redagowany w Głównej Kwaterze ZHP. Zamieszanie na rynku naszej harcerskiej prasy było ogromne i w tym kotle tkwiłem także ja.

Byłem w latach osiemdziesiątych komendantem niezłego szczepu starszoharcerskiego, przewodniczącym rady hufca i delegatem na kolejne zjazdy Związku. Nie, nie było prosto być wybranym na zjazd. W naszym „rejonie wyborczym” rywalizował ze mną ówczesny komendant chorągwi. Ja rywalizację tę ku swej ogromnej satysfakcji wygrałem. To był zresztą ostatni zjazd, w którym uczestniczyłem jako delegat.

Nie byłem wówczas pieszczoskiem harcerskich władz. Może dlatego, że jasno wypowiadałem (a także prezentowałem na piśmie) swe poglądy? Oj, jak ja sobie kpiłem z pomysłu zorganizowania zlotu ZHP w 1988 roku! A może dlatego, że byłem w redakcyjnej ekipie naszej szefowej hm. Joli Chełstowskiej, która jakoś nie potrafiła, a może nie chciała współpracować z ówczesną Główną Kwaterą? Do dziś nie wiem, dlaczego. Fakt, że nasze władze zdecydowały, iż moja (nasza) „Drużyna” ma paść i trzeba stworzyć od podstaw „Czuwaj”.

Zjazd bydgoski zapowiadał się kolejnym, w czasie którego nastąpią duże, korzystne dla organizacji zmiany. Ważne, zasadnicze. Przygotowany, zdawałoby się, w najdrobniejszych szczegółach. Bo ten zjazd był „być albo nie być” ZHP. Wszyscy to wiedzieliśmy. Naprawdę czuliśmy się jak w oblężonej twierdzy, której obrona jest wyjątkowo trudna. Strategia była czytelna – dokonywać w ZHP ewolucyjnych zmian, rewolucja niczemu dobremu nie służy.

Czy zjazd był w najdrobniejszych szczegółach przygotowany? Okazało się, że koncepcje organizacyjne, zmiany statutowe tak zaabsorbowały Główną Kwaterę, że nikt nie pomyślał, jak ma pracować w trakcie zjazdu Komisja Uchwał i Wniosków. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, iż w gronie członków komisji najlepiej nadają się na przewodniczącego tego gremium. Przypomnę – sfrustrowany (jednak) instruktor, którego nie lubi (?), nie ceni (?) kierownictwo Związku. Instruktor pięć lat wcześniej spuszczony na drzewo (to jeszcze inna historia) po czteroletniej aktywnej pracy we władzach ZHP. I takiemu instruktorowi wpada fucha kierowania ważną zjazdową komisją!

Jakież to myśli chodziły mi po głowie! Ale nic to, głupie pomysły wrzuciłem do kosza i razem z gościem zjazdu, Ajką, ówczesną zastępczynią komendanta Chorągwi Stołecznej, bardzo przyzwoicie i uczciwie przygotowaliśmy projekty wszystkich uchwał. Byłem lojalny – w tamtych czasach nic nowego w harcerstwie. Za tę pracę na zjeździe nikt mi nie podziękował – to też w naszej organizacji nie nowość. Poprzednia ekipa kierująca naszą organizacją ciągle traktowała mnie jako przeciwnika, a nie sojusznika. Szkoda.

Docenił mnie (i to dość szybko, co też mnie zdumiało) nowy, młody naczelnik hm. Ryszard Paclawski, docenił mnie przewodniczący hm. Stefan Mirowski, ale to już całkiem inna historia.

CZUWAJ 12/2020

Co im dało harcerstwo

Po przeczytaniu niedawno opublikowanych artykułów o sukcesach Harcerskiego Instytutu Badawczego zacząłem się zastanawiać, czy na pewno badania, których wyniki to suche procenty i wyliczane średnie, są jedynie słuszne w naszej organizacji. Czy jednak z opowieści „a w mojej drużynie to...” nie powinniśmy także wyciągać wniosków do pracy naszego Związku w kolejnych miesiącach i latach. Dziś tylko o jednym, no, może dwóch problemach.

Od lat zastanawiamy się, czy harcerstwo, czy aktywna działalność w drużynie powoduje, iż harcerz-wędroownik/instruktor nabiera cech i umiejętności, które stawiają go w tak zwanym życiu zawodowym w sytuacji, że jest lepszym pracownikiem, szefem, kolegą. Zastanówmy się, co nam daje harcerstwo.

Po pierwsze uważam, że droga życiowa naszych harcerzy bez harcerstwa byłaby bardzo podobna. Aby dojść do takiego wniosku nie są potrzebne badania. Asia z harcerstwem i bez niego byłaby dobrą lekarką, Jurek historykiem – dziś prezydenckim profesorem a Tomek dziennikarzem sportowym (uwaga, nie konfabuluję, lecz piszę o konkretnych instruktorach mojego szczerpu). Wojtek bez harcerstwa i tak by wypracował sobie bardzo mocną pozycję w polskim biznesie, a Tadek dzięki swym zdolnościom w swej firmie skonstruował „czarną skrzynkę”, która była zamontowana w samolocie prezydenckim lecącym do Smoleńska. Dorota nie harcerstwu zawdzięcza, iż jest dziś całkiem niezłą poetką. Mogę tak długo wymienić kolejnych moich harcerzy. Oczywiście o losach wielu nie mam pojęcia. Czasem dochodzi do niespodziewanych konfrontacji, jak niedawno w szpitalu Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, gdy dość przypadkowo znalazłem się na konsultacji w gabinecie znakomitego chirurga, kierownika kliniki. Popatrzył na mnie i mówi: – Druhu, ja przecież byłem w „Trójce” z druhem jako komendantem, a moją żonę druh uczył polskiego. – No tak, jego nie pamiętałem, pan profesor medycyny był u nas kiedyś zwykłym szeregowym.

I tu dochodzimy do ważnego „po drugie”. Z panem doktorem natychmiast znajduję wspólny język. Tak jak z dziesiątkami moich byłych harcerzy. Łączy nas więź, której nie da się opisać. Każde przypadkowe i nieprzypadkowe spotkanie to chwila spędzona z przyjacielem. Nie ze znajomym, lecz z kimś bliskim. Te spotkania w moim przypadku często mają miejsce po kilkudziesięciu latach. Ostatnio uświadomiłem sobie, że moje najstarsze zuchy, te maluchy, z którymi biegałem po lesie na kolonii w Michałowicach a rok później w Orawce, kończą w tym roku 70 lat! Leszek, Krzysio, Wojtek... Śpiewamy: „Kto raz przyjaźni poznał moc...” i słowa tej pieśni są prawdziwe. I dlatego dla nas wszystkich tak ważne jest owo „po drugie”. Ono jest istotą harcerstwa.

Na marginesie tych rozważań pamiętać musimy jeszcze to „po trzecie”. Bez socjologicznych badań wielokrotnie przekonujemy się, iż nasi wychowankowie są znakomitymi szefami. Bo we krwi mamy umiejętność kierowania zespołami ludzkimi, umiemy przydzielać zadania, rozliczać, chwalić i ganić. Umiemy też planować. Tego na pewno w harcerstwie się nauczyliśmy. I jeszcze jedno także potrafimy – wykonywać polecenia swoich szefów. Przecież kiedyś podporządkowywaliśmy się swojemu zastępowemu i drużynowemu. A może nawet komendantowi hufca.

Niech więc HIB bada, liczy, sprawdza, wyciąga wnioski, a ja na przykładzie mojego szczepu i tak będę wiedział, co dało, a czego nie dało nam harcerstwo.

CZUWAJ 3/2021

Rajdy, biwaki, wycieczki...

Pamiętacie? Coraz mniejsza liczba instruktorów te czasy pamięta. A były one bardzo ciekawe. Przypomnę. W sobotę chodziliśmy do szkoły. Zazwyczaj tego dnia mieliśmy mniej lekcji, ale przed 12.00 rzadko byliśmy wolni. Pamiętacie? Nie było telefonów komórkowych, GPS, internetu i wszystkich udogodnień XXI wieku. Pamiętacie? Samochód był dobrem niedostępnym dla przeciętnego obywatela, dopiero masowa produkcja „maluchów” tę sytuację trochę zmieniła. Ale nadal posiadanie samochodu świadczyło, że jego właściciel należał do swoistej elity społeczeństwa.

Jak więc organizować w takiej sytuacji w latach 60. i pierwszej połowie lat 70. XX wieku rajdy, biwaki, wycieczki? Jak? No właśnie – dla chętnego nic trudnego. Posłuchajcie...

Mieliśmy dobre, zaprzyjaźnione dyrekcje szkół. Działaliśmy przecież w szkołach. Komendant szczełu pisał podanie z prośbą o zwolnienie z sobotnich (a czasem i piątkowych) zajęć swoich harcerzy. A miła pani dyrektor wyrażała zgodę. Czasem pomarudziła, że zgodę musi jeszcze zaakceptować wychowawca... Wtedy mogliśmy wypożyczyć w piątek rano autokar (lub wsiąść do pociągu) i pojechać gdzieś w Polskę. Tak ułożyć trasę rajdu, by o odpowiedniej godzinie trafić na przykład na stację kolejową, by dojechać w niedzielę po południu do Warszawy. Trzydniowy rajd, trzydniowe wyrwanie się z miasta na wędrownkę – duża radość.

A że ta połączona była z harcerską przygodą, z poznawaniem zabytków, z ćwiczeniem samodzielności (harcerze starsi musieli zorganizować cały program), nie muszę dodawać, a więc i opisywać.

Ale przecież te zwolnienia nie mogły być zbyt częste. Od czego jest noc? Rajd nocny – szło się zazwyczaj w ciszy. Gdzieś z oddali słychać było szczekanie psa albo gwizd lokomotywy. To zupełnie nieprawdopodobne, z jak daleka w nocy było słychać różne dźwięki. Wędrownka z mapą, wędrownka z opisem trasy, a mieliśmy jeszcze dodatkowe atrakcje, gdy ktoś zorganizował nocne wielokilometrowe zawody na orientację. Czasami rajd to przejście trasy aż do rana, czasem spaliśmy gdzieś od północy

w stodole. To była jeszcze jedna przyjemność takiego rajdu. Bardzo dobrze znałem Lasy Celestynowskie, ale widziałem je w nocy.

Zawsze organizowaliśmy zimowisko – wyjazd wieczorem pierwszego lub drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, powrót 6 stycznia, bo 7 stycznia zaczynaliśmy zajęcia w szkole. Krótko. Wymyśliliśmy więc też „wiosenniska” – ferie wielkanocne trwały sześć dni, można było wyjechać do schroniska młodzieżowego lub naszej chorągwianej szkoły instruktorskiej w Starej Dąbrowie w środku Puszczy Kampinoskiej. To była nasza szansa na kolejny kontakt z przyrodą.

Nie było takich zwykłych biwaków? Takich pod namiotami? Dawno, dawno temu, w czasach, o których piszę, nie. Kupowaliśmy w pierwszej kolejności wyposażenie obozów stałych, małe turystyczne namioty stały się dla nas dopiero niezbędne, gdy zaczęliśmy organizować zagraniczne obozy wędrowne – gdzieś tak około roku 1975. Te nasze wcześniejsze biwaki były raczej rajdami – przejść, ile się da wieczorem w sobotę, spanie w stodole (lub kilku stodołach) i ciąg dalszy do południa w niedzielę, aby jeszcze wrócić do domu na obiad.

Do tego zestawu naszych wędrówek w okolicach Warszawy dopiszmy te dalsze – w czasie wakacji, obozy wędrowne i rajdy z obozów stałych – mieliśmy w nogach w ciągu roku wiele, wiele kilometrów. To inny temat.

Dlaczego o tym piszę dziś? Bo w czasie pandemii moglibyśmy w harcerstwie trochę wrócić do tamtych czasów. Pewnie nie do spania w stodołach, bo takich, w jakich my nocowaliśmy, dziś już nie ma (stałe pytanie gospodarza: – Ale czy wy to aby na pewno nie palicie?). W dobie aktualnych możliwości, gdy w większości rodzin są samochody i dzieci mają komórki, zorganizowanie wypraw, wypadów, wycieczek (ładnie je nazywaliśmy wykapkami), wędrowanie, spanie pod namiotami, gotowanie na świeżym powietrzu jest nie tylko możliwe, ale i konieczne.

Tamte czasy nie wrócą, ale te nowe mogą też być bardzo atrakcyjne.

CZUWAJ 4/2021

Mądry harcmistrz po szkodzie

W mediach, także w harcerskim internecie, ponownie pojawił się temat tragedii w Suszku, w sierpniu 2017 r. Na obozie harcerskim w trakcie burzy, nawałnicy, łamiącej drzewa jak zapalki, zginęły dwie harcerki. Było to straszne wydarzenie, nie tylko koszmar dla rodziców, ale trauma dla instruktorów oraz koleżanek i kolegów obozujących wspólnie w Borach Tucholskich. Opisywały to szczegółowo rozliczne media. Teraz, po prawie trzech latach od tamtych wydarzeń, instruktorzy harcerscy prowadzący ten obóz zostali przez sąd uniewinnieni. Cieszy ten wyrok, bo jest jedyny, jaki mógł zapisać. Jedyny sprawiedliwy.

Nawałnicę tę przeżyłem stosunkowo niedaleko Suszka, na obozie harcerskim na Kaszubach. U nas solidnie padało, mocno wiało. Rano okazało się, że sosna zwała się na naszą drogę dojazdową i potrzebna jest pomoc, aby tę przeszkodę usunąć. Przyjechał reporter z telewizji Gdańsk, pytał, jak przeżyliśmy tę burzę, czy rodzice nie chcą zabierać dzieci z obozu. Przeżyliśmy bez stresów, żaden rodzic nie wpadł na pomysł, aby przerwać dziecku harcerskie wakacje. Przecież deszcz nam nie nowina.

Po kilku dniach, gdy dowiedzieliśmy się o przebiegu wydarzeń na pobliskim obozie, na własny użytek dokonałem instruktorskiej analizy. Oto garść moich refleksji.

Niestety nieszczęśliwe wypadki mamy wpisane w ryzyko naszej instruktorskiej służby. Tylko że takie samo ryzyko wpisane jest, gdy przechodzimy przez jezdnię na pasach w dużym czy małym mieście. Podobnie gdy uczestniczymy w wypadku samochodowym, który nie z naszej winy ma miejsce na szosie. Itd., itd. Wypadki i sytuacje zagrażające życiu były i będą. Ale na kolonii zuchowej czy obozie ważne jest, by nasi wychowankowie byli bezpieczni, wszak rodzice powierzają nam swoje dzieci i chcą, aby wróciły do domu nie tylko zadowolone, ale przede wszystkim zdrowe.

Jednak gdy harcerstwo latem wywozi dziś kilkadziesiąt tysięcy dzieci i młodzieży na obozy (a niegdyś były to znacznie większe liczby), statystycznie coś złego musi się gdzieś wydarzyć. Nie będę tu wymieniał zna-

nych i wspominanych w prasie wypadków. Ale w moim hufcu – nie, nie na moim obozie – pijany kierowca zabił instruktorkę idącą zgodnie z przepisami nocą ze swoim harcerzami szosą. Ja przeżyłem „tylko” złamanie przez harcerza kręgosłupa (na szczęście nie został przerwany rdzeń kręgowy), złamanie ręki czy siekierę wbiłą w stopę. Za każdym razem zadać musiałem sobie pytanie: – Czy dopilnowałem? Czy zapisałem w instrukcji/regulaminie? Czy z tym regulaminem harcerz się zapoznał przed jego podpisaniem? Czy naprawdę się zapoznał i zrozumiał jego treść? Czy, idąc szosą, przestrzegamy obowiązujących zasad? Czy zwróciłem uwagę? Byłem czujny? Przestrzegałem? Czy mogłem postąpić inaczej? Czy to nie ja naraziłem tego harcerza na niebezpieczeństwo?

I okazuje się, że pomimo tego, że mamy oczy dookoła głowy, nieszczęśliwe wypadki mają miejsce. W Bieszczadach siedemnastolatek przeskakuje przez rów. Inni też. Ale on upada i łamie rękę. Czy na pewno harcerze nie mogą z tego powodu przeskakować przez rowy? Czy moją winą jest, że chłopak cierpiał? Rodzice mają pretensje do mnie.

A złamanie kręgosłupa? Harcerz w trakcie gry nocnej na ochotnika wszedł na sosnę, by zobaczyć z góry, gdzie w okolicy rozpalone jest ognisko. Spadł. Nie, nigdzie nie napisałem w regulaminach, aby nie wchodzić nocą na drzewa bez zabezpieczeń. Nie przyszło mi to do głowy, że może mieć miejsce taki wypadek. Nieszczęście ogromne. Na szczęście rodzice – prawnicy – byli wyrozumiali i nie stawałem z tego powodu w sądzie.

A ta siekiera w nodze? Mój podopieczny pracował w pionierkach. Nie był na bosaka (bo przecież reguły posługiwania się ostrymi narzędziami na obozie obowiązywały), potrafił operować bardzo dobrą, ostrą siekierą. Okazało się, że za ostrą. Harcerz był za silny, drzewo zbyt odporne, najpierw cały but pełen krwi, a potem jazda do szpitala. I szycie stopy.

Dzieci są nieobliczalne. Jedno bawi się znalezionym na drodze „wężykiem” (a to jest jadowita mała żmijka), inne zje trujące grzyby, tłumacząc, że mama to takie zbiera i daje na obiad. Dzieci mają różne pomysły, które powodują, że trzeba je ratować. Niby inne wypadki, ale zagrażające życiu.

Ale jak zachowałbym się, będąc na miejscu komendanta z Suszka? Ja, instruktor noszący ponad pięćdziesiąt lat czerwoną podkładkę pod Krzyżem Harcerskim? Myśmy w sierpniu 2018 roku nie ewakuowali obozu. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ta trąba powietrzna, która zniszczyła obóz w Suszku, mogła pójść w nieco innym kierunku i zaatakować nas. Że ta burza jest tak wyjątkowo groźna. Czy zachowalibyśmy się więc

inaczej, lepiej, gdyby to nieszczęście dotknęło tego dnia nas? Czy obronilibyśmy naszych uczestników? Nie wiem. Wiem, co robić, gdy mój harcerz ma atak padaczki, wiem, jak zachować się, gdy mu na głowę spadnie obuch siekiery, wiem, jak chronić dzieci w trakcie kąpieli w jeziorze, jak przestrzegać przepisów przeciwpożarowych (ach, ci nasi harcerze, którzy bardzo chcą, by ogień z ogniska sięgał aż do koron pobliskich drzew). Wiem, jak się ewakuować, gdy pole namiotowe, gdzie biwakujemy, znajduje się pod wodą. Bardzo dużo wiem, bo to i owo przeczytałem, bo w wielu obozach uczestniczyłem. I wiele pamiętam. Ale aż do tamtego lata nigdy nie ewakuowałem obozu (oczywiście z wyjątkiem tej powodzi). Nie byłem na to przygotowany. Autentycznie.

Z tego, co mogłem przeczytać, instruktorzy w Suszku zachowali się właściwie. Lepiej chyba nie mogli.

Ja na pewno nie zadbałbym lepiej o uczestników obozu. Po Suszku jesteśmy już o wiele mądrzejsi. Autentycznie ćwiczymy alarmy w dzień i w nocy. Nie tylko przy okazji karniaków (to temat na inny felieton). Znamy drogi ewakuacji, oznakowujemy je. Mamy też lepszy państwowy system ostrzegania. (Choć czasem ten system jest nadmiernie czujny – pada zwykły deszcz, a system ostrzega przed nawałnicą z piorunami). Czy musiało dojść do tragedii, abyśmy wszyscy, i ja też, czegoś się w sprawie bezpieczeństwa naszych podopiecznych nauczyli? Chyba tak. Dwie złamane sosny na środku placu apelowego dla konkretnego komendanta obozu byłyby wystarczającą nauką. Ale dla całej Polski? O Suszku usłyszeliśmy wszyscy. Ta tragiczna nauka już zawsze pozostanie w historii obozownictwa. Dziś wiemy, że huragany, trąby powietrzne, tornada, czy jak tam zwać te anomalie pogody, w Polsce występują. I będą coraz częstsze.

W tym roku, gdybym był na obozie, nie zachowałbym się tak obojętnie, jak trzy lata temu. Bo wypadki na obozach harcerskich, jak w życiu, będą miały miejsce. Ale musimy ich unikać, musimy się starać, aby było ich jak najmniej. Mądry harcmistrz po szkodzie. To ja.

CZUWAJ 6-7/2021

Problem: *obcięty guzik*

Nie jestem pasjonatem wpisów i dyskusji na Facebooku. Ot, czasem czytam różne teksty, jako że lubię wiedzieć, co się wokół mnie dzieje, czasem napiszę gdzieś jedno zdanie. I tyle. Jednak w pierwszej połowie lipca zaintrygowała mnie obszerna dyskusja o... guzikach. Tak – temat okazał się dla niektórych pasjonujący, a dla mnie ważny. Bo pokazuje nasze, instruktorów harcerskich, postawy, poglądy na sytuację, będące dla niektórych samą istotą harcerstwa. Dyskusja o guzikach, czyli czym jest prawdziwe harcerstwo. To brzmi jak ponury żart, ale rzeczywiście o kilku istotnych problemach naszego ruchu między wierszami na FB rozliczni dyskutanci napisali. I nie tylko na Facebooku, bo i w „Czuwaj” napisał nasz dawno niewidziany autor Rafał Suchocki.

W czym rzecz? Ano w obcinaniu (lub nieobcinaniu) przez kadrę obozu guzika przy mundurze, gdy ten guzik nie jest zapięty i luźno sobie zwisa na harcerce lub harcerzu w trakcie zbiórki/apelu/służby/zajęć (odpowiednie słowo sobie zaznaczcie). Bo przecież ten guzik zwisać nie powinien, lecz ma obowiązek być z pozostałymi guzikami grzecznie zapięty. Obcinanie to, jak mogłem wyczytać, jest starą harcerską tradycją kultywowaną przez pokolenia i powoduje, że harcerka i harcerz staje się... Tu jakoś wzrok mi się przystępił i nie mogłem do końca doczytać, czy staje się lepszym, mądrzejszym człowiekiem, czy osobą „pamiętającą o swoich obowiązkach” (wybaczcie mi ten zuchowy cytat), czy też może, jak sądzą niektórzy, istotą sterroryzowaną, która w oboźnym z nożem w ręku widzi kogoś, kto się po prostu nad nią znęca.

Dla niektórych owo obcinanie guzików jest powszechnym zwyczajem, od którego odstąpić nie można. Przecież już Ojcowie Założyciele dbali o nasze mundury, a my jesteśmy organizacją paramilitarną i jesteśmy skautingiem pomieszanym z niepodległością, a niepodległość w mundurach się zdobywa. W mundurach z zapiętymi guzikami. Ja o owym obcinaniu guzików też nie raz słyszałem, nawet kiedyś taki „obrzęd” widziałem. Wówczas po prostu byłem zniesmaczony. Uważam, że zwolennicy

obcinania guzików powinni stuknąć się guzikiem w głowę i chwilę pomyśleć.

Tu dygresja numer jeden. Oczywiście jest, że wychowałem się w poszanowaniu dla munduru. Że stawałem w szeregu i dwuszeregu. Także na szkoleniach wojskowych. Zostałem nawet podporucznikiem (no jasne, że rezerwy). Jakież było moje, a raczej nasze zdumienie, gdy na pierwszym zlocie skautowym, w którym z reprezentacją swojego szczerpu uczestniczyłem (a był to rok 1981) popatrzyłem na jego uczestników. Kto by tam zajmował się zapinaniem wszystkich guzików. Mundur mógł być rozpięty, leżeć luźno na spodenkach, z chustą lub bez. Ot, traktowany był jak zwykła koszula. A my tacy sztywni, maszerujący w szyku w nogę – niesłuchanie to skautów dziwiło. Oczywiście, jak słusznie Rafał Suchocki zauważył w felietonie przed miesiącem, a nawet zamieścił odpowiedni cytat, Ojcowie Założyciele wcale nie uważali, że skauting jest systemem para-wojskowym, o czym niektórzy chyba zapominają. Stąd ten skautowy luz, dotyczący także mundurów. Bo taki był i jest skauting. Ale my, co chcą druhowie „guzikowcy” zapisać jako normę, musimy być sztywni i zasadniczy. Guzikowo doskonali.

I dygresja druga. Obóz ma być dla harcerza czasem, który pozostanie mu w pamięci jako pozytywne doświadczenie. Uczestnik obozu musi być szczęśliwy, przebywając w gronie przyjaciół. Nie może bać się kady. Na kilku obozach, które prowadziłem, nie było gwizdków, nie było gwizdania na harcerzy. Jak miło jest harcerzowi, gdy o godzinie siódmej do namiotu wchodzi komendant lub oboźny i mówi: „Dzień dobry, jak się spało, rozgrzewka za pięć minut”. (A potem w tej rozgrzewce bierze udział i komendant, i oboźny). Taka tradycja sens ma. Podobnie z bezwzględną ciszą nocną. Zwracanie uwagi, wyciszanie obozu – spokojnie, nic na gwizdek.

Jak radosne, szczęśliwe były dzieci na zlocie skautowym! Jak dobrze było naszym harcerzom bez gwizdków (bacznie jednak musieli patrzeć na zegarki, bo punktualność na zbiórkach nas obowiązywała). Tak, to był prawdziwy skauting (ten założony przez lorda B.P.) i nadal (a może właśnie) prawdziwe harcerstwo.

Obcinanie guzików (i inne obyczaje znane mi, jak na przykład sprawdzanie, czy menażka jest czysta, a w przypadku jej nieдомocia wyrzucanie – jak najdalej, przecież to takie śmieszne – poza teren obozu) harcerskie nie jest i sensu nie ma. Z kilku powodów:

– W harcerstwie nasz wychowanek powinien uważać drużynowego i przybocznego za swych starszych, bardziej doświadczonych przyjaciół, doradców, osoby z autorytetem. Kadra w żadnym wypadku nie może terroryzować swych wychowanków. Mamy w drużynach 10–12-latków. Im potrzebny jest ktoś, kto cały czas podawać im będzie pomocną dłoń. Pomagać, a nie straszyć, grozić, karać za głupstwa. A takim głupstwem jest niezapięty guzik.

– Wychowanie „twardego człowieka” (bo dziś dzieci rzeczywiście wychowywane są pod kloszem) – zaradnego, odważnego, który będzie sobie dawał radę w różnych sytuacjach, nie może się odbywać z wykorzystywaniem najgorszych kaprańskich wzorców wojskowych. Uśmiech i dobre słowo więcej daje niż zastraszanie. I nikt mi nie powie, że najgorsze z możliwych wzorce wychowania, które stosowano w przeszłości, są dziś godne kontynuowania. Czy w szkole dzieci klęczą na grochu, stoją przez godzinę w kącie klasy, są bite po dłoniach i targane za uszy lub zostawiane po lekcjach na godzinę lub dwie, aby były grzeczniejsze lub lepiej się uczyły? A nasze metody „guzikowe” to kontynuacja tamtych niehumanitarnych tradycji.

– Świat się zmienia. 57 lat temu, gdy po raz pierwszy prowadziłem zgrupowanie obozów, harcerze byli lepiej przygotowani do obozowego życia. Niedawno Robert Bokacki pisał w „Czuwaj” o tym, jak podczas nauki rozpalania ogniska okazało się, że harcerki z jego środowiska, a pewnie nie są kimś wyjątkowym, nigdy nie miały w ręku pudełka z zapalnikami. Jak mają jedną zapalniczkę rozpaść ogień, jeżeli zapalniczka jest dla nich przedmiotem obcym? Są harcerze, którzy nigdy nie obierali ziemniaków, nie posługiwali się siekierą. Uczmy ich umiejętności w naszym ruchu niezbędnych, pokazujmy, jak korzystać z busoli i mapy, choć mamy w telefonach GPS. Jak budować ognisko. Guziki zapinać nasi wychowankowie potrafią. Nie wszyscy potrafią przyszyć, ale tego możemy ich po prostu nauczyć.

– We współczesnym świecie dzieci są nie tylko bardzo nieporadne, ale także bardzo wrażliwe. Musimy o tym pamiętać. Po co dziecku zbędna trauma? Przecież nie chodzi nam w harcerstwie o to, by wykańczać je nerwowo. I na obozie, i także na śródrocznej zbiórce czy rajdzie.

– Świat się zmienia. Mamy podpisaną przez Polskę w roku 1991 Konwencję Prawa Dziecka. Warto ją przeczytać, zanim obetnie się harcerce czy harcerzowi guzik przy mundurze. W polskim kodeksie cywilnym jest zapis o czci człowieka, czyli także godności osobistej. Nie wolno nam jej naruszać. Jeszcze nie słyszałem o procesie wytoczonym przez rodziców

komendantowi z powodu obciętego guzika (lub innego aktu przemocy w stosunku do harcerza). Ale kto wie, czy nas to nie czeka. Proces taki rodzic z pewnością wygra.

Tak. Prawdziwe harcerstwo nie charakteryzuje się alarmami ciężkimi (jako karą), odcinaniem guzikami, pilotami, skakaniem „żabką” po placu apelowym, karnymi pompkami, „pilotami” oraz innymi supertradycjami. W prawdziwym harcerstwie nagradzamy, cieszymy się z sukcesów. To temat na inny felieton.

A co z tym niezapiętym guzikiem? Tym, który rzeczywiście zapięty być powinien? Na każdej zbiorce mundurowej w szyku i wtedy, gdy po prostu jesteśmy w mundurze. (Bo owi skauci z rozpiętymi koszulami mundurowymi, o których pisałem, jednak wzorem dla nas nie są). To dosyć proste. W trakcie zbiórki zastępowy przed zameldowaniem o gotowości zastępu ogląda swoich ludzi. I dopilnowuje, aby guziki były zapięte, chusta zawiązana prawidłowo i rogatywka, beret czy furażerka były tam, gdzie ich miejsce (najlepiej na głowie). A następnie melduje, że zastęp jest gotów. A gdy zobaczysz nieprawidłowo umundurowanego harcerza w innej sytuacji – zwróć mu uwagę, na pewno guzik zapnie.

CZUWAJ 8/2021

Kryzys

Nie wiem, jak było na waszych obozach. Ale u mnie taka sytuacja powtarzała się co roku. Dlatego za każdym razem z zainteresowaniem czekałem na piąty dzień naszego wspólnego pobytu w lesie. Oczywiście nie musiał on być tego dnia. Czasem dzień wcześniej, czasem później. Ale ten dzień zawsze nadchodził. Dzień wielkiego kryzysu. Zazwyczaj byliśmy już po pionierce. Zmęczeni i teoretycznie zadowoleni z naszych dokonań.

I tego dnia wszystko się powoli zaczynało walić. Zupa przypalona, wartownicy usnęli na warcie, jakaś prycza się rozpadła, jedna rozhisteryzowana harcerka chce do domu... Deszcz zalał stołówkę. Nie, za każdym razem ten dzień był inny. Tak jak i inny jest każdy obóz. Od rana nic się nadzwyczajnego tego dnia na pozór nie działo. Ot, dzień jak co dzień. Po prostu zbierało się na burzę. I wieczorem (bo zazwyczaj ów kryzys zauważaliśmy wieczorem) w zespole kadry zaczynało buzować. Czasem cicho, czasem głośno. Iskrzyło! Czegoż to nie można było wtedy w naszej ekipie usłyszeć! Nie, nie będę tu przypominał ani cytował wzburzonych wypowiedzi, sporów, pretensji, żali. Było głośno i emocjonalnie. Ktoś jechał już do domu, ktoś miał żal do końca życia, ktoś oddawał sznur funkcyjny, „bo na tym obozie to się nie da wytrzymać”. Awantura jak w prawdziwej rodzinie. Tylko do rzucania zastawą stołową nie dochodziło, bo takowej nie było pod ręką. Emocje sięgały zenitu.

Ponieważ nie po raz pierwszy spotykałem się z takim kryzysem, podchodziłem do niego ze swoistym spokojem. Kadra po tych pierwszych dniach obozu, po kwaterce, pionierce, organizowaniu obozowego życia naprawdę była zmęczona. Drażniły ją drobiazgi, na które w innej sytuacji nikt nie zwróciłby uwagi – a teraz stawały się życiowymi problemami. Po to, by napięcie minęło, trzeba było się wygadać, posprzeczać, nawet na siebie pokrzyzczeć. I rozładować emocje, załagodzić wszystkie problemy, wyjaśnić je, czasem zmienić jakieś reguły postępowania. Bo obóz miał być dla wszystkich czasem radosnym, pełnym sukcesów.

I wiecie co? Po takiej wielkiej awanturze pracowaliśmy dalej jak w zegarku. W zgodzie, w przyjaznej wszystkim atmosferze. Takiej, nazwijmy ją – harcerskiej. Co prawda raz zdarzyło mi się, że po kryzysowym dniu

opuścił nas druh opiekujący się kuchnią. Cóż, oczyszczanie atmosfery to czasem też zmiany personalne. Także zupełnie podstawowe, gdy okazało się, że komendant jednego z obozów uważa, że może sobie pozwolić na picie alkoholu.

Szóstego (zazwyczaj) dnia mieliśmy wszystkie kłopotliwe sprawy z głowy, a że obóz trwał 26 dni, więc przed nami było wiele dni prawdziwej harcerskiej przygody.

Gdy patrzę na nasz Związek dziś i oceniam decyzje naszych władz naczelnych, wydaje mi się, że znaleźliśmy się w piątym dniu obozu. Że mamy do siebie mnóstwo pretensji, żali, że podejmowane są niezbyt szczęśliwe decyzje. Tylko ten nasz piąty kryzysowy dzień trwa bardzo długo. Za długo.

Ale musi, na pewno musi przyjść dzień szósty. Może w trakcie Zjazdu ZHP, może wcześniej. Ale po krzykach, płaczach, dyskusjach o prawdziwym harcerstwie, po wyjaśnieniu, kto, ile i po co wydał na różne związkowe potrzeby, kto się zapożyczył, a kto zdobył środki dla organizacji, po wyjaśnieniach byłych i obecnych władz nadejdzie ów dzień, kiedy stanemy razem i powiemy, o co nam tak naprawdę chodzi.

Bo tak jak na obozie kadra jest po to, aby dzieciaki się prawidłowo rozwijały, zdobywając nową wiedzę i umiejętności, tak i nasze władze są po to, aby te same dzieci prawidłowo działały w drużynach – bo cel kadry obozowej i kadry na szczeblu centralnym jest taki sam. Więc, niech jeszcze raz to stwierdzę, po dniach kryzysu przyjdą dni normalnej pracy na rzecz naszych wychowanków. Przyjść muszą.

CZUWAJ 9/2021

Nasz głos

To było dawno, dawno temu. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, w czasach, o których niektórzy chcieliby zapomnieć, a których się nie da wymazać z historii Polski, także tej harcerskiej. W szkole instruktorskiej w Oleśnicy Związek Harcerstwa Polskiego organizował Międzynarodowe Forum Wymiany Doświadczeń Instruktor-skich. Zjeżdżali na nie instruktorzy organizacji pionierskich, tych zrzeszo-nych w Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, której w tamtych czasach ZHP był członkiem, ale także przedstawiciele organizacji skauto-nych. Wówczas tylko mogło nam się marzyć, by wstąpić do WOSM lub WAGGGS. Polityka naszego państwa to uniemożliwiała.

I na jaki temat dyskutowali w Oleśnicy instruktorzy o bardzo różnych światopoglądach? Co wypracowywali? Tematem obrad był projekt oen-zetowskiej Konwencji Praw Dziecka. Konwencji, której Polska w 1979 r. była pomysłodawcą. Prace toczyły się, jak to w takich przypadkach zazwy-czaj bywa, latami. A nasza organizacja była wiodąca wśród kilkudziesięciu innych w wypracowywaniu ostatecznych zapisów tejże konwencji, która ostatecznie przyjęta została przez ONZ w roku 1989 i ratyfikowana przez Polskę dwa lata później.

Nie będę tu przypominał zbyt wielu zapisów konwencji, zauważę tylko, że zobowiązaliśmy się jako państwo do zapewnienia dzieciom odpowied-niego standardu życia oraz do ochrony ich zdrowia. I my, ZHP, w tamtych czasach te zapisy wypracowywaliśmy. Zacytuję jednak fragment artykułu 22: *Państwa-Strony podejmą właściwe kroki dla zapewnienia, aby dziecko, które ubiega się o status uchodźcy bądź jest uważane za uchodźcę w świetle odpowiednich przepisów prawa międzynarodowego lub wewnętrznego sto-sowanego postępowania, w przypadku gdy występuje samo lub towarzyszą mu rodzice bądź inna osoba, otrzymało odpowiednią ochronę i pomoc hu-manitarną przy korzystaniu z odpowiednich praw zawartych w niniejszej konwencji lub innych międzynarodowych aktach dotyczących praw czło-wieka oraz innych dokumentach w sprawach humanitarnych.* Zaś w arty-kule 24 czytamy: *Państwa-Strony uznają prawo dziecka do najwyższego poziomu zdrowia i udogodnień w zakresie leczenia chorób oraz rehabilitacji*

zdrowotnej. Państwa-Strony będą dążyły do zapewnienia, aby żadne dziecko nie było pozbawione prawa dostępu do tego rodzaju opieki zdrowotnej. Mowa jest, zauważmy, o każdym dziecku.

Piszę ten felieton, nawiązując do artykułu, jaki opublikował przed miesiącem naczelny redaktor „Czuwaj”. Zadał on otwarte pytanie – dlaczego Związek Harcerstwa Polskiego nie wypowiada się w istotnych dla dzieci problemach. Punktem wyjścia był los obcokrajowców – imigrantów, uciekinierów – którzy przekroczyli naszą granicę z Białorusią i znaleźli się w Polsce. Los dzieci, które wywożone są z powrotem wraz z ich rodzicami na granicę czy też za granicę, bo los tych dzieci opinii publicznej nie jest znany. Hm. Grzegorz Całek zadał też to samo pytanie dotyczące innych istotnych problemów, tym razem polskich dzieci. Dlaczego ZHP nie bije na alarm, dlaczego nie ma własnego zdania. Jakże są tego powody?

Przed laty byliśmy organizacją, która w tamtym ustroju liczyła się jako partner polskich władz, organizacją, która mogła współtworzyć międzynarodowe zasady prawne. Dziś nasza rola sprowadza się do milczenia. Jesteśmy związkiem, który nie chce reprezentować, nie chce się troszczyć o los i wychowanie dzieci, tych, które niekoniecznie są harcerzami lub skautami. To smutny fakt.

Ale nie dziwny się, że tak jest. W ZHP aż strach jest zadać takie proste, fundamentalne przecież dla istnienia autentycznego ruchu harcerskiego, pytanie. Śmieszno i straszno, że pozwolę sobie na rusycyzm, było poczytać w internecie reakcje naszych instruktorów pod artykułem Grzegorza. Po pierwsze zadziwia, że niektórzy uznali, że nie ma problemu, że tak właśnie – wywozić na granicę Białorusi dzieci i ich rodziców – należy. Piszą to instruktorzy harcerscy, wydawałoby się rozumiejący, kim jest dziecko, nawet jeżeli nie czytali Konwencji Praw Dziecka ONZ, ale znający przecież na pamięć Prawo Harcerskie. Po drugie zadziwia postawa jakiegoś „druha” (cudzysłów wpisuję tu świadomie), który zdecydował, iż z powodu zadania przez naszego naczelnego tego kluczowego pytania: „Dlaczego?” rezygnuje z prenumeraty „Czuwaj”. Albo postawa innego, który stwierdził, że ten artykuł jest jak z „Gazety Wyborczej”. W ten sposób chciał pewnie obrazić naszego naczelnego, sytuując go w jakiejś politycznej bańce. Moim zdaniem tekst Grzegorza spokojnie mógłby ukazać się w „Gościu Niedzielnym” lub „Naszym Dzienniku”. Druh ten (ze względu na dawną znajomość nie będę go wstawiał w cudzysłów) wszak jest czytelnikiem takiej właśnie prasy i nie mam mu tego za złe. Nie będę

analizował innych wypowiedzi, choć aż korci, aby zakpić z autorów niektórych komentarzy.

Ważne jest, że obok słów poparcia Grzegorza przez wiele osób, znalazło się grono przeciwników, grono tych, którzy uważają, że należy siedzieć cicho. Wolałbym, naprawdę bym wolał, żeby ktoś napisał: – Tak, zabierzmy głos, przecież aktualne podstawy programowe w szkołach są dobre i minister Czarnek świetnie kieruje swym urzędem, widzimy, że mamy w kraju odpowiednią opiekę nad dziećmi i młodzieżą z kłopotami psychicznymi, i humanitarne jest odwożenie dzieci i ich rodziców – uciekinierów czy imigrantów ekonomicznych na granicę z Białorusią. – Dlaczego tak uważam? Z tymi instruktorami, którzy ewidentnie nie mają racji, można dyskutować. Przekonywać ich. Pokazywać, że białe jest białe a czarne – czarne. Przecież inaczej być nie może.

I tu mógłbym zakończyć felieton, gdyby nie okazało się, że honor (tak uważam) naszej organizacji uratował Hufiec Warszawa-Mokotów im. Szarych Szeregów. 8 października instruktorki i instruktorzy tego hufca opublikowali stanowisko w sprawie uchodźców. Bardzo mądre. Zachęcające do udzielania pomocy tym, którzy znaleźli się (niezależnie z jakiego powodu) w tak trudnej sytuacji. Jeden z komentarzy pod tym stanowiskiem na FB brzmiał: – To powinno być stanowisko ZHP. Otóż to!

CZUWAJ 10/2021

Okruchy wspomnień

W naszym hufcu kręcą film. Piętnaścioro instruktorów (i byłych instruktorów) opowiada o swoim życiu, harcerskiej przygodzie, pracy zawodowej. Wszyscy starsi, większość na emeryturze, ot, seniorzy. Rzadko któryś z nich zechciał swoje wspomnienia przelać na papier. A każdy jest przecież częścią historii naszego Związku. Pomysł jest genialny w swej prostocie. Niech seniorzy mówią. Mamy przecież świadomość, że wcześniej lub później (raczej wcześniej) znajdą się oni na wiecznej warcie. I nic tu się zmienić nie może. W tym zacnym gronie znalazłem się i ja. Umiem pisać, ale przed kamerą także snułem swe wspomnienia.

Ulica Zakopiańska

Nie ta ulica, lecz uliczka, przejście między ogródkami rozdzielającymi na Saskiej Kępie ulicę Zakopiańską od Krynicznej, była przez lata dla mnie najważniejsza. Tam zamieszkałem, gdy miałem rok, tam się bawiłem, stamtąd wędrowałem do mojej podstawówki (TPD 17), która była od nas o rzut kamieniem. Naszą uliczką wędrowały do szkoły tabuny uczniów, chyba że padał deszcz – wtedy uliczka była nieprzechodnia. W podstawówce wszyscy się zapisywali do harcerstwa, był rok 1957. W „133” trafili mi się sympatyczni drużynowi. Julek niedawno się do mnie odezwał. Po 60 latach! Wypiliśmy kawę... Był oboźnym na moim pierwszym obozie w roku 1958. Tam złożyłem Przysiężenie Harcerskie. A uliczka? Pamiętajmy o niej. Gdy zostałem drużynowym zuchów – zawsze jakaś grupka malców przybiegała do mnie – pora już było iść na zbiórkę!

Liceum Prusa

Liceum mieściło się w tym samym budynku, w którym była moja podstawówka. 11 lat chodziłem tą samą drogą do szkoły. Tylko przynależność do drużyny się zmieniała – najpierw męska 133 (nie było wówczas drużyn koedukacyjnych), później owe zuchy 133 „Jerzyki” a następnie, już kilka lat po maturze, przejąłem środowisko z mojego liceum – „46”. Czas

płynął. Zadano mi pytanie, dlaczego cały czas byłem w harcerstwie. Może gdyby mój komendant hufca nie wysłał mnie do Cieplic na kurs zuchowy, odszedłbym? Może gdyby nie powierzono mi kilku drużyn pod opiekę – ośrodek, który organizował samodzielną akcję letnią? Jak odchodzić, gdy od 1964 r. byłem komendantem niewielkiego zgrupowania dla setki harcerzy? A później owe „46” i kolejne funkcje – już w hufcu? Cały czas było coś do zrobienia, jak tu odchodzić z harcerstwa?

W Wydawnictwie Harcerskim

Kończyłem polonistykę, pora było znaleźć pracę. I ta znalazła się szybko. 2 stycznia 1970 r. zostałem zatrudniony jako asystent redaktora w Wydawnictwie Harcerskim. A więc harcerstwo plus wiedza polonistyczna – można było wykorzystać dwie moje pasje. Praca ciekawa. Poprawianie cudzych tekstów, przerabianie ich na poprawną polszczyznę. Ale także nadzór merytoryczny. Bo autorzy popełniają błędy rzeczowe, a ty – redaktorze – masz je poprawić. Pamiętajmy – była to praca na papierze, poprawki robiło się długopisem, do pisania kolejnych wersji trzeba było angażować panie maszynistki. Najprzyjemniejsza była praca z dobrymi autorami – na przykład z Danutą Kaczyńską, harcerką, dziennikarką, uczestniczką powstania warszawskiego. Pracując z nią stałem się znawcą dziejów batalionu „Parasol”. A redagując Tadeusza Zimeckiego reportaż z Finlandii – specjalistą od tego kraju. Ostatnio znalazłem skromny druzczek. Napisano na nim, że przyznano mi nagrodę za najlepiej opracowaną w wydawnictwie pod względem merytorycznym książkę w roku 1980. To owa „Wyprawa po królewskiego łososa”.

Zostaję nauczycielem

W hufcu było różnie. Długo by pisać. Po pewnym zamieszaniu i emigracji na prawie rok do komendy chorągwi zaopiekowałem się środowiskiem, a później zostałem szczepowym 3 WDH przy Liceum im. Adama Mickiewicza. Też na mojej Saskiej Kępie. Ale rola szczepowego, który przychodzi do szkoły w godzinach popołudniowych, była niejasna. Kolejna pani woźna mogła kochać harcerzy lub nie. Mogła z klasy, z korytarza wyprosić. Aby wszystkie woźne harcerzy lubiły, postanowiłem zostać w Mickiewiczu polonistą. Dyrektorka wyraziła zgodę i zacząłem uczyć jedną klasę, czyli miałem 4 godziny zajęć w tygodniu. I od tego czasu z każdą woźną współpracowało nam się bardzo dobrze. Nie mogła prze-

cież powiedzieć: – Panie profesorze, nie wpuszczę pana do szkoły. – W liceum Mickiewicza na części etatu przepracowałem ponad 40 lat.

Ślub

A właściwie dwa – cywilny w połowie stycznia 1976 r. I kościelny 29 lutego. Między nimi prowadzę zimowisko dla 200 harcerek i harcerzy starszych pod Tarnowskimi Górami. Ślub kościelny wypadł w dniu, kiedy w hufcu organizowano tradycyjny rajd hufca dla dwóch–trzech tysięcy harcerzy „Olszynka Grochowska”. Miejsce apelu końcowego koło pomnika-grobu powstańców na terenie Olszynki nie było daleko od kościoła w Marysinie Wawerskim. Zaczyna się msza – kościół pustawy. I tak gdzieś przed kazaniem, jeszcze zanim powiedzieliśmy sobie „tak”, zaczął się wypełniać. Harcerze przyszli po rajdzie, aby uczestniczyć w uroczystości druha harcmistrza. Kościół był pełen.

„Trójka”

Nasz szczepek swymi tradycjami sięgał roku 1911. A za moich czasów rozkwitał. Byłem szczepowym kilkanaście lat. W „Trójce” im. ks. Józefa Poniatowskiego wychowało się kilkaset harcerek i harcerzy. Obozy – stałe, wędrowne (co najmniej dwa w roku), zimowiska, rajdy, wycieczki, imprezy, konkursy, zdobywanie stopni, prace zarobkowe! Czego u nas nie było. Były kluby przy szcziepie łącznie z własnym kołem PTTK, była piękna harcówka i magazyny. Był sprzęt, czasem dziwny, na przykład 25 par nart biegówek. Pracownia fotograficzna. I ludzie, ludzie, ludzie. Od 1981 r. staliśmy się szcziepem wyjeżdżającym na obozy skautowe (wcześniej organizowaliśmy sobie zagraniczne obozy wędrowne). Dostaliśmy sztandar i Krzyż „Za Zasługi dla ZHP”. Zdobywaliśmy różne nagrody. To były czasy!

„Drużyna – Na Tropie”

W roku 1981 zacząłem systematycznie pisać do naszego harcerskiego tygodnika „Motywy”. Do mutacji dla harcerzy starszych – wkładki „Na Tropie”. Gdy trzy wkładki (dla drużynowych zuchów, harcerskich i starszoharcerskich) stały się odrębnym pismem – „Drużyną”, Jola Chelstowska zaproponowała mi, abym z redakcji książkowej przeszedł do redakcji pisma instruktorskiego. I w ten sposób stałem się dziennikarzem. Moim dzieckiem był miesięcznik „Drużyna – Na Tropie” – kilka lat pasjonującej przygody. Biorę do ręki stare numery – ileż tam znakomitych tekstów!

W efekcie dziwnych zawirowań na początku naszej ery rodzącego się kapitalizmu pismo padło. A ja po niewielu latach zostałem naczelnym „Czuwaj”. Ale to już były całkiem inne czasy.

To nie koniec moich „filmowych” wspomnień. Bo takich okruczków mam znacznie więcej. Zostawię sobie tematy na kolejne felietony.

PS: Czy takie kręcenie filmów, zbieranie wspomnień starszego pokolenia nie powinno być powszechne w naszym Związku? A może i wspomnień młodszych instruktorskich pokoleń? Coraz mniej piszemy, dokumenty naszej pracy wiszą (lub już nie wiszą) w internecie. Niech historycy za lat sto mają jakiś materiał świadczący o działalności harcerskiej kadry.

CZUWAJ 11/2021

Czterdzieści lat minęło

Stan wojenny. Ciemna i niewyjaśniona do końca karta polskiej historii. To było przed 40 laty. Każdy z nas, żyjących w tamtych czasach, ma swoje wspomnienia. Ja oczywiście też. Pracowałem wtedy w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, troszkę uczyłem w szkole, prowadziłem Szczep 3 WDH im. x Józefa Poniatowskiego. Kilka miesięcy wcześniej, w marcu 1981 r. zostałem wybrany na VII Zjeździe ZHP na członka Prezydium Rady Naczelnej. Żartowałem, że jestem harcerskim VIP-em.

12 grudnia 1981 r.

Wraz z dużą grupą instruktorów ZHP uczestniczyłem w Bydgoszczy w obradach Rady Naczelnej. Dla mnie ważnej – rozmawialiśmy o harcerstwie starszym (dzisiejszych wędrownikach), a ja byłem szefem ogłaszanej wówczas Ofensywy Starszoharcerskiej. Latem 1982 r. zaplanowano Starszoharcerską Akcję Szkoleniową. Lecz nie będzie dziś o mnie ani o ofensywie.

Będzie o moim szczepie. 12 grudnia, gdy ja byłem poza Warszawą, w naszym szczepie rozegrany został Wielki Turniej Drużyn. Oczywiście tylko pięciu drużyn, bo szczep z tyłu się składał. Czego tam nie było! I przegląd drużyny (od umundurowania, przez musztrę do zapłaconych składek i sprawdzenia stanu realizacji planów pracy). I konkurs z historii harcerstwa (a także naszego środowiska, którego tradycje sięgają roku 1911). I niewielkie zawody na orientację, i gotowanie zup na kocherach, rozwijanie i zwijanie namiotu „10”, konkurs wokalny, turniej siatkówki, bieg przełajowy, turniej pionierki obozowej... Wymieniam większość konkurencji, bo była to naprawdę duża impreza dla kilkudziesięciu harcererek i harcerzy. Szkoła i teren wokół szkoły były nasze. Każdy członek szczepu uczestniczył w turnieju – niektóre konkurencje były prowadzone równolegle. Ponieważ mnie nie było, kierowała turniejem Grażyna, podharc mistrzyni – na co dzień moja żona. Impreza bardzo udana. Ponieważ trwała bardzo długo, niektórzy jej uczestnicy wrócili do domu późno, późno wieczorem. Nikt nie miał pojęcia, co się za kilka godzin wydarzy.

13 grudnia

Obudziliśmy się w nowej rzeczywistości. Nie będę rozwijał tu wątku mojej wczesnej pobudki, gdy ówczesny zastępca naczelnika ZHP hm. Julian Nuckowski zadzwonił do mojego pokoju w hotelu z tekstem: „Adam, wstawaj, wojna!”. Musieliśmy zakończyć obrady i jak najszybciej wrócić do domów. A w domach nie ma normalnego programu telewizyjnego, w radiu ten sam komunikat o stanie wojennym, a co gorsza – milczą wszystkie telefony. Jak więc się porozumieć z bliskimi? Jak dowiedzieć się, czy nie mają jakichś kłopotów? O internowaniu wielu działaczy opozycyjnych dowiadywać się mieliśmy powoli.

Po powrocie z Bydgoszczy, a było to już popołudnie, narada z Grażyną – trzeba zebrać naszych harcerzy, być razem, nieść sobie (a może i innym) niezbędną pomoc. Próbuje się stworzyć sieć alarmową (kto by się spodziewał, że będzie ona pod koniec XX wieku potrzebna, przecież już większość członków szczepu miała w domach stacjonarne telefony) i... zatrzymujemy się z kolejnymi decyzjami. Przecież nie spotkamy się w lesie. Spadł ogromny śnieg, jest autentycznie zimno, a poza tym natychmiast znaleźliśmy się pod baczłą „opieką” władz. Stan wojenny to nie przelewki.

14 grudnia

Idę do szkoły (w stanie wojennym nauka została zawieszona aż do 6 stycznia – mieliśmy niezapowiedziane długie ferie). W szkole oczywiście spotykam dyrektorkę, która, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu i ogromnej radości mówi: – Zapraszam do szkoły, cała jest wasza. I klasy, i sala gimnastyczna. – Odetchnąłem. Decyzja dyrektorki była odważna, przecież zupełnie nie było wiadomo, jak się rozwinie sytuacja w kraju. A my w teoretycznie zamkniętej szkole będziemy mogli się zbierać. Tylko jak? Na szczęście część z nas mieszkała na Saskiej Kępie, gdzie nasze IV LO im. Adama Mickiewicza się mieści, ale wielu harcerzy przyjeżdżało do szkoły z całego miasta. Jednak zbiórkę w tej zupełnie niejasnej sytuacji (był to drugi dzień stanu wojennego!) postanowiliśmy zorganizować. Na poinformowanie się o spotkaniu mieliśmy zaledwie półtora dnia.

16 grudnia

Przed południem na zbiórce szczepu ku mojej ogromnej radości zameldowało się ponad 60 członków 3 WDH. Wiecie, jak byłem z nich dumny? Poprzedniego dnia chodzili, jeździli (nikt z harcerzy nie miał

samochodu, a nawet gdyby miał, to były ogromne kłopoty z paliwem) z domu do domu – zawiadomili prawie wszystkich członków naszego szczepu. I w efekcie tak duża ekipa na zbiórkę przyjść chciała i na zbiórkę przyjść mogła. Przecież większość naszych harcerzy była niepełnoletnia, więc rodzice po prostu mogli zabronić młodzieży wychodzenia z domu. Tego dnia już nieco więcej wiedzieliśmy, czym w rzeczywistości jest stan wojenny. Już informacje zaczęły krążyć wśród warszawiaków. Co robić? Zacząć walczyć z tymi smutnymi żołnierzami stojącymi na kilku rogach ulic koło palących się koksowników? Nie.

Zdecydowaliśmy się na normalne codzienne harcerskie działanie. Na przebywanie w naszej wspólnocie, na bardzo różnorodne zbiórki. Było tam nieco harcerskich korepetycji z języka polskiego, łacińskiego i matematyki. (Pamiętacie? Harcerz chce wiedzieć więcej, niż wie, umieć więcej, niż umie). Nikt na początku nie wiedział, jak długo będzie trwała przerwa w pracy szkół, więc staraliśmy się nieco tę szkołę zastąpić. Była gra w siatkówkę. Były normalne zbiórki drużyn, takie zgodne z planem. (Przecież od kilku miesięcy, od marcowego zjazdu ZHP, mieliśmy już inne harcerstwo starsze, nie tylko z nowymi – a raczej starymi, tradycyjnymi mundurami, ale przede wszystkim z nową metodyką. Bez Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej na karku). Były kominki z piosenką, a nawet turnieje brydżowe.

Najważniejsze – byliśmy razem. Wspólnie przeżywaliśmy te smutne dni. Dni były smutne, ale rozjaśniała je obecność w harcerskiej rodzinie.

PS: Tak jak my myślały też władze ZHP. Polecily organizowanie zajęć w trakcie dni wolnych od lekcji w szkołach we wszystkich środowiskach. Miałem przyjemność (jako ów harcerski VIP) obserwowania na początku stanu wojennego pracy instruktorów w Chorągwi Gdańskiej. Nie dorównywała ona oczywiście działalności naszego szczepu (żartuję), ale harcerki i harcerze mieli w każdym hufcu organizowane zajęcia. No tak, ale zimowiska nie udało nam się przeprowadzić. Akcja letnia w stanie wojennym przebiegła już normalnie.

Przed laty zapisano...

Pod koniec stycznia tego roku wziąłem udział w interesującej konferencji harcmistrzowskiej zorganizowanej przez Chorągiew Lubelską, konferencji na temat tożsamości naszego Związku. Mamy z ową tożsamością nieco kłopotu. Otóż w idei stopnia podharcmistra zapisano: „Wzmacnia tożsamość harcerstwa”, zaś w idei stopnia harcmistrza: „Wpływa na oblicze harcerstwa, buduje jego tożsamość”. Wzmacnia, buduje – postawiliśmy przed naszą kadrą istotne zadania. Czy przypadkiem niezbyt pochopnie wpisano je do idei stopni?

Przypomnijmy, że *tożsamość to termin o wielu znaczeniach, bardziej lub mniej zbieżnych, jednak w każdym wypadku chodzi o to, iż jednostki i grupy, nieuchronnie ulegające podczas swego trwania licznym zmianom, zachowują pewne cechy stałe, decydujące o tym, kim lub czym są, i — tym samym — wyróżniające je spośród innych jednostek i grup*. Po pierwsze jasne jest, że my, członkowie ZHP (a szerzej – członkowie ruchu harcerskiego) posiadamy pewne cechy stałe. Po drugie zaś cechy te, owa tożsamość może być modyfikowana, zmieniana. Czy przez każdego harcmistrza? Dlaczego tę tożsamość mamy najpierw wzmacniać, a później budować? Kłopot w tym budowaniu jest taki, że w przypadku ZHP (a także kilku innych organizacji harcerskich) nasza tożsamość jest wyjątkowo trwała, niezmienna.

Przypadło mi w udziale wygłoszenie w trakcie konferencji referatu o harcerskiej tożsamości zawartej w Prawie i Przyrzeczeniu Harcerskim. W rzeczywistości moje wystąpienie skupiło się na analizie kolejnych propozycji i oficjalnych wersji Prawa i Przyrzeczenia Skautowego spisanych na początku XX w.

Prawdopodobnie nie wszyscy pamiętamy, że po wczesnych próbach dokonanych przez Andrzeja Małkowskiego, próbach niezbyt udanych, lwowskie Związkowe Naczelnictwo Skautowe 1 marca 1914 r. zatwierdziło Prawo i Przyrzeczenie, na których zbudowane zostały dzisiejsze nasze najważniejsze statutowe dokumenty tożsamościowe. Rota Przyrzeczenia

brzmiała: Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie, nieść chętną pomoc bliźnim, być posłusznym prawu skautowemu.

Był to rok 1914, do odzyskania przez Polskę niepodległości mieliśmy jeszcze cztery i pół roku, zatem skaut (bo słowo harcerz nie było jeszcze używane) miał być wierny Ojczyźnie. To jasne, a prawo oczywiście było skautowe. Tekst prawa był w dwudziestoleciu międzywojennym redagowany, ale zapisy w zasadniczej wymowie były takie same. I takie same są dziś. Punkt, w którym pada stwierdzenie, iż na słowie skauta można polegać jak na Zawiszy, jest pierwszy, a pełnienie wiernie służby Ojczyźnie (aktualnie w ZHP zmienione, by nie powtarzać zapisów przyrzeczenia) zapisano w punkcie drugim. Ta kolejność w przyszłości będzie wymieniana. Nie pojawia się jeszcze słowo bliźni – skaut ma w zapisie z 1914 r. pomagać innym i jest przyjacielem wszystkich... Ale poza tym okazuje się, że mamy komplet podstawowych sformułowań występujących w aktualnym i obowiązującym nas Prawie Harcerskim.

Co prawda zmienialiśmy w drugiej połowie XX wieku i rotę Przyrzeczenia, i zapisy w Prawie Harcerskim, ale przed 30 laty postanowiliśmy wrócić do korzeni, do sformułowań często już dziś anachronicznych, ale zapisanych ponad sto lat temu i nadal będących dla nas wytycznymi – jak żyć i jakim być. Zmieniać je? Chyba tylko po to, aby były lepiej zrozumiane przez współczesną młodzież. Ale ruszać nasze podstawy? Na pewno nie.

Dlatego taki kłopot możemy mieć ze wzmacnianiem i jeszcze z budowaniem naszej tożsamości.

Tak się złożyło, że dwa najważniejsze dla harcerstwa dokumenty mają ponad sto lat, ale nasze trwałe cechy na tych podstawach ideowych z 1914 r. się nie kończą. Konieczne jest i wzmacnianie – utrwalanie naszej tożsamości, i kolejne budowanie elementów, które na tożsamość harcerską się składają. Ale to temat na inny felieton.

CZUWAJ 2/2022

Nieść chętną pomoc bliźnim...

Rok 1982, w Polsce stan wojenny. Otrzymuję informację – na terenie Dworca Gdańskiego czeka na mnie przesyłka. Już oclona, nie muszę nic płacić. Nadawca? Jeden ze szczepów skautowych w Luksemburgu. Skauci poznali nas rok wcześniej na zlocie w Norwegii. Nas, to znaczy harcerki i harcerzy z warszawskiej „Trójki”.

Przesyłka to dwie kilkudziesięciokilogramowe skrzynie wypełnione po brzegi. Foliowe reklamówki. W każdej z nich jakieś produkty, których w naszym kraju powszechnie brakowało. Od pasty do zębów, przez słodycze po puszki z szynką. Skauci luksemburscy zrobili nam prezent. W każdej reklamówce inne produkty i pozdrowienie od kogoś innego, czasami z adresem zwrotnym. Nie miejsce tu, by opisywać, jak przewieźliśmy ładunek na Saską Kępę, gdzie mieszkałem i gdzie była siedziba szczepu. Nie miejsce, by relacjonować, jak dzieliliśmy (losując) te dary. Kilkudziesięciu członków naszego szczepu dostało jedną reklamówkę. Podarunek skautowego braterstwa.

Bywaliśmy jeszcze w Luksemburgu, gościł nas inny szczep – z Dude-lange. Na ich zlocie, innych imprezach szczepu. Była to zazwyczaj inicjatywa seniorów skautowych. Za każdym razem płacili za nasz pobyt, nas kosztował tylko transport. Bo wtedy byliśmy tymi, którym należy pomagać, a Luksemburczycy mogli zapewnić nam spokojny, aktywny wypoczynek...

I kilka lat później, gdy już gospodarczo odbiliśmy się jako kraj od dna, otrzymuję wiadomość: – Jedziemy na Białoruś przez Warszawę, załatwcie nam noclegi i zamówcie kolację. – Tak, skauci luksemburscy podjęli się innej służby – na Wschodzie. Postanowili doposażać jeden z białoruskich prowincjonalnych szpitali. Po pierwsze w sprzęt, po drugie w lekarstwa. W Luksemburgu co jakiś czas w szpitalach następowała wymiana sprzętu na bardziej nowoczesny. Ten sprawny, ale już nie najnowszy przejmowali skauci i zawozili na Białoruś. W tamtejszym szpitalu było to niespotykane wyposażenie. Ponoć najnowocześniejsze w całym kraju.

Z lekarstwami było inaczej. Te, którym kończyła się ważność, były przez właściwe służby sprawdzane i po uzyskaniu certyfikatu przydatności do użycia wysyłane na Białoruś. To były bardzo potrzebne tam lekarstwa.

Nie, nie zajmowali się tym skauci, lecz skautowi seniorzy, zresztą z dwóch organizacji. Nam, Polakom, w XXI wieku pomoc była już mniej potrzebna. Później słyszałem o ich służbie w Afryce (studnie) i Nepalu (sadzenie drzew). Byli aktywni i starali się zmieniać świat na lepszy.

Dlaczego o tym piszę? Gdy patrzę na służbę, jaką pełnimy na rzecz Ukrainy, będącej przecież w znacznie gorszej sytuacji niż my przed laty, wydaje mi się, że zachowujemy się podobnie jak skauci luksemburscy w stosunku do nas. Dajemy uchodźcom miejsca w domach, zbieramy dla nich środki finansowe i niezbędne produkty. Chcemy im ze wszystkich sił pomagać. I pomagamy. Tam trwa wojna, tam giną niewinni ludzie. Ich tragedia jest nieporównywalna z naszymi ówczesnymi kłopotami. Nawet w stanie wojennym. Oni walczą z najeźdźcą o wolność swego kraju. Myśmy po prostu biedowali, mieliśmy na wiele produktów kartki i staraliśmy się godnie żyć. Sytuacja jest zupełnie nieporównywalna, ale skautowa służba na rzecz innych ludzi była i wtedy, i trwa też dziś w tych okropnych czasach. Wszędzie – w Polsce, w Ukrainie i w Luksemburgu skaut ma nieść chętną pomoc bliźnim.

CZUWAJ 3/2022

A jednak się zdziwiłem...

Niewiele w naszej organizacji, a może w naszym ruchu, mnie dziwi. Tyle już widziałem, w tylu sytuacjach uczestniczyłem, sam tyle doświadczyłem. Przez 60 lat (tak, tak...) codziennej instruktorskiej służby na różnych szczeblach, na różnych funkcjach tyle podejmowałem decyzji, że dziś, mając to wszystko w pamięci, bardzo się staram, by jak najdelikatniej, nie urażając nikogo, komentować codzienne wydarzenia, jakie mają w ZHP miejsce. Ja, niegdyś ostry jak brzytwa, stałem się niesłychanie delikatny i subtelny... Mnie, chodzącą dziś dobroć, naprawdę trudno cokolwiek w harcerstwie zaskoczyć. A jednak w trakcie majowego zjazdu naszej organizacji w pewnym momencie szczęka mi opadła ze zdziwienia.

O ZHR piszę rzadko, organizacja ta tkwi w swojej bańce, my w swojej, czasem gdzieś nasze drogi się łączą (jak w trakcie udzielania pomocy Ukraińcom). Ostatnio, jak pamiętam, polemizowałem z przewodniczącym ZHR, który w trakcie konferencji w czasie zlotu na Wyspie Sobieszewskiej mówił o przeszłości i teraźniejszości naszych organizacji. Hm. Grzegorz Nowik, mój kolega z Hufca Praga-Południe (on – szczepowy „22”, ja – „3”) opowiadał duby smalone o tkwiących w ZHP miazmatach komunizmu. Czy były to osobiste poglądy druha Przewodniczącego, czy też większego grona instruktorów ZHR? Do dziś nie wiem. Ale Grzegorz, poważny historyk ruchu harcerskiego i wojskowości, jednoznacznie i bezpodstawnie stwierdził, iż w ZHP ten komunizm (niezależnie, co by się kryło pod tym pojęciem) nadal tkwi.

Od tamtego spotkania nie dotarły do mnie informacje, by instruktorzy ZHR odcięli się od poglądów swego przewodniczącego. By ktoś nas po prostu ze spokojem przeprosił. I cóż się dzieje? W trakcie swojego wystąpienia na naszym zjeździe nowy przewodniczący hm. Karol Siergiej, zwracający uwagę sali na wyjątkowo ważny fakt, iż spieszy się na pociąg, zaproponował, abyśmy my, ZHP, dokonali rzeczy niemożliwej. Wszak harcerze rzeczy niemożliwe przekuwają w rzeczywistość. Ni z tego, ni z owego zaproponował, byśmy postarali się, aby kilka organizacji harcerskich (w tym ZHR)

zostało członkami WOSM. Bo, jak zrozumiałem, będziemy wtedy mogli między innymi razem organizować Jamboree w 2027 r. A propozycja ta pada, gdy zdaniem ZHR (chyba tak mogę uogólnić) jesteśmy organizacją, która dźwiga na sobie mało harcerskie tradycje.

Czy przewodniczący ZHR pamięta, jak przed laty obie nasze organizacje starały się o wejście do ruchu skautowego? W naszym przypadku był to powrót, w przypadku ZHR – chęć wstąpienia. Czy druh przewodniczący przypomina sobie, iż jego organizacja odmówiła powołania federacji, której celem miało być między innymi doprowadzenie do połączenia ZHR i ZHP. Wszak cele i podstawy ideowe mieliśmy (i mamy) takie same. Ta federacja mogła być do WOSM przyjęta. Ale wówczas instruktorzy ZHR twardo powiedzieli – nie. I poszliśmy różnymi drogami, odnosząc na nich w obu organizacjach sporo sukcesów. Tyle że my staliśmy się formalnie częścią światowego ruchu skautowego.

Dziś pada oryginalna myśl – niech ZHP popracuje, aby inne organizacje harcerskie weszły do WOSM. Czy jest to możliwe? Oczywiście, że tak. Mam dla druha Przewodniczącego ZHR następującą propozycję. Prawdopodobnie druh się teraz zdziwi. Zorganizujcie zjazd swej organizacji i podejmijcie uchwałę kierunkową o chęci wstąpienia ZHR do ZHP. To na pewno będzie wymagało wielu ustaleń, ale, jak twierdzi druh Przewodniczący, w harcerstwie wszystko jest możliwe, bylebyśmy tylko bardzo tego chcieli. Sądzę, że w ZHP dogłębnie przemyślimy tę propozycję i po długich naradach (u nas to tak zawsze) powitamy was w naszych szeregach.

Druhny i Druhowie z ZHR. Jeżeli się pośpieszycie, to będziecie mogli w pełni uczestniczyć w organizacji wielkiego skautowego święta – Jamboree 2027. Tylko bardzo proszę, pośpieszcie się.

CZUWAJ 6-7/2022

Czy pamiętamy?

Nie dziwcie się, czasami muszę o tym wspomnieć. Jestem instruktorem ZHP od sześćdziesięciu lat. Naprawdę. Na dodatek miałem to szczęście, że cały czas aktywnie pracowałem społecznie w hufcu i bardzo długo równocześnie związany byłem z centralą naszej organizacji, przez lata także na etacie w Głównej Kwaterze. Czasami komunikuję komuś spotkanemu przy Konopnickiej 6: – Ja w tym budynku zacząłem swą pierwszą pracę 2 stycznia 1970 r. (Było to Wydawnictwo Harcerskie). Ale wtedy już byłem doświadczonym instruktorem – uczestniczyłem jako kadra w trzech koloniach zuchowych, prowadziłem kilka zgrupowań obozów, zimowisk, obozów wędrownych...

Sześćdziesiąt lat sukcesów i klęsk. I baczego obserwowania zmian w ZHP. Baczego obserwowania naszych instruktorów. Tych, którzy działali niegdyś i pracują w harcerstwie dziś. Oraz tych, którzy z jakichś powodów nas opuścili, lecz są naszymi przyjaciółmi.

Często mówię, że nic mnie już w naszej organizacji nie zaskoczy. Decyzje naszych ciał statutowych i decyzje pojedynczych instruktorów. Nasze spory, sukcesy, problemy analizuję dziś dosyć spokojnie, jestem w stanie wytłumaczyć i zrozumieć, dlaczego część naszej kadry uważa, że zlot na Wyspie Sobieszewskiej był klęską harcerstwa, a część, że wzorową imprezą zorganizowaną na wysokim poziomie. Mogę zrozumieć tych, którzy wyobrażają sobie, iż nie może być kursu instruktorskiego bez części „przeżyciowej” oraz tych, dla których owo przeżycie jest zbędne. Ale nie tylko ja mam ogromne doświadczenie i poglądy na temat pracy ZHP. Mamy setki przyjaciół – byłych komendantów, szczepowych, przewodniczących... Setki osób, których wiedzy, umiejętności, doświadczenia zupełnie nie wykorzystujemy. Ci byli członkowie ZHP też rozumieją nas, często oceniają, wiedzą, gdzie popełniamy błędy i za co można nas pochwalić.

Oczywiste jest, że w pracy organizacji nie da się błędów uniknąć. Ale moglibyśmy nasze błędy minimalizować. Dlaczego naczelnictwo naszego Związku nie wpadło na pomysł, aby utworzyć „Radę starców”, złożoną na przykład z byłych naczelników ZHP i ich zastępców? Jakiż to byłby świetny team doradców, którzy przecież po odejściu z aktywnej pracy w har-

cerstwie nie przeszli na emeryturę, lecz zdobywali nowe doświadczenia życiowe.

A przecież taka rada mogłaby działać w każdej chorągwi, ba, w każdym hufcu. Zaraz usłyszę, że nie każdy komendant odszedł w glorii i chwale, niektórzy byli słabi, niektórzy doprowadzali do osłabienia środowiska. Tak, ale można przecież razem z nimi zastanowić się, gdzie popełnili błędy, co sprawiło, że nie osiągnęli sukcesów. Do rozmaitych wydarzeń nabieramy dystansu, zupełnie inaczej widzimy różne wydarzenia dziś niż przed laty. A więc rozmawiamy, dyskutujemy, czerpmy wiedzę od tych bardziej doświadczonych...

Ja mam swoje miejsce w harcerstwie. Chciałbym, abyśmy jeszcze znaleźli miejsce dla tych, którzy już w nim nie są, ale w nieco innej formie mogliby w nim być. Kto pochwali się pierwszy swą „Radą starców”?

CZUWAJ 8/2022

O Janku opowieści różnej treści

Czasami, gdy siadam w instruktorskim kręgu, opowiadam wydarzenia z mojego harcerskiego życiorysu. Czasem o przygodach, czasem o ludziach, z którymi współpracowałem. Zazwyczaj nie utrwalam tych opowieści na piśmie, bo i nie zawsze są one warte do zachowania dla historii harcerstwa, i nie zawsze wypadamy w nich jako wzorce wychowawcze. Ale kto jest bez wad, niech rzuci kamieniem...

Jednak dziś postanowiłem przypomnieć druha hm. Jana S. Dlaczego? Otóż jeden z kręgów instruktorskich postanowił przyjąć jego imię. Przygotowuje się do uroczystości, więc warto barwną postać Janka przypomnieć.

Był on instruktorem nietuzinkowym, osobą z ogromnym autorytetem, człowiekiem z charyzmą, który miał nieprawdopodobne umiejętności organizacyjne. Gdy coś powiedział, że zrobi, to robił. Gdy miał coś przeprowadzić, przeprowadzał. Miał kilka zasad, reguł, których przestrzegania od swoich współpracowników wymagał. Między innymi cenił sobie punktualność.

Narada kadry. Część instruktorów jak zwykle spóźniła się na spotkanie. Janek zaczyna je z opóźnieniem i komunikuje: – Druhny i druhowie, mieliśmy na naszą naradę przeznaczyć godzinę. Niestety zaczynamy ją dziesięć minut później. Cóż, zaczęliśmy z takim opóźnieniem, skończymy więc dziesięć minut wcześniej. – Narada z Jankiem zamiast godziny trwała czterdzieści minut. I przez te czterdzieści minut zostały omówione wszystkie sprawy. Konkretnie i rzeczowo. Byliśmy zdumieni. Ale na następną naradę nikt się nie spóźnił.

Przygotowania do obozu – któregoś dnia jedna osoba nie pojawiła się na spotkaniu. Wcześniej się nie usprawiedliwiała. Siedzimy w mieszkaniu u Janka. Narada była długa, kończyła się koło 22.00. Gdy już się żegnaliśmy, Janek powiedział: – A teraz jadę do Krzysia, nie było go dzisiaj, może coś mu się stało? – Krzysio nic się nie stało, ot, zlekceważył spotkanie. Ale na kolejnych już bywał, nie chciał, aby Janek w taki sposób wykazywał mu swe zainteresowanie.

Czasami miał punktualnościowe wpadki. Bieszczady, Wołosate, czasy, kiedy stаницy kieleckiej nikt jeszcze nie planował. Janek jest komendantem zgrupowania. Słońce praży. Z dwudniowego rajdu harcerze jednego z obozów spóźniają się godzinę. Co czyni Janek? Zwalnia z funkcji (za to spóźnienie) komendanta obozu. Na nic tłumaczenia, że harcerze musieli chwilę odpocząć, że rajd był udany, że to Bieszczady... Spóźnienie to spóźnienie – Jacek przestał być komendantem.

Ale ta historia ma ciąg dalszy. Następnego dnia Janek z panią pielęgniarką wyprawiają się o poranku na Tarnicę. Mają wrócić wieczorem. Wieczór mija, nadchodzi noc a wędrowców nie ma. Rano chcemy wyzywać do poszukiwań GOPR, kiedy zagubieni odnajdują się. Nie są rozmowni. Przepraszają za kłopot. Cóż – to nie było godzinne spóźnienie. Więc zbiera kadrę Janek wygłasza mowę: – Powinienem się zwolnić z funkcji, więc się zwalniam, ale jestem komendantem, więc przywracam się na funkcję. Wybaczcie. – My wybaczymy, ale Jacek, były komendant obozu, chyba nie. Bo po tym doświadczeniu Janek swojej wcześniejszej decyzji nie zmienił.

Skuteczność Janka poznałem na własnej skórze. Wracaliśmy ze zwiadu kwatermistrzowskiego. Niedziela, nasz samochód włókł się nieprawdopodobnie. A mnie się spieszyło. Miałem na 19.00 kupione bilety do teatru. Jedziemy, jedziemy, a ja jestem coraz bardziej zmartwiony i zdenerwowany – nie zdążę. I co czyni Janek? Na środku szosy, wymachując ręką, zatrzymuje wyprzedzający nas, śmigający obok samochód. – Panowie, zabierzcie jednego naszego kolegę do Warszawy. Najlepiej od razu do Teatru Ateneum. – I co? Wzięli mnie, jeszcze przyspieszyli i za 15 siódma byłem już w teatrze. Nie, nie, sztuki nie pamiętam... Pamiętam Janka i jego rękę.

Janek był instruktorem „krótkodystansowym”. Dostawał zadanie w jednym hufcu, wykonywał je i już był angażowany do drugiego. Myśmy wykorzystali jego umiejętności do postawienia na nogi pionu starszoharcerskiego w liceach i technikach. Co Janek zrobił? Niby nic nadzwyczajnego – mocne środowiska dostały zadanie zaopiekowania się słabszymi. Łączył, rozdzielał, nawet sam został mianowany komendantem szczepu, wzmacniał kadrowo, kształcił. To były raptem dwa lata, może trzy i szczepy w szkołach ponadpodstawowych stanęły na nogi. Bo Janek tak pracował, że nie można mu było odmówić. Ale gdy nasze harcerstwo starsze zaczęło hulać – Janka już z nami nie było. Działal już „na innym froncie” w innym hufcu.

Janek bardzo cenił sobie płęć żeńską. I widział istotne różnice w wychowaniu dziewcząt i chłopców. Dziś taki model wychowania byłby mocno krytykowany. Mówił: – Dziewczęta na obozie, tak jak w każdej innej sytuacji, mają się podobać chłopcom. Młodzieniec nie może widzieć dziewczyny rozmamłanej, w piżamie, nieuczesanej, bez zrobionego (obozowego delikatnego) makijażu. Dlatego dziewczęta muszą obozować w pewnej odległości od chłopców. A chłopcy muszą pokazać swą męskość (dosłownie) – o szóstej rano, gdy w sąsiednim obozie dziewczęta śpią, mają zamiast nudnej rozgrzewki porannej po zdjęciu ubrań, w jakich śpią, pobiec do jeziora i tam się wykapać. Po takiej kąpieli dzień staje się zupełnie inny. Taki był Jankowy skauting dla dziewcząt i chłopców. Ale w innych sprawach, na przykład budowy obozu, różnic między harcerkami a harcerzami nie widział.

Ale był nerwusem, podejmował decyzje gwałtownie, nie dawał się na spokojnie przekonywać. Tak było w naszej chorągwianej Komisji Historycznej, gdzie obaj działaliśmy. Tego dnia miałem inne zdanie niż Janek, ot, zwykła dyskusja. I co się wydarzyło? Janek się nadął, zaperzył i powiedział: – Jeżeli tak, to ja rezygnuję z pracy w komisji. – Wstał i poszedł. Taki był. I może także z tego powodu pracował w kilku hufcach. Wykonywał znakomicie swą pracę, ale potrafił wstać i odejść. Czy z mojego hufca też tak odszedł?

Opowieści o Janku mogłyby snuć dziesiątki osób – bo był harcerzem w Szarych Szeregach, działał w kilku hufcach warszawskich, komendzie chorągwi, wielu instytucjach... Był osobowością na miarę swych czasów. Dziewczęta się w nim kochały, chłopcy cenili za szybkość i stanowczość. Barwny, fascynujący instruktor. Nie poznałem takiego drugiego...

PS 2025: Hm. Jan Schaitter zmarł w 2016 r. Pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Na podstawie jego barwnego życia można by było nakręcić interesujący film.

CZUWAJ 9/2022

Nasze zadanie

Okrutna wojna, którą rozpoczął rosyjski najeźdźca, atakując niepodległe państwo – Ukrainę – trwa. Powszechnie się uważa, że walki nie zakończą się szybko i że nasi wschodni sąsiedzi zrobią wszystko, aby odzyskać zagrabione tereny, łącznie z Krymem. Skutki tej wojny odczuwamy na co dzień, ale jeden jej aspekt jest ważny ze względu na naszą codzienną harcerską działalność.

Zauważmy, zapał naszego społeczeństwa, tak spontanicznie i bezinteresownie pomagającego uchodźcom z Ukrainy, słabnie. Coraz częściej pojawiają się głosy, że obecność dużej grupy Ukraińców w Polsce to dla nas – naszego codziennego egzystowania – duży problem. Gdzieś uchodźcy są za głośni, gdzieś nadmiernie powiększyli liczbę uczniów w klasie, gdzieś odbierają nam miejsca pracy albo wykupują niektóre towary... Po prostu są, mówią obok nas innym językiem. Należy te negatywne reakcje zrozumieć i cały czas tłumaczyć, że już nigdy w Polsce nie będzie, „jak przed wojną”. Ukraińców będzie w naszym kraju więcej. Będą żyli z nami i wśród nas. Ilu ich jest i będzie? Nikt tego nie wie, nawet nie znamy oficjalnych szacunków.

Na brak owej wiedzy nakładają się najnowsze informacje z Ukrainy. Grozi nam, chyba mogę tak to sformułować, kolejny exodus Ukraińców. Zbliża się zima, a Rosjanie między innymi niszczą ukraińskie elektrownie. Ukraina nie będzie miała prądu i prawdopodobnie duże kłopoty z dostawą żywności. Pojawiają się więc kolejni uciekinierzy u naszych granic, a my ich przyjmiemy – także do swoich domów. Będą razem z nami.

I tu bym zauważył, jak ważna w procesie integracji ze społecznością ukraińską jest nasza harcerska powinność. Rada Naczelna ZHP w pierwszych dniach wojny przyjęła bardzo mądrą i dalekosiężną uchwałę. Przypomnę jej fragment.

W perspektywie najbliższych miesięcy kluczowe znaczenie będzie miało zapewnienie dzieciom i młodzieży bezpiecznego środowiska psychicznego, umożliwienie budowania więzi z mieszkańcami naszego kraju oraz szerokie wsparcie w ramach edukacji nieformalnej. Budowa-

nie relacji z rówieśnikami pozwoli naszym ukraińskim gościom łatwiej odnaleźć się w nowym otoczeniu, a przez nawiązywanie tak ważnych w tym wieku przyjaźni z większym optymizmem spojrzeć w przyszłość.

...Jesteśmy otwarci i zapraszamy dzieci i młodzież z Ukrainy – tych już mieszkających w Polsce, jak i tych, którzy przybywają teraz jako uchodźcy z ogarniętego wojną kraju – do aktywnego, równoprawnego uczestnictwa w harcerskich działaniach, ale również do członkostwa w Związku Harcerstwa Polskiego...

Uchwała 109 RN przyjęta była w lutym 2022 r. Minęło lato, w trakcie którego grupy dzieci ze wschodu były przyjmowane na naszych obozach i w naszych bazach. Wielu instruktorów zetknęło się z młodymi Ukraińcami i ich problemami. Nie da się ukryć – bardzo różnorodnymi. Niektóre dzieci widziały śmierć swoich najbliższych lub siedziały w piwnicy, gdy miasto było bombardowane. Niektóre przyjechały z miasta, w którym wojny widać nie było, ich rodzice posiadali duże pieniądze i młodzi ludzie z tym się nie kryją. Niektóre na sygnał karetki pogotowia padają na ziemię, niektóre wykazują swe roszczenia i uważają, że Polacy powinni im zapewniać spanie, jedzenie i gotówkę na drobne wydatki. Ich rodzice (oczywiście przede wszystkim matki – ojcowie walczą) chcą osiedlić się na Zachodzie lub na stałe zostać w Polsce, ale duża część marzy o jak najszybszym powrocie do swoich miejscowości. Naprawdę każde ukraińskie dziecko jest inne.

I wszystkimi my – instruktorzy ZHP – powinniśmy próbować się zająć. Najpierw – co oczywiste – zgodnie z tym, co napisano w uchwale RN, zapraszając je do pracy w naszych gromadach zuchowych i drużynach. To ci, którzy chodzą do naszych szkół, siedzą z naszymi harcerzami w jednych ławkach i którzy powinni być traktowani tak samo jak nasi członkowie. Są z nami w naszych mundurach. W tym miejscu jakiegokolwiek moje uwagi są zbędne.

Integracja tych dzieci w drużynach przebiega bardzo różnorodnie. Ale każdemu takiemu dziecku musimy poświęcić dodatkowo czas, uwagę na nie patrzeć i reagować na każdy niepokojący objaw zachowań budzących nasze wątpliwości. Niezmiernie trudne zadanie dla naszych drużynowych i przybocznych, ale niezwykle ważne.

Ale poza tym ważnym zadaniem jest jeszcze ogromna przestrzeń dla podejmowania harcerskiej służby – nazwałbym ją przestrzenią pomocową.

Te dzieci w większości słabo mówią, a jeszcze słabiej piszą po polsku. Nasz MEN zdecydował, że mają one zdawać wszystkie testy wraz z egzaminami na koniec ósmej klasy tak samo, jak polscy uczniowie. Czy widzicie tę przesze-
strzeń? Wszechstronną i różnorodną pomoc? Rówieśnicy – rówieśnikom,
starsi – młodszym. Pomagać i uczyć języka polskiego, ale i uzupełniać
wiedzę i umiejętności z wszystkich innych przedmiotów (no, może z wy-
jątkiem wychowania fizycznego). Ta służba – długofalowa – powinna się
zacząć jakiś czas temu i powinna trwać, aż nie będzie dzieci ukraińskich,
które w polskiej szkole sobie nie radzą.

Jest jeszcze jedno pole naszej służby. Część młodzieży ukraińskiej uczy
się online w swym języku, powstały także ukraińskie przedszkola i szkoły.
Z tymi dziećmi i z tą młodzieżą też warto pracować. Nie pomagając im
się uczyć, lecz pomagając poznawać Polskę. Naszą ojczyznę, ale może ten
kraj, w którym będą mieszkać na stałe. Bo dlaczego na harcerską grę po
mieście nie zaprosić naszych gości? Dlaczego nie wziąć kilku osób na nasz
raid? A może na obóz? Oczywiście to trudne wyzwanie, ale naprawdę re-
alne. Tu mogliby się wykazać nasi wędrownicy. I czy już nie powinniśmy
zaplanować, by na obozie drużyny w roku 2023 w każdym zastępie zna-
lazło się dziecko ukraińskie? W zastępie naszych harcerek lub harcerzy,
a nie w odrębnym „ukraińskim”. Pamiętamy wszak o integracji...

Dla przypomnienia jeszcze jeden cytat z uchwały Rady Naczelnej:

*Rolą środowisk harcerskich jest podjęcie adekwatnej do aktualnych
potrzeb służby na rzecz uchodźców przebywających w miejscu działania,
a także wsparcie drużynowych w obszarze włączenia i adaptacji dzieci
i młodzieży z Ukrainy w działalność gromad i drużyn oraz stworzenie
warunków, w których odnajdą oni w naszym kraju poczucie bezpieczeń-
stwa, braterstwo i przyjaźń.*

Grudniowe światła wielu świec

Grudzień jest wyjątkowo ciekawym miesiącem. Chyba najważniejszym w całym roku. Najkrótsze dni, najdłuższe noce. Z utęsknieniem czekamy na czas, kiedy słoneczne promienie będą nas budzić. Marzymy, aby już, już tego dnia przybywało. Grudzień to miesiąc świec. Zapalamy je z różnych powodów, ale staramy się rozświetlić ciemne poranki i wieczory owymi płomykami. Rozjaśnić smutek nocy nadzieją, a właściwie wieloma nadziejami. Grudzień to miesiąc, kiedy tradycja religijna zrasta się z tą pogańską lub po prostu świecką. Kiedy te kultywowane od wieków tworzą jedność z tymi całkiem nowymi.

Zostawmy z boku ulice rozświetlane tysiącami lampek, sklepy i stojące na placach piękne choinki. Nie zajmujmy się domami udekorowanymi sznurami kolorowych żarówek. Nie będą nas interesować bożonarodzeniowe jarmarki. Pomyślmy spokojnie o prawdziwym, żywym ogniu dającym światło. O grudniowej zapalanej świecy, która ma płonąć i która ma tak wiele symboli...

Grudniowy świt, a właściwie noc, ostatnie dni listopada, a może początek grudnia. Czy jeszcze o tej porze z któregoś domu wychodzi babcia z wnukiem? Czy wnuk, a może wnuczka, trzyma w ręku zapalony świecę i idzie z nią do kościoła? Pilnuje, aby ogień, prawdziwy ogień nie zgasł? Tak, idą na roraty, na mszę adwentową, poświęconą Marii, mającej już niedługo urodzić swe dziecko. Wnuk wnosi do ciemnej świątyni ogień – świecę, symbolizującą Matkę Boską. Ta świeca to pierwszy ogień, z którym spotykamy się w adwencie. Pierwszy grudniowy ogień. Roraty trwać będą przez cały adwent.

A nam przybliżać narodziny Dzieciątka będzie wieniec lub świecznik adwentowy. Na wieńcu cztery świece. W pierwszą niedzielę adwentu zapalimy pierwszą. Następne zapłoną w kolejne niedziele. To światło przybliży nam nie tylko wspomnienie o Bogu-człowieku, ale także święta, choinkę, pod nią prezenty. Boże Narodzenie coraz bliżej. Ogień w naszym domu płonie... W czwartą niedzielę adwentu palić się będą już cztery świece...

Grudzień to miesiąc, gdy rzeczywiście dnia zaczyna przybywać. Nie obchodzimy powszechnie dnia świętej Łucji, lecz szwedzki obyczaj, kulturowany za Bałtykiem w bardzo wielu rodzinach, czasami się w Polsce pojawia. A to ciekawy obrzęd – uroczystość rodzinna. Ubrana w białe szaty dziewczynka z koroną na głowie jest Łucją. Każda z dziewcząt chce nią być. Na koronie płoną świece. Chłopcy, także ubrani na biało, mają na głowach szpiczaste czapki. Wszyscy, cała rodzina śpiewa włoski przebój „Santa Lucia”. Od tego dnia, 13 grudnia, dzień będzie coraz dłuższy, a świat coraz jaśniejszy. Nieszczęśliwa święta, która pozbawiła się oczu, w zupełnie świeckim obrzędzie sprawia, że dzięki jej tragedii wszyscy będziemy mieć za kilka dni coraz więcej światła słonecznego.

Ileż to świec pali się wokół nas przed Świętami! I jak doskonale my, harcerze, wpasowaliśmy się w owe światła pełne nadziei z jeszcze jednym ogniem – Betlejemskim Światłem Pokoju. Dobrze się on wpisuje w ciąg religijnych i całkiem już świeckich obyczajów, zwyczajów, obrzędów. I dobrze jest też spojrzeć, jakie hasła promowaliśmy co roku, roznosząc ten Ogień, jaka była, poza prostym wpisaniem w nazwę pokojem, jego symbolika. Bo były to przez minione lata wartości w pełni uniwersalne. Dobro, przyjaźń, radość, służba – te słowa dotyczą przecież każdego z nas, nie tylko chrześcijan. Niosąc do domu, każdego polskiego domu, Betlejemskie Światło Pokoju, warto o tym pamiętać.

CZUWAJ 12/2022

Nasz harcerski żywy język

Ja wiem, język, każdy język jest żywy. Powstają nowe wyrazy, niektórych przestajemy używać. Wiem o tym od kilkudziesięciu lat. Dawno, dawno temu skończyłem polonistykę. A wcześniej, jeszcze w liceum zastanawiałem się z całą klasą, czym jest owo ochędóstwo i jak wygląda letniczek. W harcerstwie, jak w każdej grupie mającej swoją historię, tradycje, swoje zasady, przepisy, obyczaje, regulaminy posługujemy się specyficznym, tylko naszym i dostępnym tylko nam językiem. Mamy nasze harcerskie hufce i chorągwie, mamy młodzika i ćwika, mamy swój zachowy krąg rady a także krąg, który jest „zawiazywany”. „Czuj!” różni się od „Czuwaj!” i od „Czuj, czuj – Czuwaj!””. Wiemy, kiedy którego okrzyku używać. Tak, jesteśmy specyficzni. Ci, którzy do nas przychodzą, czy to małe dzieci, czy już ludzie dorośli, muszą się tego języka i związanych z nim zachowań nauczyć.

Ale ponieważ język naszej organizacji a także całego ruchu jest żywy, rodzą się w nim nowe słowa, inaczej być nie może. Na początku stycznia, wracając znad morza, spotkałem w autobusie grupę zawiszaków – tak o nich pomyślałem, mając pełną świadomość, że to członkowie Skautów Europy. A z zawiszakami, tymi szaroszeregowymi, przecież związku nie mieli, na dodatek wyglądali na grupę młodych instruktorów. Są więc nowe w rzeczywistości słowa, które przyjąłem bez trudu. Ale z niektórymi, przecież nie tylko występującymi w naszej organizacji, miałem kłopot. Pogodziłem się po latach walki z ewaluacją, która wyparła nasze zwykłe, codzienne i powszechne podsumowanie. Ewaluacja brzmi tak uczenie, nowocześnie, a chcemy przecież być nowocześni. Zaakceptowałem, bo co miałem robić, projekty. W którymś momencie pracy naszej organizacji okazało się, że każde zadanie, nie tylko starszoharcerskie, jest projektem. Raid był projektem, biwak był projektem i sprzedawanie przez drużynę zniczy to także projekt. Są też projekty szkolne. Cóż, tak już jest i owa projektomania mnie nie razi. Może dlatego, że również piszemy projekty, aby zdobyć środki finansowe z różnych źródeł. Nasz nowy SIM słowo

projekt w systemie zlikwidował, ale i tak pozostanie on na dłużej w organizacji. I niech już tak będzie. Chyba z największym trudem pogodziłem się ze zmianą rozumienia bardzo bliskiego harcerstwu słowa spolegliwy. Bo spolegliwy to przecież, w rozumieniu twórcy tego neologizmu, prof. Tadeusza Kotarbińskiego, opiekun, na którym można polegać. Tak bardzo chciałbym, abyśmy wszyscy w harcerstwie byli spolegliwymi opiekunami. Niestety bardzo szybko okazało się, że spolegliwy to taki, który łatwo się podporządkowuje cudzym decyzjom lub sugestiom, człowiek bez własnego zdania. Na szczęście coraz rzadziej można usłyszeć to słowo w tak zniekształcającym go rozumieniu.

Są jednak słowa, które słyszę, które czytam, i które – niezależnie, czy są to neologizmy, czy słowa nabierające nowego znaczenia – rażą mnie, drażnią i które muszę odrzucić. A każde z innego powodu.

Ukrzyżowanie

Czy wiecie, że nasi harcerze bywają ukrzyżowani? I nie jest to zabawa w starożytny Rzym i rozpinanie ludzi skazanych na śmierć na krzyżu (a czasami też podpalanych). Nie ma to także związku z chrześcijańską Wielką Nocą i śmiercią na krzyżu Chrystusa. Nasi harcerze są „ukrzyżowani” w momencie, gdy po złożeniu Przyrzeczenia otrzymują w obrzędowej formie Krzyż Harcerski. Że też naszym instruktorom nie przyszło do głowy, iż formułując zwrot „ukrzyżować harcerza lub harcerkę” dokonują profanacji symbolu głęboko tkwiącego w polskiej kulturze. (*„Profanacja” – pojęcie odnoszące się do naruszania sfery sacrum, powodujące pozbawienie poświęconych rzeczy lub konsekrowanych miejsc wartości kultowej oraz potraktowania bez należytego szacunku rzeczy, wartości otoczonych powszechnie czcią*). Zatem niech harcerz składa Przyrzeczenie, niech zostanie mu wręczony Krzyż i niech będzie pełnoprawnym członkiem naszej organizacji.

Zuchna

Z zuchną mam kłopot. Bo niesłychanie trudno wytłumaczyć, że zuchna (zuchenka) nie jest zuchem, że zuchna to dziewczynka, która nie posiada tych cech, jakie ma zuch. Trudno wytłumaczyć, ale spróbuję. Aleksander Kamiński, pisząc o zuchu, nadał temu słowu określone znaczenie. Bo zuchem jest dziecko dzielne, śmiałe, odważne. Zuchem jest chłopiec lub dziewczynka. O dziewczynce, nie tylko o chłopcu powiemy: – Zosia

jest prawdziwym zuchem. – Na pierwszy rzut oka (a może ucha) widać różnicę, gdy powiemy: – Zosia jest prawdziwą zuchną. – W pierwszym przypadku Zosia jest nie tylko członkinią naszej organizacji, ale posiada jeszcze szereg cech, ową zuchową dzielność. W drugim przypadku to po prostu dziewczynka, której autentycznych cech zucha przypisać nie sposób. Dopiero gdy powiemy: – Zuchna Zosia jest zuchem – przypiszemy Zosi zuchowe cechy. Ale czy to miałoby sens? Dlatego jestem za pozostawieniem w naszej organizacji zucha–chłopca i zucha–dziewczynki. A zuchna lub zuchenka niech odejdzie w niebyt.

Kontyngent

Skąd się wziął w ZHP ten nieszczęsny kontyngent? Ot, wprowadził go zamiast słowa reprezentacja pewien druh, który lubił kontyngenty wojskowe. A przecież kontyngent to: *1. określona ilość czegoś, przydział, 2. określona w umowach międzypaństwowych maksymalna norma importu, eksportu lub tranzytu, ustanowiona dla niektórych towarów, 3. jednostki wojskowe jakiegoś państwa pełniące służbę w międzynarodowych siłach zbrojnych, 4. obowiązkowe świadczenia w naturze dokonywane przez ludność na rzecz państwa, gminy itp.* Reprezentacja naszej organizacji na jamboree, zlot, rajd czy jakąś inną imprezę nie jest jednostką wojskową ani obowiązkowym świadczeniem w naturze (najstarsi z nas pamiętają, że niegdyś rolników zobowiązywano do sprzedawania państwu określonego kontyngentu zboża lub ziemniaków). Od biedy można przyjąć, że nasza reprezentacja ma być zgodna z wyznaczonym nam przydziałem liczby członków (punkt 1 definicji) i dlatego jest „kontyngentem”. Ale to bardzo naciągana koncepcja. Dlatego jestem za powrotem do dawniej używanego słowa reprezentacja – na każdą imprezę, w której bierzemy udział. By godnie reprezentować naszą drużynę, hufiec, chorągiew czy cały Związek.

Probant

To nieszczęsne słowo pojawiło się w harcerstwie w związku z naturalnym dla każdego języka staraniem o jego ekonomię, dążeniem do skrótowości. Ale przecież probant w genealogii to osoba zajmująca centralne miejsce na tablicy genealogicznej zaś w zakonie – kandydat do zostania zakonnikiem. U nas to brzydko brzmiące słowo oznacza osobę zdobywającą stopień instruktorski – to harcerz, który ma otwartą próbę. Świadomie tu piszę harcerz, bo nie spotkałem się jeszcze z pasującym tu dziwolą-

giem – probantka. Tak, wiem, łatwiej użyć tego potworka językowego niż mówić o podopiecznych (w przypadku opiekunów) lub druwnach i dru-
hach, którzy zdobywają stopień i mają otwartą próbę instruktorską. Może
łatwiej, ale wolałbym, abyśmy mówili normalną polszczyzną.

Istnieje Rada Języka Polskiego, która decyduje o poprawności wszel-
kich zmian w naszym języku. Może warto powołać w harcerstwie radę ds.
poprawnej harcerskiej polszczyzny? Bo przecież nie tylko o wymienione
tu cztery słowa chodzi...

PS: Wyobrażacie sobie list do redakcji „Czuwaj”, w którym czytamy:
*Rankiem nad jeziorem Gopło ukrzyżowano trzech 16-letnich harcerzy.
W ukrzyżowaniu wzięła też udział zuchna – siostra jednego z nich. Wszyscy
druhowie są członkami kontyngentu na Intercamp. Zaraz po zlocie planują
zostać probantami i otworzyć próbę na HO i stopień przewodnika.*

CZUWAJ 1/2023

Noc listopadowa

Było to bardzo dawno temu, niektórzy najstarsi ludzie tego nie pamiętają. Od prawie roku trwał w Polsce stan wojenny. A od ponad półtora roku weszliśmy w nowy historyczny czas harcerstwa w szkołach ponadpodstawowych. Czyelnicy moich felietonów wiedzą, jakie to były zmiany. O pierwszych dniach stanu wojennego w naszym szczepie pisałem niedawno, dziś o jednym szczepowym wydarzeniu. Może być ono tylko ciekawostką z dawnych lat, a może inspiracją programową.

Ale tu potrzebny jest konkretny drugi wstęp. W naszym hufcu od niepamiętnych czasów, chyba od roku 1958, organizowany jest rajd Olszynka Grochowska. W tym roku po raz 64. Bo na terenie dzisiejszych warszawskich dzielnic Rembertów i Praga-Południe w trakcie powstania listopadowego rozegrała się słynna wielka bitwa toczona z Rosjanami w obronie stolicy. Bierzymy udział w zimowym rajdzie, uczestniczymy w apelu, co roku czcimy pamięć powstańców, znamy więc w szczepie różne wydarzenia tej walki. Ale czy nie powinniśmy wiedzieć o powstaniu czegoś więcej? W szczepie starszoharcerskim, dzisiejszym wędrowniczym, na pewno warto.

Zdecydowaliśmy – wystawimy przedstawienie teatralne. Takie po części pokazujące autentyczne wydarzenia, po części będące wizją poety. Czyli jakieś fragmenty jednego z dramatów Wyspiańskiego, który powstaniem był zafascynowany. Od razu odrzucamy „Lelewela”, pozostają dwie możliwości. Albo „Warszawianka”, albo „Noc listopadowa”. Akcja pierwszego z tych dramatów toczy się w trakcie bitwy pod Olszynką, czyli nie wzbogaci naszej wiedzy, na dodatek jest statyczna, najważniejszy jest w niej nastrój. Plusem jest możliwość wystawienia jej w tym budynku, ba, w tej sali, o której myślał poeta, pisząc swój utwór. Jednak na „Warszawiance” byśmy się zanudzili, na dodatek ja musiałbym grać Starego Wiarusa. Dlatego postanowiliśmy – poznamy trochę prawdziwej historii, a trochę poetyckiej. Będziemy uczestniczyć w nocy listopadowej.

Późna jesień. Spotykamy się, tak jak 16 młodych studentów-powstańców, pod pomnikiem króla Jana. Na szczęście jest on poza terenem Łazienek. Od pomnika piękny widok na Pałac na Wodzie. W uszach brzmi nam

„Dorota” – szaroszeregową piosenką. Nie, nie śpiewamy „...spod pomnika króla Jana idzie wiara nasza szara”, to całkiem inne czasy. Podchorążowie wraz ze studentami idą zdobyć Belweder, by zamordować wielkiego księcia Konstantego, przez Park Łazienkowski – my nie możemy, park zamknięty, boginie z pomników, które u poety prowadzą długie dysputy, nam nie towarzyszą. W naszej nocy listopadowej Pallas i kolejne Nike milczą. Gdzieś tylko z oddali dochodzi głos Wysockiego: – Hej, bracia, dzieci, żołnierze, za broń, za broń, za broń! Niech każdy za giwer bierze i ustawia się w szeregu... – Tak, to tekst Wyspiańskiego. Mało tej poezji w naszej inscenizacji, ale może więcej autentyzmu... Jest chłodno, Agrykolą podchodzimy w górę i dostajemy się do pałacu. Belweder był wówczas siedzibą przewodniczącego Rady Państwa, tam na co dzień urzędował prof. Henryk Jabłoński, wielki przyjaciel harcerstwa. Ale tego wieczoru Belweder jest nasz – tak jak podchorążowie – po prostu go zdobyliśmy. No, może przesadzam, my zostaliśmy do pałacu wpuszczeni. A tam, w autentycznych salach już w zgodzie z tym, co napisał Wyspiański, odgrywamy scenę, gdy wielki książę Konstanty długo rozmawia ze swą ukochaną księżną łowicką Joanną Grudzińską i swymi poplecznikami. Pamiętamy, że wkłada Wyspiański w usta księciu słowa – ...los podejmę i Polskę wybawię, i będę czymś – nie błaznem, nie kphem, nie dworakiem, ale Carem Polski... – Wyspiański tworzy wielki dramat narodowy, my akcję bardzo skracamy. Nie udaje się powstańcom zamordować księcia, który opuszcza pałac chroniony przez oddział generała Potockiego. My inscenizujemy tę część wydarzeń w Belwederze nieco inaczej, niż opisał je Wyspiański. Zgodnie z legendą książę przebiera się w szaty kobiece i w takich ucieka z Belwederu. Dla nas ta legendarna opowieść jest ciekawsza.

Ale wieczór się nie kończy. Przecież powstańcy z Belwederu poszli po broń, musieli zdobyć Arsenał. Ten sam, który po wielu latach będzie świadkiem odbicia „Rudego” przez harcerzy z Szarych Szeregów. Splata się ta nasza dawna historia z tą jeszcze dawniejszą. Maszerujemy więc w kierunku Arsenału, jezdnią, z pochodniami. Z boku dyskretnie towarzyszą nam milicjanci. Pamiętamy, jest stan wojenny. Arsenał oczywiście zdobyliśmy, choć nie zachęcaliśmy okrzykami nielicznych zdziwionych warszawiaków tak jak powstańcy, którzy wołali: – Chodźcie z nami. – i nie inscenizowaliśmy walk na ulicach, w których tak aktywny udział wzięły boginie, te z łazienkowskich pomników.

I jeszcze jedno. Pamiętacie, jakie słowa wypowiada oślepiiony, w łachmanach Walerian Łukasiński, słowa pointujące „Noc listopadową”... *Witaj – Jutrzenko – swo-bo-dy – za to-bą – zba-wie-nia – Słoń-ce.*

Tak, nasza zbiórka była dawno temu...

PS: Miałem napisać felieton o kształtowaniu uczuć patriotycznych; miałem także przekonać wszystkich czytelników, że harcerz potrafi zorganizować nietypową zbiórkę szczepu w trudnych warunkach. I że kształtować te uczucia trzeba w działaniu, czynnie. Wyliczmy: piękno Warszawy, tajemnicze o tej porze Łazienki, przybliżenie harcerzom dramatu Wyspiańskiego, poznanie historycznego Belwederu (padło tam przecież nazwisko Piłsudskiego), autentyczne wydarzenia historyczne itd., itd. Zamiast tekstu, że nie kształtujemy postaw harcerskich, stając pod pomnikami, wyszła mi cikliwa opowieść starszego pana o fragmencie działalności mojego szczepu. Ale może takie opowieści też są potrzebne? I pobudzają do myślenia?

CZUWAJ 3/2023

Harcerstwo pod strzechy

Przeglądałem ostatnio swoje felietony, jakie publikowałem w starszoharcerskiej wkładce do tygodnika „Motywy”. Tygodnik ten, będący pismem instruktorów harcerskich i społecznych wychowawców, docierał w prenumeracie do całej naszej kadry. Wkłádki takie, także zuchowa i harcerska, zostały wymyślone w 1981 r. przede wszystkim jako poradniki metodyczne dla drużynowych wszystkich trzech grup wiekowych. Moje było „Na Tropie”, które jeszcze przed stanem wojennym usamodzielniało się i wychodziło jako miesięcznik „Drużyna – Na Tropie”. Tego to pisma zostałem w 1982 r. szefem. Obok mojego miesięcznika wychodziła jeszcze „Drużyna – Zuchowe Wieści” i „Drużyna – Propozycje”.

Otóż przeczytałem w „Na Tropie” swój felieton, którego cytować nie będę, ale który streścić można następująco: W naszym hufcu kursy dla młodej kadry są bardzo słabe, harcerze niewiele tam się mogą nauczyć, dlatego musimy w szczepie zorganizować własny kurs drużynowych, a przy okazji, jakby obok niego, kurs zastępowych. No i takie dwa kursy zorganizowaliśmy. W każdym z nich wzięło udział po około 15 uczestników.

Nie było wówczas standardów kursów, certyfikowania tychże, odznaka kadry kształcącej miała inne znaczenie, nikt na nią nie zwracał uwagi. Mieliliśmy nowe stopnie harcerskie, właśnie wymyśliliśmy znaki służb. I sobie ot tak, z marszu zorganizowaliśmy kurs. Pamiętajmy, że nie było w tych zamierzonych czasach kursu przewodnikowskiego i kursu drużynowych. Nasz kurs się udał, drużyny pracowały, kadra była przeszkolona. Ot, było normalnie. Było normalnie w normalnym szczepie starszoharcerskim.

Znacznie wcześniej, będąc uczniem liceum, wziąłem udział w kursie drużynowych w „Zuchowej chałupie”, czyli Centralnej Szkole Instruktorów Zuchowych w Cieplicach. Kilka drużyn kursowych, piękny pałac stojący na środku miasta wypełniony po brzegi szarymi i zielonymi mundurami. Ponad setka młodych ludzi kształcona centralnie przez najlepszych

zuchmistrzów, jakich w tamtych czasach organizacja posiadała. Przed nami był tam kurs dla nauczycieli, a przede wszystkim nauczycielek, po naszym wyjeździe – kursy podharc mistrzowskie.

Nie macie pojęcia, jak tam wszystko hulało, jak buzowała w nas chęć robienia znakomitego harcerstwa we własnych hufcach. Czy możecie sobie wyobrazić, że rok później ja, jeszcze niepełnoletni, prowadziłem zajęcia na naszym hufcowym kursie zuchowym? Bo tak dużo dał mi ten kurs w Cieplicach i praktyka w prowadzeniu drużyny. Tak, wtedy gromady zuchowe nazywaliśmy drużynami. I moja drużyna zuchów, i te inne w hufcu, pracowały normalnie. A nasze zuchowe namiestnictwo było jednym z najlepszych w Polsce.

Kilkanaście lat temu postanowiłem wzmocnić działalność harcerską w szkołach, które brały udział w kolejnej edycji niegdyś ogromnej, później minimalizowanej akcji „Szkoła z klasą”. Była to „Szkoła marzeń”. W szkole marzeń powinna działać drużyna harcerska. Dlatego wraz z Ewą Lachiewicz zaprosiliśmy na Głodówkę sześćdziesięcioro opiekunów drużyn i instruktorów harcerskich z całej Polski. Nauczycieli. W niektórych z ich szkół drużyna już działała, w niektórych dopiero raczkowała, a w niektórych owi opiekunowie chcieli, aby harcerstwo do ich szkoły wróciło. Poprowadziliśmy intensywny kurs. Jedni by powiedzieli – kurs opiekunów, ale inni – kurs drużynowych. Po tym kursie współpracowałem jeszcze z grupą chętnych, pomagając im w codziennym działaniu. Normalnym codziennym działaniu.

Dlaczego o tym piszę? Nie wrócą już czasy „Zuchowej chałupy” w Cieplicach, nie będziemy mieli instruktorów na etatach w trzech centralnych szkołach instruktorskich – w Oleśnicy, w Załęczu Wielkim i w „Perkozie”. Nie te czasy, nie dostaniemy państwowych dotacji, aby takie szkoły uruchomić. Ja też pewnie kolejnego kursu na Głodówce nie poprowadzę.

Ale w naszej niewielkiej organizacji, która się nie rozwija, gdzie duża część drużynowych nie jest przeszkolona, mamy jednak ogromny potencjał. Tylko gdzieś na przeszkodzie w naszym niekonwencjonalnym działaniu stają regulaminy, zasady, decyzje, uchwały itd., itd. Spętana wewnętrznymi przepisami na przykład Centralna Szkoła Instruktorska zajmuje się ewaluacjami, szkołami chorągwanymi, konferencjami i kształceniem harcmistrzów. Wydaje mi się, że nikt nie wpadnie dziś na pomysł, by, jak kilkadziesiąt lat temu, na szczelbu centralnym zacząć, wykorzystując naszych najlepszych instruktorów, szkolić drużynowych. A przecież szkolić

ich wszystkimi dostępnymi metodami trzeba. Może nauczycieli wiejskich szkół, może rodziców zuchów. Może inne grupy przyszłych instruktorów, którzy we własnym hufcu nie mają szans zdobycia wiedzy i umiejętności...

Co zrobić, aby nieco poluzować, bo w całkowite zerwanie już nie wierzę, nasze związkowe pęta? Aby na przykład dobry szczep lub Centralna Szkoła Instruktorska mogły poprowadzić kursy dla przyszłej naszej kadry, bo od tego także zależy, czy damy większej liczbie dzieci szansę należenia do ZHP. Powinniśmy się wszyscy starać, by nasza organizacja ponownie trafiła pod strzechy. Na razie chyba mamy szansę na uczestniczenie w kilku bardzo dobrych konferencjach. Konferencje są potrzebne, ale kształcenie drużynowych wszystkimi dostępnymi nam sposobami chyba bardziej.

CZUWAJ 4/2023

Kabaret trzech panów

Dwóch starszych panów – Marek i Adam rozmawia o dawnych czasach. Dwóch druhów harcmistrzów znających się od sześćdziesięciu lat. Tak, takie przypadki się zdarzają.

– Pamiętasz, Marku – pytam – jak wymyśliśmy w czasie zimowiska, że stworzymy hufcowy kabaret. I w zespole trzech młodocianych tenorów (w rzeczywistości Marek pięknie śpiewa basem) występowaliśmy na karnawałowym balu hufca? – Oczywiście – odpowiada Marek – ileż godzin spędziliśmy, aby napisać chyba dziesięć piosenek... Nie wszystkie zaśpiewaliśmy, ta o Eli była nieparlamentarna...

Nie, nie pisaliśmy muzyki, po prostu do znanych nam melodii układaliśmy teksty. I nie zawsze były to rymy częstochowskie. O komendancie hufca, o znanych w naszym środowisku instruktorach, o wydarzeniach, które mogły wszystkich bawić. Taka zabawa literacka była w tamtych czasach dość częsta. Szczególnie na obozach. My oczywiście byliśmy najlepsi, najwspanialszy i najmądrzejszy w całej okolicy. Kpiliśmy z innych, ale z siebie też. Podpadłem wtedy pewnej Danusi – w piosence wyznawałem swoje winy. Z ironią, bo nie do końca czułem się odpowiedzialny za fakt, iż ta druhna przestała mnie lubić. (Studiowaliśmy później na jednym roku, nadal mnie nie lubiła).

– Ale było nas trzech, ten trzeci to Krzysztof, prawda? – zapytałem. – Nie Krzysztof, lecz Michał – odpowiedział Marek.

– Jak to, Krzysztof, nieco starszy od nas, najlepiej grał na gitarze. Zrobił doktorat, był przez lata pracownikiem naukowym Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie. Krzysztof, na pewno Krzysztof.

– Nie, trzecim z nas był Michał, aktor, współtwórca kabaretu „Salon Niezależnych”, filmowiec. Pamiętasz, że grał w „Człowieku z marmuru” u Wajdy? Mogę go zapytać, czy był wtedy z nami.

I tak sobie starsi panowie porozmawiali o wydarzeniu sprzed lat. Z rozmowy tej wyciągnąć można kilka wniosków i przy okazji także współczesnych refleksji:

– Pamięć jest zawodna. W tym przypadku mamy teksty naszych piosenek, może za jakiś czas dla wąskiego grona pamiętającego tamte czasy jeszcze raz je zaśpiewamy. Z Krzysiem lub Michałem. Nie wiem, z którym z nich.

– Kiedyś nieźle się w harcerstwie bawiliśmy, oczywiście nie tylko organizując występy kabaretowe, fajne to było harcerstwo, takie na luzie, pełne fantazji. Wszyscy się lubiliśmy, chyba że jakaś Danusia obraziła się na jakiegoś Adama. Bywało i tak.

– Nie wszyscy harcerscy wokaliści i kabareciarze zostają zawodowymi artystami, jak Krzysztof i Michał; Marek i ja – nie, choć ja nadal umiem napisać dowolny rymowany wierszyk, a Marek świetnie śpiewa i gra na gitarze.

– Gdzieś tam w Głównej Kwaterze był Wydział Kultury, organizował konkursy na harcerskie piosenki (inspirował nie tylko profesjonalistów), wymyślił festiwal w Kielcach („Wiatracy” się kręci, latem będzie już 50.), wychodziły śpiewniki i książeczki z repertuarem dla drużyn (sam jedną zredagowałem). Takie były czasy.

Tak sobie myślę, że we współczesnym naszym stechniczowanym świecie brakuje nam tej prostoty, tej radości życia, jak przed laty. I niech mi nikt nie mówi, że dziś nie jest to możliwe, że to naiwne marzenia, że tamte czasy nie wrócą. Oczywiście nie wrócą, ale chciałbym jeszcze spotkać harcerskie środowisko, gdzie kilku wędrowników zorganizuje kabaret; i to nie na wzór tych, jakie pokazują dziś w telewizji, ale w duchu Kabaretu Starszych Panów, w duchu współczesnego retro. Może znajdzie się ktoś, kto taki pocziwy pomysł kupi? Wyobrażacie sobie – przegląd harcerskich kabaretów literackich połączony z konkursem na nowe piosenki harcerskie?

PS: Nasz Naczelny redaktor po przeczytaniu tego nieco nostalgicznego felietonu, w którym między innymi przypominam trójkę instruktorów mojego hufca, z pewną nieśmiałością zaproponował uzupełnienie go o kilka przypisów. Bo może nie wszyscy nasi czytelnicy znają „Człowieka z marmuru” Andrzeja Wajdy, film, od którego Krystyna Janda rozpoczęła swoją wielką karierę, film przełomowy w prezentowaniu lat 50. XX wieku, albo nie wiedzą, że Harcerski Festiwal Młodzieży Szkolnej w Kielcach obchodzi w tym roku piękny jubileusz. A na pewno nie oglądali telewizyjnego

Kabaretu Starszych Panów Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego i nie słyszeli o znakomitym kabarecie „Salon Niezależnych”.

No nie, druhu Naczelnny. Starsi czytelnicy wiedzą, o czym piszę. A młodszy? Muszą sobie poczytać, posłuchać, obejrzeć (polecam także „Człowieka z żelaza” – zwróćcie uwagę, kiedy oba filmy Wajdy pojawiły się na ekranach). Powinni się naszą nie tak dawną kulturą zainteresować. Nie tylko samodzielnie, ale i ze swoją drużyną. Bo dlaczego nie?

CZUWAJ 5/2023

Nie tylko potrzebni, ale niezbędni

W jednym z letnich numerów „Polityki” artykuł o harcerstwie. Niby powinniśmy się cieszyć, bo prasa ogólnopolska nie poświęca naszemu ruchowi zbyt wiele miejsca. Ukazują się artykuły, gdy dotknie nas tragedia, jak to miało miejsce przed sześcioma laty na obozie ZHR w Suszku. Tym razem – może to jednak pora, zwana sezonem ogórkowym, sprawiła, że się nami zainteresowano. A może fakt, że ktoś usłyszał o Jamboree w Korei – w każdym razie wydrukowano mało znaczący tekst, w którym autor, a i instruktorki się tam wypowiadające, starają się przypomnieć, że istniejemy i że harcerstwo w dzisiejszych czasach jest potrzebne, ba – atrakcyjne.

Trochę to żenujące – tłumaczyć naszemu społeczeństwu, że tak, że nadal, a może że w tych czasach jeszcze bardziej niż przed laty jesteśmy potrzebni tak dzieciom i młodzieży, jak i ich rodzicom, szkole i (kiedyś to sobie ładnie formułowaliśmy) – państwu. Że wychowanie zgodnie z zasadami zapisanymi w Prawie i Przrzeczeniu, że patriotyzm, że przyjaźń, odpowiedzialność za siebie i innych, że prawdziwa przygoda, że radość życia i między innymi to, co dziś staje się najważniejsze – funkcjonowanie w zespole, socjalizacja. Nie, nie będę tu wymieniał, jak na kursie dla zastępowych, co nam daje harcerstwo. Ale zwrócę uwagę na jeden problem, który w dzisiejszych czasach stał się niesłychanie ważny.

Przed ostatnią reformą szkolną, gdy w Polsce mieliśmy jeszcze gimnazja, nasze władze oświatowe zauważyły, że dzieci nie potrafią pracować zespołowo. Stąd moda na pracę w grupach w klasie, ale przede wszystkim obowiązkowe realizowanie przez uczniów projektów. W harcerstwie także zaistniały projekty, ale nie o tych naszych tu myślę. Projekty w szkole, oczywiście przeprowadzane na bardzo różnych poziomach i nie zawsze zgodnie z ich podstawowymi regułami, były takim prawie harcerskim zadaniem. Grupa dzieci ma jakiś pomysł na pracę zespołową i przy nadzorze nauczyciela realizuje go. Przed laty przeczytałem kilka tysięcy opisów zrealizowanych projektów w ramach akcji (może ktoś ją pamięta) Szkoła z Klasą. Ale to już historia.

Bo dziś harcerstwo wyrasta w sferze wychowania na jeden z niewielu ruchów, który kształtuje współczesnych liderów, uczy kierować zespołem i w tym zespole podporządkowywać się osobie, która nim kieruje. Gdzie dziś w Polsce znajdziemy lepsze miejsce do przygotowania w świecie, w którym trzeba wykazać się tak wieloma umiejętnościami. No, może niekoniecznie będzie w przyszłości niezbędne zbudowanie pryczy, ale ćwiczenie piłowania, rąbania, wbijania gwoździ, a czasem zamiast tych gwoździ wiązania urządzeń obozowych – tak, każdemu i w każdym wieku może się przydać. Krytykom niniejszego felietonu zwracam uwagę, że chodzi mi o sprawne ręce. Przydatne one mogą być w czasie wymieniania koła we własnym samochodzie... Ale przecież nie tylko o umiejętność obierania ziemniaków mi chodzi (starsi instruktorzy zauważą różnicę w umiejętności posługiwania się przez harcerzy nożem przed czterdziestoma laty i dziś).

Jeszcze raz wspomnę o współczesnej szkole. Zauważyliście pewnie, jak modne staje się nauczanie domowe, jak wielką popularnością cieszą się szkoły w chmurach. Niektórzy rodzice uważają, że dziecko w domu nauczy się lepiej, szybciej, że nie będą go stresować oceny, nawet jeżeli są one opisowe. Dziecko zamykane jest w rodzinnej bańce, nie ma codziennego kontaktu z rówieśnikami. Wiecie, jak to jest, gdy nie można się na przerwie pobić z kolegą z klasy, jak to jest, gdy ściągać można tylko z komputera, a nie od kumpla z ławki, gdy masz 12 lat i żaden chłopak nie ciągnie cię za warkocz... No tak, siedzisz w domu i raz w tygodniu rodzice wiozą cię na zajęcia w klubiku piłkarskim lub na pływalnię.

Tak, harcerstwo jest dziś potrzebne, ba – niezbędne. I dzieciom ze szkoły wiejskiej i miejskiej, i dzieciom ze szkoły w chmurze i tej społecznej, gdzie rodzice płacą, aby dziecko było mądrzejsze. A my chcemy, aby było lepsze, umiało w przyszłości funkcjonować w społeczeństwie. Dlatego zastanawianie się, czy we współczesnych czasach harcerstwo ma sens, jest... bez sensu. Wszyscy powinniśmy podjąć jakieś działania, by każde dziecko z każdej polskiej szkoły miało szansę wstąpić do gromady zuchów lub drużyny harcerskiej. Dla jego dobra.

Do tego potrzeba nam tysięcy nowych instruktorów. Młodych, starszych i nawet tych w moim wieku. Aby ich zdobyć, musimy mieć wsparcie – rządu i samorządów, dyrekcji szkół i całych rad pedagogicznych. Czy jest na to szansa? No, trzeba być optymistą.

Do lasu, ale po harcersku

Duża część tego numeru poświęcona jest powiązaniu woodcraftu ze skautingiem, a tym samym z harcerstwem. I to powiązaniu dosłownemu. B-P wprost czerpał z pomysłów i doświadczeń Setona. Teraz druhny i druhowie proponują czerpanie w harcerstwie pełnymi garściami z Setonowskich koncepcji wychowania dzieci, nie tylko zachwycając się błękitnym niebem.

Wielokrotnie zadawałem sobie, ale także różnym instruktorom i kandydatom na instruktorów pytanie, gdzie jest granica harcerstwa. Zaczynałem od pytań prostych, a może pytań, na które łatwo odpowiedzieć, na przykład czy może drużyna nazywać się harcerską, jeżeli jej członkowie nie mają mundurów. Ale zadawałem też pytania trudniejsze, ot, czy harcerstwo pozostaje harcerstwem, jeżeli nie funkcjonują w nim małe grupy – zastępy. Ileż mamy w organizacji drużyn, gdzie harcerki i harcerze przychodzą na zbiórki jak na dodatkowe zajęcia pozalekcyjne, są zabawiani co tydzień przez kadrę – i tylko tyle. O pracy zastępami, o jakiegokolwiek odpowiedzialności członków drużyny za wspólnie podejmowane działania mogą tylko pomarzyć. Czy to jest harcerstwo?

Tu mowa o tych granicach harcerstwa, kiedy możemy sobie powiedzieć: jeżeli tego konkretnego elementu, tej cechy metody nie będzie – nie będzie też harcerstwa. Ot, co możemy powiedzieć o osobistym przykładzie powiązaniem z wzajemnością oddziaływań, jeżeli drużynowy po zakończonej zbiórce będzie szedł po ulicy z papierosem w ustach. I sądzi, że harcerze tego nie widzą.

Ala czy przekroczymy granicę harcerstwa, jeżeli uzupełnimy naszą działalność o dodatkowe zasady, reguły, obrzędy? Atrakcyjne, nowe dla kadry i harcerzy, wprowadzające jakby nowego ducha do pracy drużyny? Kiedy harcerstwo przestaje być harcerstwem z nadmiaru dodatkowych pomysłów?

Nie, nie martwi mnie, ba, bardzo cieszy wychowanie na łonie przyrody – obóz, biwak, rajd, wycieczka, wędrownia, gdzie nasi wychowankowie

zaprzyjaźniają się z lasem, hasają na łące, uczą się rozpoznawać rośliny, które można spożywać i z tych roślin przygotowują sobie posiłek. Albo chociaż zbiórka w parku, pobliskim lasku, nad rzeką czy jeziorem... Tymczasem w wielu środowiskach, choćby w moim macierzystym hufcu, ciągle wiele zbiórek odbywa się w pomieszczeniach, a jeżeli harcerze wychodzą z budynku, to po to, aby wziąć udział w grze zorganizowanej po okolicznych ulicach. I jakież trud mają przyszli drużynowi, by, tworząc swój program próby przewodnikowskiej, wpisać do niej zajęcia, gry, ćwiczenia w lesie, a nie na boisku szkolnym. – To ja przecież taką grę organizuję na obozie. – mówią. A przecież nie o to chodzi. Chodzi o codzienny kontakt harcerza, szczególnie tego mieszkającego w mieście, z przyrodą. Dlatego zwrócenie uwagi na życie blisko natury, współżycie z przyrodą absolutnie mnie nie martwi, wprost przeciwnie, ogromnie mnie cieszy. Bardzo bliska jest mi koncepcja Jana Rossmanna, który w szaroszeręgowej szkole za lasem przedstawił rękę metody. Cały system wychowawczy spajało tam ramię, będące symbolem świeżego powietrza – życia polowego.

Ale wyobraźcie sobie, że drużynowi mieliby w nasz system wychowawczy, nasze zapisy statutowe wpleść piękną skądinąd ideę Czterokrotnej Drogi, oświetlanej przez lampy. Drogę Ciała, jak pisze Julie A. Seton, wnuczka założyciela woodcraftu, oświetla Lampa Piękna, Drogę Umysłu – Lampa Prawdy, Drogę Duchową – Lampa Mądrości, a Drogę Służby – Lampa Miłości. Te „drogi” lub ścieżki umożliwiają uwewnętrznianie uczenia się, dzięki czemu staje się ono wiedzą, a wraz z wiekiem wiedza staje się mądrością. Jest to proste, ale jeżeli kontynuujemy wychowanie i rozwój tymi właśnie drogami, a nie doskonalimy siebie i swych wychowanków w harcerstwie.

Robert Bokacki w swym artykule opublikowanym w pierwszej części naszego miesięcznika pisze o regule czterokrotnego ognia. (Nie przejmujemy się różnicami w zapisach, pewnie wynikają one z innych tłumaczeń koncepcji Setona). Tym razem jest mowa o wielkim centralnym ogniu, który jest symbolem Wielkiego Ducha. Przez Ciało, Myśl, Ducha i Służbę wychodzą cztery Światła – owe lampy: Piękna, Prawdy, Siły i Miłości. Z każdego Światła biją trzy płomienie, symbolizujące Dwanaście Praw Puszczaństwa. Nie, nie będę dalej streszczał tekstu Roberta. Każdy może ten artykuł przeczytać. Zwróć jednak uwagę, że Prawa Puszczaństwa w kilku punktach bardzo są bliskie naszemu Prawu Harcerskiemu.

Całym sercem jestem za zbiorcami w przyrodzie. Tu z programu Setona czerpać trzeba pełnymi garściami. Ale nie, nie mieszajmy symbolik, nie mieszajmy zapisów. Nie powinniśmy, mając tak bogatą obrzędowość, harcerskie zwyczaje, harcerskie zasady, dodawać do naszej metody i metodyki kolejnych kwiatków do kożucha. Są one ciekawe, ale wcale nie pomogą nam w codziennej pracy. Harcerstwo i skauting powinny pozostać harcerstwem i skautingiem, a woodcraft niech będzie ciekawym ruchem, rozwijającym się z korzyścią dla swych członków.

PS: Ten felieton jest setny w cyklu „Pół wieku”, który niepostrzeżenie dla wielu przeszedł w cykl „Nowe pół wieku” bez zmieniania numeracji. Ta setka felietonów to ponad 9 lat systematycznego publikowania tekstów w „Czuwaj”. Fakt, pisać zacząłem bardzo późno, miałem chyba 35 lat – najpierw do wkładki starszoharcerskiej w „Motywach”, później do mojej „Drużyny – Na Tropie”, a następnie do redagowanego przeze mnie „Czuwaj”. Tam mogłem się wykazać nie tylko jako szef, ale jako autor skromnych felietoników zatytułowanych „Wężykiem”. Felietoniki były krótkie, ale pokazywałem w nich absurdy, głupoty, błędy naszej organizacji i naszych instruktorów. Zdarzało się, że z tego powodu nie wszyscy instruktorzy chcieli ze mną o harcerstwie rozmawiać, bo a nuż ich przypadkiem opiszę. Takie życie. Ale wiercie mi, ciągle ktoś sobie te „Wężyki” przypomina i mówi mi – może byś znów do nich wrócił? Chyba jednak nie, bardzo złagodniałem, już młotem pneumatycznym harcerstwa naprawiać nie będę, bo przy okazji mógłbym coś wartościowego zburzyć. Nic nowego, za miesiąc przeczytacie mój felieton z numerem 101.

CZUWAJ 10/2023

Będziemy nadal nowocześni...

Latem dość uroczyście obchodziliśmy dwie okrągłe 50 rocznice. Pierwsza związana z Harcerskim Festiwałem Kultury Młodzieży Szkolnej – przed pięćdziesięcioma laty zorganizowaliśmy po raz pierwszy tę wielką imprezę. Druga to Operacja 1001-Frombork – 50 lat temu ją zakończyliśmy. Przy okazji uroczystości we Fromborku jakoś nikt nie wspomniał, że istniały w przeszłości próby powrotu harcerzy do miasta Mikołaja Kopernika. Ba, stacja górników po zakończeniu operacji funkcjonowała jeszcze dobrych kilkanaście lat. A było to przecież miejsce obozów harcerskiego ruchu naukowego i krótkiej historii Operacji Frombork-2001.

Przy okazji przeglądania starych materiałów harcerskich wpadły mi w ręce numery „Na tropie Fromborka” z lata 1988 r. Ciekawe było tamto harcerskie lato. Sama końcówka minionego ustroju. Jeszcze nie wiedzieliśmy, jakie zmiany czekają nas w Polsce rok później. W okolicach Grunwaldu, a w połowie lipca na polach bitwy wielki zlot ZHP – odwiedza nas wtedy sam generał Jaruzelski. A we Fromborku – no tak, dwa turnusy Operacji Frombork-2001. Pierwsze obozy pod tą nazwą odbyły się rok wcześniej. Ta nowa Operacja Frombork miała być nie tylko nostalgicznym powrotem harcerzy do miasta Kopernika, ale miała wzmocnić harcerski ruch naukowy. W wielu środowiskach pracowały zastępy, czasem nawet drużyny starszoharcerskie, które były pasjonatami jakiejś dziedziny wiedzy, wiedzy rozumianej bardzo szeroko. Dlatego obok środowisk pracujących wprost na rzecz Fromborka zaproszono na obozy harcerzy z całej Polski – harcerskich astronomów, dziennikarzy, historyków, fotografów czy komputerowców – koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku to początek ery komputerowej, niewiele osób rozumiało, czym może się w niedalekiej przyszłości stać najpierw wielki, a później mały przedmiot, jakim jest komputer, a z nim porozumiewanie się w sieci.

W drugim turnusie nowej Operacji byłem komendantem obozu dziennikarskiego i redagowałem „Na tropie Fromborka”. Warunki były spartańskie. Nasz ponad 20-osobowy obóz dziennikarski był zakwatero-

wany pod namiotami w bazie nieco oddalonej od Fromborka. Zdobywaliśmy czasem z trudem materiały, przepisywaliśmy teksty na normalnych maszynach do pisania, przycinaliśmy, kleiliśmy i gotowe papierowe kartki zawoziliśmy do panów żołnierzy posiadających dziwną maszynę do powielania naszego pisma. Kłopotów było wiele, bo przecież i młodzi dziennikarze nie zawsze pisali dobrze, i nie wszyscy potrafili posługiwać się maszyną do pisania, i mieliśmy dodatkowe problemy, gdy nie było prądu, a trzeba było raniutko zawieźć numer do powielenia... Ale to jakby inna historia.

Z tekstów zamieszczonych w pięciu wydanych przez nas numerach jawi się nam obraz organizacji zupełnie innej niż ta, która pokazała się pod Grunwaldem. Trochę smutny, trochę śmieszny. Nasz obóz był normalny, złożony z grupy młodych entuzjastów z całej Polski – przyjechali oni z dwunastu miast i miasteczek. Niektórzy byli już autorami, którzy opublikowali swe pierwsze materiały w warszawskim miesięczniku „Drużyna – Na Tropie”. Naprawdę byliśmy sympatyczną i lubiącą się ekipą.

Jednak z chętnymi do uczestniczenia w obozach naukowych był jakiś problem. Przypominam – zgłaszali się ochotnicy z całej Polski. W obozie fotograficznym na początku turnusu było dwóch uczestników, potem doszło jeszcze dwóch z obozu astronomicznego. W astronomicznym kilkunastu, za to w archeologiczno-historycznym – pięcioro, w tym dwoje harcerzy i troje „cywilów”. Oczywiście dopisali górnicy. Ale oni przebywali na młodzieżowym obozie harcerskim. Zakwaterowani we własnoręcznie przed laty wybudowanych domkach. I ich program nie miał charakteru specjalnościowego. Dlaczego tak się działo? Wydaje się, że formuła ruchu naukowego w naszej organizacji się wyczerpywała.

Za to jeden obóz miał zbyt wielu uczestników, harcerze zgłaszali się na niego z ogromnym entuzjazmem – był to obóz komputerowy, który liczył około 50 osób. Zainteresowanie tymi nowymi w tamtych czasach wynalazkami było ogromne. Tak, to był rok 1988. 35 lat temu – inny świat. I my, członkowie organizacji, tymi nowymi czasami byliśmy zafascynowani.

Ruch naukowy w tamtej epoce zamierał. Nie zamierały za to harcerskie specjalności, o których tak wiele materiałów opublikowano w tym numerze naszego pisma.

A umiejętność posługiwania się komputerami? Umiejętność korzystania z rozwijającej się współczesnej techniki? Może podam przykłady związane z wydawaniem pism harcerskich na naszych imprezach. W cza-

sie Zlotu ZHP w Zegrzu w roku 1995, a więc 7 lat później, z bardzo interesującą grupą harcerskich dziennikarzy wydawaliśmy dziennik „Czuwaj”. W redakcji nie było już maszyn do pisania, były komputery. Łamaliśmy pismo w jakimś prostym programie, drukowaliśmy strony na specjalnych kalkach i z Zegrza do Warszawy wieźliśmy te kalki wieczorem do drukarni, gdzie odpowiednio je opracowywano – i codziennie rano mieliśmy nowy numer gazety.

Nie musiało upłynąć wiele lat, a cały numer przesyłaliśmy do drukarni drogą internetową. Tak było na zlocie 100-lecia harcerstwa w Krakowie, gdzie miałem możliwość redagowania zlotowej gazety – „Skauta krakowskiego”. O 23.00 wysyłaliśmy materiały przez internet do drukarni i rano mieliśmy gotowy numer na zlocie.

Ta pięćdziesiątka harcerzy we Fromborku wiedziała, co robi. Wiedzieli oni, dlaczego nie uczestniczyli w obozie historycznym czy fotograficznym – przed nami w roku 1988 jawiła się nowoczesność, która dziś jest naszą codziennością. Czy za rok lub dwa będzie nas fascynować jakaś nowa specjalność czy zainteresowanie naukowe? Nie wiem...

CZUWAJ 11/2023

Młodszy i starsi...

albo czy rzecz

w harcerskich pokoleniach

W tym numerze „Czuwaj” przeczytać możemy to i owo o pokoleniach, tych urodzonych po drugiej wojnie światowej. Przypomniano ich nazwy, krótko scharakteryzowano. Bo mamy ponoć w organizacji problem – nie bardzo wiemy, jak z instruktorami reprezentującymi kolejne pokolenia pracować. A jedno pokolenie jest bardziej wyuczone, a drugie oszczędne, tamto biegle w posługiwaniu się wszelkimi metodami, dostępnymi w internecie, a inne zdobywało te umiejętności już jako osoby dorosłe i czasem tego internetu nie czuje. Przedstawiciele jednego pokolenia całe dorosłe życie nie zmieniali zawodu, inni ciągle się uczą czegoś nowego – są bardzo mobilni.

Nie da się ukryć – należę do tych najstarszych boomersów, czyli wyzowców, takich oficjalnie prawie wykluczonych ze świata nowoczesnej techniki, dla którego telewizor to nadal nowinka techniczna. Jestem osobnikiem, na którego obóz w 1965 r. czarną wołgą zajechał naczelnik Kincki, instruktorem, któremu Krzyż „Za Zasługi dla ZHP” wręczał naczelnik Bohdanowicz i który redagował teksty przewodniczącego Mirowskiego. Czyli taki facet, który wie, czego to symbolem była owa wołga – wcale nie dotyczyło to prestiżu ówczesnych władz. I także wie, dlaczego pisze o krzyżu zasługi, a nie o srebrnym lub złotym. No i pamięta, że nasz druh Przewodniczący miał znakomite pióro. Jego felietony prawie nie wymagały poprawiania. Tak, to moja wiedza i czasami się nią dzielę, także na tych łamach. Ileż felietonów ma w podtekście przesłanie: a za moich czasów...

Cóż jednak wynika z tego, że to i owo pamiętam? Co z faktu, że niedługo napisałem, że nigdy nie zostanę seniorem? No tak, mieszczę się w jednej z grup instruktorskich, scharakteryzowanych króciutko w naszej gazecie. Ale czy dyskutujemy o harcerskich pokoleniach po to, abym dowiedział się, do jakiej szufladki zostałem zakwalifikowany? Chyba nie. Dlatego, patrząc

na owe pokolenia, chcę zauważyć dwie kwestie, o których powinniśmy rozmawiać.

Po pierwsze: mam kluczowe – wydaje się – pytanie. Kto z kim, które pokolenie z którym ma kłopot ze współpracą? Czy należy napisać poradniczek, jak boomersi mają postępować z zetkami? A iksy jaki mają mieć stosunek do igreków? A może jak zetki mają traktować każdego boomersa? Nie, takie pytania są nieporozumieniem. Gdzieś w rozmowach, a nawet na piśmie pada zdanie, że przecież każdy przedstawiciel najstarszego pokolenia – o nim jest mi najłatwiej pisać – jest inny, ma inny charakter, inaczej patrzy na przeszłość organizacji, inny ma kontakt z rówieśnikami i z osobami młodszymi. Ma także inną kondycję fizyczną, nie wspominając już o psychicznej. I może, albo chce, określony czas poświęcić na pracę w harcerstwie. Dlatego każdy z nas – świadomie to piszę – boomersów, jak i iksów czy igreków, musi być traktowany indywidualnie. Nie przez pryzmat wieku, lecz wiedzy, umiejętności, chęci pracy, możliwości fizycznych, empatii do innych i czasu, jaki może poświęcić organizacji.

Przypomina mi się druhna Babcia – Halina Wiśniewska, polecam jej gawędy, która w wieku chyba 70 lat została wybrana w nieco kryzysowej sytuacji na komendantkę warszawskiego Hufca Mokotów, by po pewnym czasie oddać go w ręce młodych. Można w tym wieku zrobić dobrą robotę? Można! Ja spokojnie pracuję w hufcowej komisji stopni instruktorskich – oczywiście są tacy, którzy uważają, że jestem zbyt wymagający, jestem członkiem naszego sądu, który na szczęście nie ma zbyt wiele pracy, mam w hufcu jakieś inne zadania. Nie, nie będę wymieniał funkcji w chorągwi czy harcerskiej centrali. Po prostu można.

A po drugie: wszystko zależy od umiejętności porozumiewania się między instruktorami, niezależnie od tego, do jakiego zaliczymy go pokolenia. I jest to niesłychanie trudne – znaleźć wspólny język, jakąś płaszczyznę rozmowy. Nie mogę na tych łamach dawać konkretnych przykładów, tylko jeden, bo osobisty. Zdarzyło mi się zrezygnować z pełnienia funkcji w Głównej Kwaterze, gdyż z moim bezpośrednim zwierzchnikiem mówiliśmy po polsku, ale zupełnie różnymi językami. Gdy odszedł z funkcji, ja na swoją powróciłem. To nie był problem pokoleniowy, lecz inne spojrzenie na zadania organizacji.

Bo na co dzień nie wydaje mi się, abym musiał analizować, czy ktoś jest iksem czy igrekiem, aby z tą osobą pełnić codzienną służbę. Oczywiście bardzo bym chciał, aby taka sytuacja była powszechna. Na szczęście nie

ja jeden ze znanych mi instruktorów jest w podobnej sytuacji. Bo najważniejsza jest kultura wszystkich nas. Od najstarszych do najmłodszych i od najmłodszych do najstarszych. A że czasem z kimś współpracować się nie da – cóż, tak w życiu bywa, nie tylko w harcerstwie. Przynależność do danego pokolenia nie ma z tym nic wspólnego.

PS: Na marginesie. Święta, czas prezentów, przeprowadzanej także w harcerstwie pięknej akcji Szlachetna Paczka. Sam we wspieraniu naszej hufcowej paczki uczestniczyłem. Mamy wśród nas instruktorów i byłych instruktorów, którzy są ubodzy. Czy organizacja, nie konkretny krąg seniora, ale właśnie Związek jako taki pamięta o tych osobach, którym nie tylko od święta powinniśmy pomagać? Fakt, nie jesteśmy organizacją charytatywną, ale jednostkowa pamięć, właśnie w kręgach seniorów, to mało. W wielu hufcach takich kręgów nie ma, a nasi byli instruktorzy są. Czy pomaganie tym byłym instruktorom nie powinno być elementem służby naszych najstarszych zetek?

CZUWAJ 12/2023

Dzień myśli

Dla niektórych bardzo dawno temu, dla mnie wcale nie tak dawno, gdzieś na początku lat osiemdziesiątych minionego wieku w naszym szczepie otworzyliśmy się na kontakty z kilkoma środowiskami skautowymi. Z Norwegii, Irlandii Północnej, Luksemburga... Były to czasy, kiedy nikt nie sądził, że będziemy mieli szanse formalnie wrócić do światowego ruchu skautowego, ale nasza szczepowa współpraca rozwijała się...

Wtedy to, dziś wiem, że bardzo późno, dotarła do nas wieść o dorocznym – skautowym i harcerskim – Dniu Myśli Braterskiej. W tamtych czasach władze naszego związku też zauważyły, że można współpracować nie tylko z organizacjami pionierskimi na świecie, ale warto aktywniej korzystać z dorobku skautingu. Chcieliśmy przecież po okresie błędów i wypaczeń (ten nasz nieszczęsny HSPS) wrócić do ideałów prawdziwego harcerstwa. Nie da się ukryć, że wtedy, w roku 1981 i latach następnych, nasz szczep wyprzedzał inicjatywy całej organizacji. Nie, nie byliśmy w harcerstwie jedyni, ale w Warszawie, i to zupełnie oficjalnie, na pewno tak.

W harcerstwie DMB zaczynał być coraz bardziej popularny. Zbieraliśmy się na okolicznościowych zbiórkach, wysyłaliśmy życzenia do harcerskich i skautowych przyjaciół. Oficjalnie. Gdy naczelnikiem został hm. Ryszard Paćławski, a więc już w nowej politycznej rzeczywistości, przypomniał sobie, że to przecież święto skautek i harcerek, a jego głównym celem było nie tylko wspomnianie założycieli skautingu i składanie sobie życzeń, ale przede wszystkim zbieranie czy też zarabianie pensów-groszków i przekazywanie ich na wspólny ogólnoswiatowy fundusz WAGGGS.

Tak na marginesie, ponieważ nasz szczep, czyli 3 WDH im. x Józefa Poniatowskiego, jedno z najstarszych środowisk harcerskich Rzeczypospolitej, przyjaźnił się z wieloma instruktorami w kilku krajach europejskich, okazało się, że dla nich życzenia-pocztówki nie były częścią ich zwyczajów. Ale może trafiliśmy na drużyny mniej tradycyjne.

A co u nas z akcją zbierania środków na rzecz funduszu WAGGGS? W ZHP zaczęto zbierać środki, ale nie zdecydowano się jednak, by wspierać ruch skautek w Pakistanie czy Ugandzie. Myśmy postanowili zebrane środki przekazywać Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Od lat

mieliśmy jako organizacja nad owym centrum patronat. Wydawało się, że można zastąpić idee WAGGGS naszymi polskimi. Zmieniono więc cel przekazywania pieniędzy, ale próbowano je zbierać. Akcja „Grosik” trwała jednak krótko, dwa czy trzy lata, i stopniowo w Polsce po latach DMB daleko odszedł od idei założycieli skautingu i harcerstwa, od koncepcji lady Olave czy Olgi Małkowskiej.

Nie będę opisywał minionych trzydziestu lat. Popatrzmy, jaką sytuację mamy dziś. DMB to dzień, w którym z jednej strony spotykamy się na przyjacielskich spotkaniach i cieszymy się z faktu, że jesteśmy razem w wielkim ruchu skautowym. Z drugiej strony promujemy propozycje programowe WAGGGS. Takie dotyczące globalnych problemów świata. Oczywiście przekazujemy sobie życzenia, przede wszystkim elektronicznie. Sobie i innym środowiskom. Tak się dzieje w drużynach, szczepach, hufcach. Pośpiewamy sobie, pogratulujemy, ucieszymy się, że jesteśmy tak wspaniali. Drużynowy, komendant hufca a może jakiś senior wygłosi gawędę, w której znajdzie się nawiązanie do rocznicy urodzin B-P i jego żony. Wręczymy też list gratulacyjny naczelniczki, a może któryś z instruktorów otrzyma jakieś inne wyróżnienie.

Centralnym, najważniejszym wydarzeniem DMB stało się spotkanie przedstawicieli organizacji harcerskich i polskich organizacji skautowych u Protektora polskiego harcerstwa Prezydenta RP. Są życzenia, piosenki, ognisko przed pałacem prezydenckim. Miło i radośnie. Czy jednak harcerskie obchody Dnia Myśli mają jakikolwiek związek ze świętem, zapoczątkowanym przed II wojną światową?

Bo podstawowym, najważniejszym był przecież ów grosik. Czy będąc ponownie formalnie już tak długo w ruchu skautowym, nie powinniśmy wrócić do źródeł i powiedzieć sobie – nie spotkania w harcerskim czy instruktorskim kręgu powinny przede wszystkim mieć miejsce 22 lutego, lecz podjęcie się autentycznej służby – i to nie na rzecz drużyny czy hufca, ale na rzecz upowszechniania równości płci na świecie i rozwoju żeńskiego ruchu skautowego. Na szczęście już zaczynamy bardzo skromnie przypominać sobie o grosiku. O tym, jakie wielkie środki moglibyśmy zebrać, gdyby każda skautka, a dziś skaut, harcerka i harcerz przekazali ten jeden grosz, teraz byśmy pewnie powiedzieli – złotówkę – na fundusz skautek. Skromny apel w tej sprawie możemy przeczytać w tym numerze „Czuwaj”.

A co z uwielbianymi przez nas kominkami, ogniskami. Co z gawędami i piosenkami? Co z wyróżnieniami? Czy nie ma innych okazji, byśmy

mogli się spotykać i świętować? Od lat skauci obchodzą dzień swojego patrona, jakim jest święty Jerzy – 24 kwietnia. Chyba o tym dniu zapomnieliśmy. Czy powszechnie pamiętamy o pierwszym rozkazie Andrzeja Małkowskiego 22 maja? A 1–2 listopada mamy rocznicę powołania ZHP w 1916 r. i rocznicę zjazdu lubelskiego w 1918. Czy nie mogłyby się któregoś z tych dni odbywać wszelkie ogólnopolskie uroczystości i radosne zbiórki?

22 lutego pieczmy, jak skautki w wielu krajach, ciasteczka i sprzedawajmy je, organizujmy inne kiermasze, aby zebrać środki na Fundusz Dnia Myśli – World Thinking Day Fund. I myślimy o globalnych problemach świata. Bo warto.

CZUWAJ 1/2024

Opracowujemy i upowszechniamy

Kilka lat temu pisałem o moich harcmistrzach – o tych instruktorach, którymi opiekowałem się w czasie, gdy zdobywali ten najwyższy w naszej organizacji stopień. Czas płynie, kandydaci już się do mnie znacznie rzadziej zgłaszają. Ale ciągle jestem na bieżąco z naszą chorągwaną komisją stopni instruktorskich, w najbliższym czasie staniemy z moją podopieczną przed tym zacnym gronem. Chcemy zamknąć jej próbę harcmistrzowską.

Zdobywanie przez Karolinę stopnia trwało długo, za długo. Dlaczego? Ponieważ jedno zadanie z próby okazało się nie tyle trudne, co raczej bardzo kłopotliwe do zrealizowania. To zadanie związane z wymaganiem dotyczącym opracowania i upowszechnienia materiałów programowo-metodycznych jako wkładu w dorobek Związku. Najpierw był pomysł na zuchową konferencję, później przyszła pandemia i generalne zniechęcenie mojej podopiecznej do podjęcia realizacji takiej formy. Następnie pojawił się pomysł na gry planszowe pomocne w kształceniu drużynowych. Jakieś gry nawet powstały, ale uzyskały negatywną ocenę recenzentów Centralnego Banku Pomysłów. Karolina, druhna magister po warszawskiej psychologii, z tą oceną się nie zgodziła. W międzyczasie napisała materiał opublikowany w internetowym wydaniu „Zuchowych Wieści” – taki poradniczek, co to znaczy być dobrą namiestniczką zuchową. I stanęliśmy przed dylematem: co jeszcze, czy ów artykuł to wystarczające harcmistrzowskie wyzwanie? Jak wykorzystać doświadczenia Karoliny, jej wiedzę. Może upowszechnić część jej badań naukowych?

Zastanawiałem się, jak to wymaganie przełożone zostało na konkretne zadania u innych harcmistrzów. Wysłałem kilkadziesiąt listów do druhen i druhow, którzy zamknęli swe próby w roku 2023. Nie do wszystkich. Poprosiłem o napisanie, co to było za zadanie i jak zostało upowszechnione. Otrzymałem ponad 20 wypowiedzi. Bardzo ciekawych.

Nie, nie będę ich oceniał, nie będę pisał, wykorzystując swój autorytet i wieloletnie doświadczenie, które zadanie jest dobre, a które nie. Bo przecież każdy z nas jest inny. Ma inny zawód, inne obowiązki domowe,

ma więcej lub mniej czasu na realizację zadania, pełni w naszej organizacji funkcję na innym szczeblu. Różnie pracują chorągwiane komisje stopni. Warto również patrzeć na całą próbę. Jedno zadanie może wyglądać na słabsze, ale inne zadania jakby tę słabość rekompensują. Może się też okazać, że prościusienkie zadanie dla danego instruktora było prawdziwym wyzwaniem, a to, które wydaje nam się na pozór trudne i skomplikowane, było dla zdobywającego stopień łatwe, bo wynikało z jakiegoś projektu, który i tak byłby przez niego zrealizowany, niezależnie od zdobywania stopnia.

Jedno mnie cieszy. Nie ma wśród nadesłanych tematów zadań ani jednego, które przypominałoby pracę licencjacką czy magisterską. Słyszałem, że w przeszłości takie się zdarzały. Nie ma więc wypracowań i teoretycznych opracowań, które nikomu nie służą, takich materiałów, które wyłącznie nadawałyby się do wsadzenia do chorągwianej szuflady. Zadania są, i niech to będzie pochwała dla wszystkich, którzy zechcieli ze mną korrespondować, w większości praktyczne.

Zamieszczam część otrzymanych wypowiedzi, bo przy okazji mogą być one źródłem cennych inspiracji dla podharcmistrzyń i podharcmistrów planujących zdobywanie stopnia harcmistrzyni/harcmistra.

- *W ramach próby opracowałem propozycję programową „Pokój – tylko kilka kroków stąd” (zadanie przedzlotowe na Intercamp 2023).*
- *Przygotowałam grę planszową „Zuchopoly 2.0”, która może być wykorzystana zarówno na zbiórce gromady zuchowej, będąc motywatorem do zdobywania gwiazdek, tropów i sprawności, ale także na kursach czy warsztatach dla kadry gromad zuchowych w celu przybliżenia SIM.*
- *Realizowałam w hufcu projekt dla drużyn harcerskich związany z pracą zastępu zastępowych.*
- *W ramach próby opracowywałem propozycję programową „Jurajskie harce”, które przygotowywałem we współpracy z JuraParkiem w Krasiejowie.*
- *Koordynowałam wydanie propozycji programowej „Falszywe informacje? Czuwaj!” w ramach działania w Programowym Ruchu Odkrywców.*
- *Mój materiał dotyczył organizacji zawodów na orientację – stworzyłam poradnik dla instruktorów „Jak zorganizować zawody na orientację”.*
- *Opracowałem sprawność „Technik obozowy” o 4 stopniach trudności, razem z grafiką.*
- *Zadaniem było badanie o kadrze 35+ zrealizowane w Harcerskim Instytucie Badawczym. Dodatkowo w ramach próby upubliczniłem też moje wcześniejsze teksty dotyczące harcerstwa.*

- W ramach swojej próby harcmistrzowskiej przygotowałam informator dla kierowników HAL, w którym zostały zawarte praktyczne porady dotyczące organizacji obozu z poradami na temat programu obozu oraz pracy z kadrą obozową.
- Opracowałam materiał dotyczący roli wsparcia psychologicznego w ZHP, stanowiący wstęp do innych opracowań w tej materii (tworzonych przez mnie oraz innych ekspertów).
- Był to poradnik na temat przeprowadzenia naboru w gromadzie/drużynie.
- Przygotowałam grę planszową „Korale Olgi” na kanwie życia Olgi Małkowskiej. Gra składa się z technik harcerskich i różnych ciekawostek dotyczących Polski i świata.
- Napisałam poradnik „Jak stworzyć zespół programowy i z nim pracować?”.
- Wraz z K. przygotowałam grę kształceniową „cel zero”. Gra ma na celu w przyjazny sposób przybliżyć harcerzom z całego Związku tematykę celów zrównoważonego rozwoju ONZ – jest to plan działania na rzecz przemian i przeobrażeń świata, w którym potrzeby obecnego pokolenia mogą być zaspokojone w sposób zrównoważony, z szacunkiem dla środowiska oraz z uwzględnieniem potrzeb przyszłych pokoleń.
- Opracowałam zarysy biograficzne instruktorów, którzy tworzyli harcerstwo na terenie gminy i powiatu od lat 40. do 90.
- Pisałam rozdziały do poradnika obozowego, który opracowywany był przez grupę instruktorską zaangażowaną w Wędrowniczą Watrę.
- W ramach mojej próby rozwijałam aplikację HarcApp, a w niej wprowadziłem nowy SIM (sprawności i tropy), dodałem gawędy, formy pracy na zbiórkach, rozpocząłem tworzenie bazy konspektów, stworzyłem mechanizm popularyzacji dodawania do aplikacji piosenek i dodałem apele ewangeliczne do pracy duchowej.
- Mój materiał dotyczył modeli pracy z zastępowymi na kursach przewodnikowskich i drużynowych. Adresatem są przede wszystkim osoby kształcące na poziomie hufca.
- Opracowałam na potrzeby poradnictwa ZHP wskazówki związane z sytuacjami, które się zdarzają lub mogą wydarzyć – okiem prawnika i instruktorki ZHP.
- W ramach mojej próby nagrałam audiobook „Gawędy drużyny Babci” Haliny Wiśniewskiej.

Tyle przykładowych prób. Ciekawe, prawda? Gdy jednak czytam przyśłane do mnie maile, jedno mnie trochę niepokoi. Upowszechnianie. W kilku przypadkach udało się zdobywającym stopień zamieścić swój

materiał w Centralnym Banku Pomysłów. Chwała autorom za to, bo w naszym banku są ponoć jakieś techniczne przeszkody i kłopoty z zawieszaniem materiałów. Jednak niektóre zadania były upowszechnione słabo. W hufcu, w chorągwi, wśród członków komisji historycznej lub komisji stopni, albo przekazane osobom zajmującym się programem. I zastanawiam się, co z tym zrobić. Wymyślić jakieś miejsce na naszym sharepoincie, gdzie będą obowiązkowo zamieszczane wszystkie efekty pracy naszych podharcistrzów/harcistrzów. Może pod tytułem „Harcistrzowie 2023”, a za rok „Harcistrzowie 2024” itd.? Oczywiście łącznie z audiobookiem. A może darować sobie jakieś przepisy, reguły, zasady i powiedzieć sobie – przecież nie upowszechnianie jest najważniejsze. Najistotniejsze jest, że kandydat na harcistrza się rozwinął, coś osiągnął, wykonał pracę, która jest potrzebna czasem na szczeblu centralnym, a czasem tylko w hufcu. Najistotniejsze jest, że ten instruktor zdobył nową wiedzę, nowe umiejętności, coś miał innym do powiedzenia.

A tak na marginesie – dlaczego twórcy naszego regulaminu ograniczyli owo wymaganie wyłącznie do działań programowo-metodycznych. Czy wymieniona powyżej praca polegająca na napisaniu biogramów taką jest? A czy zbieranie harcerskich plaketek i organizowanie wystaw, znakomitych wystaw, ma coś wspólnego z programem lub metodyką? To było zadanie jednego z moich podopiecznych. A prace naukowe, które wpisała do swojej próby Karolina? Jest to jednak inny temat, wykraczający poza ramy i tak obszernego felietonu. Pozostawiam ten wątek do rozważań druhom i druhom, którzy będą modyfikować regulamin stopni instruktorskich.

Na razie podaję link do prac naukowych mojej podopiecznej. Takiego uzupełnienia przez nią upowszechniania tego, co robi dodatkowo na rzecz dzieci. Czy ktoś z nas będzie tymi materiałami zainteresowany, zobaczmy: <https://www.researchgate.net/profile/Karolina-Kubicka-2/research>.

CZUWAJ 2/2024

Harcerz jest czysty...

No tak... *harcerz jest czysty*. Prawo Harcerskie w 10 punkcie zobowiązuje go do czystości w myśli, mowie i uczynkach. Trudne. Nie tylko w praktyce życia codziennego, ale najpierw w interpretacji. Jak rozmawiać z 12-latką na temat owej czystości, które to słowo użyte jest przecież metaforycznie. Łatwiej rozmawiać o myśli, mowie i uczynkach – ta triada pojawia się w kościele w trakcie spowiedzi powszechnej. Nie ma w naszym harcerskim prawie tylko czwartego elementu – zaniedbania. Wierni proszą w kościele o darowanie im grzechów lekkich, tych, z których nie muszą się później spowiadać.

Ale jak mówić o czystości, jeżeli to słowo jest użyte w przenośni, jeżeli czystość w uczynkach to nie jest codzienne mycie zębów i czyste stopy na obozie, gdy kładziemy się spać. Pewien druh harcmistrz przekonywał mnie, że o Prawie Harcerskim nie należy gawędzić przy ognisku lub rozmawiać na zbiórkach. Dopiero gdy harcerz narozrabia, gdy naszego harcerskiego prawa nie będzie przestrzegał, trzeba indywidualnie z nim pracować, pokazać jego błędy. Cóż, każdy może promować swoją drogę w dążeniu do doskonałości, ale ja chciałbym, aby każdy harcerz nasze prawo znał i rozumiał.

Druh Stefan Mirowski napisał tak: *Harcerz jest czysty w myśli, mowie i uczynkach, najpierw myśli, potem mówi, dba o czystość i piękno języka. Sprawy płci traktuje poważnie i odpowiedzialnie*. Druh Stefan pokazuje w skrócie trzy problemy – rozsądne, przemyślane wyrażanie swych poglądów, dbanie o język ojczysty i tak jakby z innej sfery – właściwe, poważne traktowanie spraw płci. Wielkie tu materii pomieszanie i wydaje mi się, że pojęcie czystości gdzieś się nieco zagubiło.

Sięgnijmy więc do słownika, z którego może skorzystać każdy drużynowy. Cóż tam czytamy: Czystość (łac. „castitas”, od „castigare” – powściągać, opanowywać siłą) – cnota i postawa moralna, dzięki której człowiek jest w stanie kontrolować pragnienia seksualne i mądrze nimi kierować. No właśnie – czystość w słowniku ogranicza się do mądrego kierowania swoimi zachowaniami seksualnymi. Ten fragment interpretuje podobnie druh Stefan, mówiąc o poważnym traktowaniu spraw płci.

Jak jednak pracuje z Prawem Harcerskim nasza kadra. Jak jest ten temat podejmowany w rozmowach z naszymi harcerzami. Poprosiłem grupę znajomych instruktorów, aby mi w kilku zdaniach napisali, jak oni prezentują swym wychowankom tę część dziesiątego punktu Prawa. Niektórzy z nich nie odpowiedzieli. Nie będę dochodził, dlaczego. No trudno. Ale oto co mogłem przeczytać w kilku mailach:

Ja w trakcie rozmowy z harcerzami dążę do uświadomienia im, że w tym punkcie prawa przypominamy sobie, że harcerz dąży do doskonałości. Będąc „czystym” w tych trzech aspektach dążymy do ideału funkcjonowania, a każdy z nich pokazuje kierunek rozwoju, nad jakim powinniśmy się zastanawiać podczas swojego życia harcerskiego. Ważne jest, żeby zebrać w trakcie rozmów te wszystkie zachowania w dążeniu do bycia człowiekiem idealnym. E.

Harcerz czysty w myśli, mowie i uczynkach to taki, który nie ma nic na sumieniu. Świadomie podejmuje decyzje według zasad wynikających z Prawa Harcerskiego, cywilnego czy religijnego i kieruje się moralnością, tak aby pozostać z czystym sumieniem. A jak go sumienie gryzie, to harcerz idzie naprawić swój błąd. A.

Czystość w myśli, mowie i uczynkach tłumaczę moim harcerzom jako zbiór wszystkich czynności, jakimi harcerz powinien się kierować, gdzie:

- czystość myśli – wskazuje na ciągle kształcenie się i bycie odpornym na krzywe kreowanie rzeczywistości przez media społecznościowe;*
- czystość mowy – wskazuje, aby nie tylko nie mówić słów obraźliwych czy po prostu nieprzyjemnych dla innych, ale aby mówić z sensem i być pewnym tego, o czym się mówi;*
- czystość uczynków – tutaj po prostu działanie pewnego siebie i odpowiedzialnego harcerza. M.*

Ze starszymi harcerzami/wędrownikami bardziej dyskutuję i wspólnie wypracowuję interpretację Prawa Harcerskiego. Niemniej staram się ich nakierowywać, że osoba czysta w mowie, myśli i uczynkach to ktoś, kto działa i żyje w zgodzie z wyznawanymi przez siebie wartościami. To, co robi, jest zgodne z tym, co myśli oraz mówi, poprzez swoją postawę może stanowić wzór godny do naśladowania. G.

To bardzo ciekawe – drużynowi nie podejmują ze swoimi harcerzami tematu czystości w tym słownikowym rozumieniu. Nawet nie rozwijają myśli druha Stefana, piszącego o poważnym traktowaniu spraw płci. Bardzo mi się jednak podoba sformułowanie jednego z drużynowych, który wprost twierdzi, że harcerz czysty to ten niemający nic na sumieniu. Może tak należy dziś tłumaczyć i interpretować punkt 10. A zachowania seksualne mogą sobie poczekać aż do chwili, gdy harcerz rzeczywiście coś na sumieniu będzie miał. Tylko pytanie, kiedy.

Dlatego na koniec nie napiszę niczego nowatorskiego. Najlepiej by było, gdyby tak przy jakiejś okazji zmienić, oczyścić – zauważcie, znów ta czystość – nasze prawo z archaizmów, napisać je jasnym, polskim językiem. Jakże łatwiejszą rolę mieliby drużynowi, a tak naprawdę wszyscy członkowie Związku z interpretacją wszystkich zapisów. Bo przecież nie tylko z czystością mamy kłopoty...

CZUWAJ 4/2024

Uwaga zespół!

W piękne piątkowe popołudnie 11 maja uczestniczyłem w miłej harcerskiej imprezie. Chorągiew Stołeczna po raz pierwszy w swojej historii postanowiła zorganizować wielką galę i w trakcie niej wyróżnić... nie, nie najlepszych, najwspanialszych instruktorów, drużynowych czy komendantów, lecz całe zespoły instruktorskie. Takie instruktorskie zastępy, które działają na rzecz organizacji, na rzecz naszych zuchów, harcererek i harcerzy. Było to dla mnie dodatkowo sympatyczne, gdyż wśród 11 zespołów nominowanych przez kapitułę ze zgłoszonych kilkudziesięciu znalazła się nasza hufcowa Komisja Stopni Instruktorskich, której jestem wiceprzewodniczącym. Mieliśmy więc dużą szansę dostać się do nagrodzonej siódemki, bo tyle zespołów wyróżniono, ale tym razem inni okazali się lepsi. W naszej kategorii zwyciężyła rada szczepu z Garwolina. Druhny reprezentujące ów szczep były szczęśliwe. Gdybyśmy my zwyciężyli, świetna skądinąd ekipa złożona z samych harcmistrzyń i harcmistrzów, takiego entuzjazmu byśmy nie potrafili wykazać, a ten entuzjazm, to szczęście malujące się na twarzach zwycięzców jest nie do opisania. Nie tylko szczęśliwe były nasze konkurentki, ale także pozostali laureaci. Miło było na nich patrzeć.

W trakcie gali tak komendantka chorągwi, jak i naczelniczka ZHP, zwracały uwagę na rolę pracy zespołowej w naszej organizacji. Bez pracy w zespole, bez małej współpracującej ze sobą grupy nie ma harcerstwa.

Siedziałem wraz z naszą komisją w ślicznej sali widowiskowej Ursynowskiego Centrum Kultury i przypomniła mi się historyczna, wydana w 1960 r. książeczka Jacka Kuronia *Uwaga zespół!* Jacek Kuroń, między innymi słynny minister pracy i polityki społecznej rozdający bezdomnym zupe, nie ma w harcerstwie dobrych notowań. Ci, którzy interesują się naszą przeszłością, także ci, którzy przeżyli swoją młodość w harcerstwie na przełomie lat 50. i 60., pamiętają mu niejedno. A to Hufiec Walterowski, który promował wychowanie metodami zaproponowanymi przez Antoniego Makarenkę i czcił generała, który się kulom nie kłaniał. A to fakt, że Kuroń nie przeżył swojej harcerskiej przygody w normalnej drużynie, a starał się zmienić cały ZHP zgodnie ze swoją koncepcją wychowawczą.

A to, że miał pomysł, by harcerze zdobywali stopnie, ale zastępy zespołowe miana – ich nazwy były takie same, jak nazwy stopni. Hufiec działał krótko, Kuroń odszedł z harcerstwa i z zagorzałego komunisty stał się realnego socjalizmu gorącym przeciwnikiem, a o jego mianach, wprowadzonych wszak do życia Związku, i o jego książeczce wszyscy zapomnieli.

Dlaczego o tekście zatytułowanym bardzo współcześnie, ale tekście historycznym wspominam przy okazji gali Chorągwi Stołecznej? Bo czasem zapominamy, jak bardzo ważny jest zespół, bo bez pracy zespołowej nic nam się nie uda. Przeglądam książeczkę i widzę, że – z jednej strony – w dużej części jest ona aktualna, choć oczywiście są w niej przykłady nieco archaiczne, ale – z drugiej – pewien kłopot w tym, że przede wszystkim kierowana jest ona do drużynowych. A więc ów zespół to drużyna, to rada drużyny i przede wszystkim zastęp. Nie jest to więc poradniczek, jak pracować z dorosłą grupą instruktorów. Ale gdy czytam ten tekst, bardzo chciałoby się zacytować fragmenty, mające charakter uniwersalny.

Chcemy wychować człowieka, który będzie umiał łączyć swoje własne sprawy ze społecznymi, który będzie się troszczył nie tylko o swój jutrzejszy obiad, ale o przyszłość swojego narodu. Jeśli więc dziś potrafi on myśleć tylko o sobie, to w naszej drużynie, w codziennej pracy harcerskiej musi się nauczyć myśleć o innych i pracować dla innych. Musimy mu pomóc w szukaniu własnej perspektywy życiowej w taki sposób, aby łączyła się ona z perspektywą całego społeczeństwa. Drogą prowadzącą do osiągnięcia tego celu jest właściwe stopniowanie zadań stawianych przed zespołem.

Wśród zespołów instruktorskich, jakie zobaczyliśmy na gali, wszystkie stawiają sobie odpowiedzialne zadania. I nieistotne, czy jest to kadra drużyny lub gromady, rada szczepu, komisja stopni instruktorskich, zespół promocji w hufcu, ekipa kwatermistrzowska hufca, czy... grupa prowadząca biuro hufca. Tym zespołom, tym zwycięskim zastępom instruktorskim nie trzeba już tłumaczyć, jakie zadania, o jakim ciężarze, o jakim stopniu trudności powinny i mogą podejmować. One to wiedzą. Ale czy wiedzą na pewno wszystkie komendy, namiestnictwa, rady, zespoły? Nie jestem pewny. Dlatego warto sięgać do takich staroci, jak książeczka Jacka Kuronia.

W dzisiejszym świecie może mniej się już mówi o wyścigu szczurów, ale promuje się indywidualizm. Te wszystkie gwiazdeczki, nieważne, czy

z filmowych seriali, czy z internetu, ci politycy, którzy nie widzą społeczeństwa i jego potrzeb, lecz ważne jest dla nich własne ja, ci zdobywcy pierwszych miejsc w telewizyjnych turniejach na jakichś egzotycznych wyspach. Zamiast sukcesu osiąganego ciężką pracą, nasza młodzież widzi przed sobą kariery skrajnych indywidualistów, a często też egoistów. Nie o takie wychowanie nam w harcerstwie chodzi. Dlatego tak ważne jest wychowanie w zespole – i tych młodych, i tych starszych, bo przecież uczymy się przez całe życie. Dbajmy o te grupy, o wszystkie – dziecięce, młodzieżowe, złożone z osób dorosłych. Pokazujmy, że tylko pracując zespołowo, osiągniemy autentyczny sukces. Troszczmy się o zespoły, doceniajmy ich pracę, chuchajmy na nie, opiekujmy się nimi, i oczywiście najlepsze nagradzajmy.

Jacek Kuroń, *Uwaga zespół!*, Wydawnictwo Harcerskie, Warszawa, 1960.

CZUWAJ 5/2024

Więcej niż bardzo wiele

Na szkole znają się wszyscy. I nie należy się dziwić – każdy do szkoły chodził, a wielu z nas ma własne lub zaprzyjaźnione dzieci – także są uczniami. Dyskutować o szkole, o programach, o podstawach programowych i ich realizacji można długo. No bo jakżeby inaczej, jeżeli szkoła wszystkich interesuje. Dlatego dziś nie będzie o harcerstwie, lecz o pewnej zaprzyjaźnionej ze mną klasie.

Dlaczego o niej? Ano dlatego, że wokół słychać głosy, jakie to okropne są aktualne podstawy programowe, jakie są straszne trudności wychowawcze z młodymi, jak to trzeba im ulżyć i nie zadawać prac pisemnych do domu. Itd., itp. Nasze zacne ministerstwo od spraw edukacji, narodowej zresztą, podejmuje jakieś decyzje. I z góry jest skazane na niepowodzenie – gdy jednym, którzy znają się najlepiej na szkole, będą się one podobać, drudzy, którzy najlepiej znają się na szkole, oczywiście poddadzą je totalnej (jakie to ładne słowo) krytyce. Dlatego przeczytajcie, że można, że można w każdej sytuacji i w każdym czasie. Uczyć i wychowywać.

Było to dawno, dawno temu. Jeszcze w minionym wieku. Wychodziłszy jako państwo z socjalistycznego ustroju, ale szkolnictwo było jakby ciągle takie samo, takie jak zwykle. Z dyrektorem, pokojem nauczycielskim i uczniami, dla których zdobywanie wiedzy nie było najważniejsze w życiu. No, może zaczynali sensownie myśleć kilka miesięcy przed maturą. Co nikogo, także nauczycieli, nie dziwiło. Ale w tej klasie było inaczej.

Kiedyś pewna nauczycielka łaciny, a prywatnie moja żona, postanowiła poszaleć i w zwykłym państwowym liceum wymyśliła sobie klasę autorską. Taką na serio humanistyczną. Taką, w której będzie się wiele działo, a uczniom będzie chciało się uczyć. Klasę, w której uczniowie będą zespołem pracującym przez cztery lata w komplecie. Od pierwszej klasy do matury. I wszyscy tę maturę zdadzą. Cóż, ja zostałem jakby pomocnikiem wychowawczynie, takim działającym społecznie nauczycielem (ach, wszystko przez to harcerstwo), który to i owo załatwi, podpowie i w tym lub owym uczestniczy. Nie będę opisywał tu lekcji, raczej skupię się na

tym, co robiliśmy razem, całą klasą, w czym uczestniczyli wszyscy uczniowie.

Nie, nie zaczęliśmy roku szkolnego tak zwyczajnie w ławkach szkolnych. Drugiego września byliśmy już na wyjeździe integracyjnym w pięknym pałacyku pod Warszawą. No tak, nasi uczniowie się nie znali. Była to jednak szkoła – przed południem zajęcia, prawie normalne lekcje. Przyjeżdżali do nas pojedynczy nauczyciele, pokazywali, jak będą prowadzili swoje zajęcia. Starali się, by to pierwsze spotkanie było atrakcyjne. Ale były też długie rozmowy o planach, o perspektywach wspólnej pracy. Czy wszyscy zostali przekonani, że będą to wspaniałe cztery lata? Kiedy rano kazaliśmy wybiegać na gimnastykę i być punktualnym bez ciągłego przypominania? Oczywiście nie, ale pierwsze koty za płoty.

Pomimo wszystko z integracją poszło nam nieźle. Zaczęła się normalna praca w szkole. Codzienne lekcje, klasówki i obowiązkowe wyjścia do teatrów. Jak to w szkole. Tej części pracy w klasie nie będę opisywać. Zaprezentuję jednak ważniejsze wspólne przeżycia. No, może niektóre przedstawienia teatralne były przeżyciami, ale to inna historia.

Wybraliśmy się do Włoch. Wszak klasa była humanistyczna. Jak uczyć się łaciny bez znajomości Rzymu? Zaprośiliśmy na wyprawę panią M. – filolog klasyczną z Uniwersytetu Warszawskiego, znakomitą znawczynię starożytności. Pani M. wiedziała wszystko o Rzymie. I zastępowała naszą przewodniczkę, która coś tam sobie przeczytała w przewodnikach. Wiecie, jak się zwiedza Wieczne Miasto, gdy ma się obok siebie osobę, która o historii starożytnego Rzymu i jego zabytkach może tak wiele opowiedzieć. Tylko w Pompejach przewodnik dorównywał wiedzę pani M.

Drugi przykład. Co zrobić, aby klasa nie musiała co tydzień uczestniczyć w zajęciach z niezbyt, to taki eufemizm, lubianego przedmiotu, jakim było przysposobienie obronne. Po prostu na tydzień pojechaliśmy do „Perkoza”. I tam nasi uczniowie zaliczyli cały kurs zgodnie ze szkolną podstawą programową. Załatwienie takich zajęć nie było proste, wszak musiałem napisać program, zatwierdzić go w kuratorium i w ministerstwie, ba, uzyskać zezwolenie na wystawienie stopni z tego przedmiotu. Co prawda jestem podporucznikiem, ale nie nauczycielem przysposobienia obronnego.

Zabawa była przednia. Oczywiście pierwsza pomoc, oczywiście znajomość stopni wojskowych, ale była gra nocna, a klasa nie składała się z harcerzy, było gotowanie zupy z pokrzyw i zjazd na linie. Było tereno-

znawstwo i nauka czytania mapy. Była obrona cywilna i gry symulacyjne. Pomagali nam w przeprowadzeniu niektórych zajęć harcerze z olsztyńskich „Szarpii” i zaproszeni specjaliści. Tylko nie mieliśmy strzelnicy, ale ponieważ przedmiot ten był obowiązkowy w dwóch kolejnych klasach, w tej wyższej już w Warszawie uczniowie mieli zajęcia na strzelnicy i dzięki temu mogli mieć wystawioną ocenę na koniec roku.

Wymyśliłem dodatkowy przedmiot – dziennikarstwo. Zajęcia były banalne, ale zaliczenie przedmiotu dość interesujące. Podzieliłem klasę na dwu- i trzyosobowe zespoły i każdemu z nich załatwiłem praktyki w innym czasopiśmie. Były to w większości dzienniki i tygodniki. Od „Trybuny”, „Sztandaru Młodych” i „Gazety Wyborczej” do „Przeglądu Sportowego”. W każdej redakcji nasi praktykanci mieli swojego opiekuna-dziennikarza. I mieli jako pracę zaliczającą pokazać mi opublikowany w piśmie tekst. No cóż, praktyki mieli wszyscy, przyszli z nich zachwyceni, ale z tymi tekstami okazało się, że nie było prosto. Musiałem zmienić kryteria zaliczania i ci z wydrukowanymi materiałami, a była ich większość, otrzymali najwyższe oceny.

No i wymiana z uczniami niemieckimi z liceum koło Hanoweru. Dziesięć dni my u nich mieszkamy w domach i codziennie mamy zorganizowane jakieś atrakcje. A później dziesięć dni my ich gościmy. Nasi uczniowie znali już trochę język niemiecki (uczyli się jeszcze angielskiego i łaciny) i mogli go nieco szlifować. W Polsce poza zwiedzaniem Warszawy obowiązkowa była wizyta na terenie b. obozu koncentracyjnego Auschwitz, a więc zwiedzaliśmy też Kraków i Wieliczkę. Zwiedzanie Krakowa to odrębna historia, więc nie będę jej tu opisywał. Powtórzę – w wymianie brała udział cała klasa. To był drogi wyjazd, drogie też przyjęcie młodych Niemców, na szczęście istniała już Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzieży. Mogliśmy otrzymać pokaźną dotację.

Czy to wszystko, co działo się w tej klasie? Oczywiście nie, ale musiałbym napisać znacznie dłuższy tekst, a tu miejsca w gazecie niewiele. Kto wydawał szkolną gazetkę, kto na studniówce zaprezentował występ kabaretowy, z której klasy byli laureaci ogólnopolskiej olimpiady, kto napisał i wystawił klasową „Zemstę”. I tak dalej...

Dlatego na zakończenie dodam – ci na początku nieprzekonani, że szkoła może być przyjazna uczniowi, że można w niej wiele się nauczyć a przy okazji przeżyć nieco przygód, zmienili zdanie. Zgodnie z planem wszyscy w komplecie maturę zdali i tylko jedna osoba z całej klasy nie

dostała się na wymarzone studia, a w tamtych czasach trzeba było zdawać trudne egzaminy na uczelnie.

No i pointa – co tam podstawy programowe, jeżeli można w szkole zrobić z uczniami bardzo wiele, a nawet więcej niż bardzo wiele.

PS: Pod koniec maja telefon: – Tu Ł. Jestem w Hanowerze u mojego kolegi z wymiany, pomyśleliśmy, że odnajdziemy niemieckiego nauczyciela, który był głównym organizatorem. Udało się. Miło nam się rozmawiało. Wtedy zdecydowałem, że zadzwonimy też do Polski, powiedzieć, że się nadal przyjaźnimy. Trzydzieści lat. – I to by była pointa numer dwa.

PS 2025: Można rozszyfrować, kim była tajemnicza pani M. To prof. dr hab. Małgorzata Borowska, pracująca na Uniwersytecie Warszawskim, wybitny filolog klasyczny, ale także lektor współczesnego języka greckiego.

CZUWAJ 6–7/2024

Nie tylko o „Zielonym Straszydle”

Prażródło tego felietonu tkwi w moim macierzystym hufcu, gdzie od lat jestem członkiem Komisji Stopni Instruktorskiej. Byłem też kilka razy opiekunem prób przewodnikowskich. I z tymi próbami, szczególnie gdy otwierają i zamykają je harcerki i harcerze w wieku 25-, mam w jednym punkcie wymagań na stopień ogromny kłopot.

Nie powinniście się dziwić. Z racji mojej profesji redaktorsko-dziennikarskiej często zadaję w czasie pierwszej naszej rozmowy pytanie: – Druhno, Druhu, jakie książki o harcerstwie, o harcerzach do tej pory przeczytałaś czy też przeczytałeś. I nie interesuje mnie obowiązkowa lektura szkolna, jaką są „Kamienie na szaniec”.

Po prostu uważam, że wiedza i umiejętności zdobyte w trakcie pracy w drużynie, a także w czasie kursu przewodnikowskiego są ważne, ale nic nie zastąpi czytania, niezależnie, czy są to teksty historyczne, metodyczne czy programowe. Te teksty zakłète w licznych książkach, ale też dostępne na przykład w otaczającej nas pajęczej sieci internetu. Podobnie chyba myśleli twórcy wymagań na stopień przewodnika.

Odpowiedzi na zadane wprost pytanie od naszych kandydatów na instruktorów otrzymuję różne, zazwyczaj wynika z nich, że znajomość książek harcerskich nie jest mocną stroną członków naszej organizacji, a przecież do niedawna punkt związany z lekturami harcerskimi znajdował się w wymaganiach na stopnie harcerskie. Zanim wędrownik zdobył stopień harcerza orlego, powinien był przeczytać kilka książek związanych tematycznie z naszą organizacją. Ale niestety to tylko teoria.

Dlatego zastanawiam się za każdym razem, co podrzucać do czytania młodemu, a czasem i starszym kandydatom na instruktorów harcerskich, aby jakoś pokazać im, że są takie teksty, które czyta się lekko, są ciekawe i wartościowe, można je wykorzystywać w gawędach, ale także zachęcają do kolejnych lektur. Na mojej krótkiej liście jest druha Mirowski ze swoimi gawędami, jest druha Babcia Halina Wiśniewska, jest dla przyszłych drużynowych zuchów „Antek Cwaniak”, dla wszystkich „Rzeka” Ewy

Grodeckiej. Jest jeszcze kilka innych. Ale mam kłopot z harcerską beletrystyką. Nie wypada przecież polecać „Czarnych Stóp” – znakomitej lektury dla dwunasto-, czternastolatków.

I dlatego zacząłem proponować książeczki Pawła Wieczorka „Kohuba”. Kiedyś, na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku publikował on swoje opowiadania w „mojej” „Drużynie – Na Tropie”. Bardzo ceniłem Pawła za lekki język, umiejętność budowania interesującej narracji, ciekawe dialogi. No i Paweł wiedział, jakie powinno być harcerstwo. A wtedy, po VII Zjeździe ZHP, odnowa harcerstwa, szczególnie harcerstwa starszego, była ważnym, najważniejszym celem organizacji. Drogi Pawła i naszej organizacji się rozeszły, ale pisać nadal potrafił.

Więc proponowałem naszym młodym „Zielone Straszysko”, proponowałem „Bitwę pod zielonym lasem”. Trochę bez zastanowienia, bo czytałem te książeczki dawno, dawno temu. I lepiej pamiętałem tytuły niż ich treść. Dlatego, żeby przy najbliższej okazji nie mijać się z prawdą, gdy Pawłowe „dzieła” polecam, postanowiłem przeczytać je ponownie. Bo to, że autora sobie cenię, to stanowczo za mało.

Przeczytałem i zdumiałem się wielce. Bo są to opowieści prawie że historyczne. Może nie takie jak „Gawędy druhny Babci”, ale jednak. W swoich tekstach autor szuka odpowiedzi, czym jest lub jakie powinno być dobre, takie prawdziwe harcerstwo. I nie stara się na siłę przekonać czytelnika do swoich racji. Najbliższe jest mu, tak jak i mnie, takie harcerstwo leśne, ze zbudowaną samodzielnie kuchnią z cegły i gliny, z pryzmami, bogatym zdobnictwem. Z wartami i podchodami, ba, walkami między obozami. Owe podchody to nie moja specjalność, ale Paweł buduje fabułę, uwypuklając walkę między obozami lub podchody narratora, owego Zielonego Straszyska. Pokazuje jednak różne wzorce harcerstwa i, co ciekawe, postawy kadry. Gdzieś tam nawiązuje do minionej służby Polsce socjalistycznej, gdzieś rozpada się szczep prowadzony przez nauczyciela, ale ta normalna, zbudowana na nowych zasadach drużyna nie rozwija się zbyt prężnie. Autor dobrze zna kłopoty harcerstwa lat osiemdziesiątych. Akcja drugiego opowiadania toczy się nieco później. Przeciwstawione są dwa obozy na dwóch przeciwległych stronach jeziora – ogromny, technicyzowany, z prądem, kucharkami, namiotami na podestach i łózkami polowymi oraz ten drugi – mały, z kuchnią polową i normalną pionierką. Co ciekawe, Paweł pokazał w krzywym zwierciadle komendanta wielkiego molocha, ale harcerze i młodsza kadra w obu obozach jest bardzo do siebie podobna.

Dlaczego piszę, że to teksty historyczne? Bo oczywiście dzisiejszy licealista przeczyta je z zainteresowaniem, zdziwi się tylko, że były takie czasy, kiedy można było pójść z mydłem i tak nieekologicznie myć się w jeziorze. Ale smaczków, nawiązań do tamtych harcerskich czasów jest wiele. Myślę, że współczesny czytelnik uzna te dwie lektury za napisane w tym samym czasie co „Pod totmem słońca”. Cóż, czas leci.

Będę więc nadal proponował czytanie testów Pawła Wieczorka. I niekoniecznie musicie, czytając „Bitwę pod zielonym lasem” zajmować się szczegółowo przygodami bohaterów czy cytatami z Długosza opisującymi bitwę pod Grunwaldem. Zastanówcie się, jakie chcecie mieć harcerstwo, jaką drużynę, jaki obóz. Dziś „Kohub” także może wam tu pomóc w udzieleniu właściwej odpowiedzi.

PS1: Czytelnik tego felietonu może zauważyć, że pozostawiam mu do przypomnienia sobie, o jakich materiałach druha Mirowskiego wspominał lub coż to za książeczka „Pod totmem słońca”. Do tego nie jest potrzebna bibliografia druha Błażejewskiego.

PS2: Fundacja Jakobstaf, gdzie zamówiłem książki Pawła, była tak miła i do dwóch harcerskich lektur dołożyła mi całkiem gratis „Kima” Kiplinga. Wreszcie mogłem na serio się dowiedzieć, skąd się wziął „kim”, tak popularne w harcerstwie ćwiczenie. Pięknie fundacji dziękuję.

CZUWAJ 8/2024

Tak było!

Do napisania tego tekstu sprowokował mnie druh hm. J., który na fb proponuje, by uczyć młodszych instruktorów, jak było w harcerstwie przed laty. I by czytać wspomnienia kadry, która kierowała niegdyś naszą organizacją. Niby nic złego, jestem za. Ale to, co piszą członkowie kierownictwa organizacji, to tylko fragment historii harcerstwa. Bo, działając na szczeblu centralnym, te drużyny i ci druchowie nie mieli szans wiedzieć, jak pracowaliśmy kilkadziesiąt lat temu w drużynach i hufcach. Dlatego uważam, że historia ZHP nie może być prezentowana tylko oczami członków władz. Pełniejszą wiedzę młodsza ode mnie kadra, razem z druhem hm. J., będzie miała, gdy znać będzie relacje z obu stron – góry i dołowy.

Jest jeszcze drugi powód, dlaczego powstał ten felieton – to nadesłane i zamieszczone w tym numerze „Czuwaj” relacje z tegorocznych obozów. W porównaniu z nimi obozy z moich czasów są jakby z zupełnie innego świata. Więc zaczynam prawie jak w bajce: Znacie czy nie znacie, posłuchajcie...

Jest lato roku 1965. Polska Ludowa ma 21 lat. Ja mam lat 20. Jestem komendantem ośrodka „Wisła”. Ośrodki w naszym hufcu, a i w innych też, pełniły funkcję pośredniego ogniwa programowo-organizacyjnego między drużynami a hufcem. Harcerstwo prężnie się rozwijało, już niedługo w każdej szkole będzie szczep, ale na razie potrzebna była jednostka, skupiająca pojedyncze drużyny z pobliskich szkół. Potrzebna w naszym przypadku przede wszystkim po to, by zorganizować dla harcerzy normalny obóz.

No to taki obóz organizuję. Lokalizacja – koniecznie w lesie i nad jeziorem. Padło na wieś Narty koło Jedwabna. Niewielkie jezioro o charakterystycznym kształcie i nazwie Krzywik. Jezioro niewielkie, ale nas też nie za dużo, około 80 harcerek i harcerzy wraz z kadrą. Dwa podobozy, na obozowych chustach oczywiście krzywik.

Finanse obozowe – z nimi w tamtych czasach nie było źle. Związek, a więc i hufiec, otrzymywał dotację państwową, którą nasz komendant – chyba poświęcę mu kiedyś oddzielny felieton – dzielił właściwie jednoosobowo między uczestników i obozy. To pierwsze źródło. Drugim dość

pokażnym były wpłaty zakładów pracy z tzw. funduszu socjalnego. Były one różne, ale czasem przekazywano nam 100 procent środków. I oczywiście dopłacali rodzice, lecz te sumy były stosunkowo niewielkie i nie przekraczały połowy kosztów. Tak naprawdę każdego było stać na uczestniczenie w obozie. Obozie 26-dniowym!

Sprzęt i namioty – mało go miały nasze drużyny. Sprzęt kuchenny jeszcze się znalazł, był tańszy, płyty kuchenne i rury do kominów też były. Ale namioty w większości dostaliśmy z hufca. Gdy przez pomyłkę przyjechał do naszego obozu naczelnik ZHP, mogłem mu pokazać, że dziurki w jednym z namiotów, który sprezentowało nam wojsko, wyglądają jak bardzo piękne gwiazdozbiory. Na szczęście namiot był duży i wysoki, harcerze nie musieli budować prycz bezpośrednio pod takim oryginalnym niebem.

Kuchnia – oczywiście przez nas budowana z cegieł. Ale uwaga – aby mogła ona powstać, musieliśmy zdobyć cegły, o co było trudno, i przywieźć glinę, a wcześniej samodzielnie ją wykopać. Tu sprawdzili się mieszkańcy Nart. To oni pomogli nam i z ceglami, i z gliną – kuchnia powstała. W niej rządziła obozowa mama. Była już z nami kolejny raz – prawdziwa matka dwójki naszych harcerzy. Energiczna, wspaniała – wszyscy mówiliśmy do niej „mamo”. Ja oczywiście też. Później przez lata, nawet gdy już dorośliśmy, gdy taka pomoc nie była nam niezbędna, pozostała ona dla nas mamą M. Z cywili towarzyszył nam jeszcze młody lekarz świeżo po studiach. Przydał się.

W magazynie męka wypełniania kartotek i zapotrzebowań żywnościowych (tzw. zetzetek). Suma wydatków na jedzenie z książki finansowej musiała się co do grosza zgadzać z sumą wszystkich kartotek i wszystkich zapotrzebowań. Przypomnę: nie było kalkulatorów. Jeżeli po obozie były w tych sumach różnice, księgowość w chorągwi nie przyjmowała rozliczenia. I już.

Transport sprzętu na obóz. Nie musieliśmy się tym za bardzo martwić. Hufiec miał zaprzyjaźnione zakłady pracy dysponujące ciężarówkami. Przewożono nam sprzęt za darmo. Ale trzeba było na wsi kupić słomę do sienników, które napychaliśmy pierwszego dnia. Nie było jeszcze spiwo-rów, spaliśmy pod kocami. Umiejętność rolowania koca i przytracania do plecaka była nam niezbędna. Jednym z punktów na biegu harcerskim było sprawdzenie harcerzy z tej umiejętności.

Wodę do picia, która też kosztowała, w baniaku codziennie przywoził pan, który zabierał zlewki. W sprawie żerdzi, niezbędnych na obozie,

leśniczy powiedział: Wycinajcie je sobie w lesie. Tam, gdzie dwie sosenki rosną blisko siebie, jedną z nich można wyrąbać. Nie wytnijcie mi tylko polany. I rąbcie nisko, nie na wysokości kolan, lecz kostek.

Czego nie mieliśmy? Nie mieliśmy prądu, co było na obozach normalne. Nie było telefonu – najbliższy w leśniczówce jakieś dwa kilometry od obozu, i nie mieliśmy samochodu. We wsi był sklep, w którym kupowaliśmy większość produktów. Można je było wrzucić na wóz, jadący do nas z wodą. Ale w sklepie nie sprzedawano mięsa. Więc co drugi dzień nasz kwatrmistrz brał dwukołowy wózek i wędrował kilka kilometrów do Jedwabna, aby kupić te towary, których w naszej pobliskiej wsi nie było! Przede wszystkim wędliny i mięso. Na jedzenie nikt nie narzekał.

A program? Normalny, nie nadeszła jeszcze moda na obozy tematyczne. Zwykle zajęcia z technik harcerskich, zajęcia kulturalne, codzienne ogniska, w czasie których nie korzystaliśmy ze śpiewników, wszystkie piosenki znaliśmy na pamięć. Praca na rzecz lasu, rajdy, nocne podchody, spanie w szałasach itd., itd. Nic, co byłoby jakimś fajerwerkiem wzbogacającym wodotryskiem.

No to teraz powtórka – kuchnia z cegieł, mama obozowa, obóz bez prądu, telefonu, samochodu, niektóre, nie wszystkie, dziurawe namioty. No i coś, o czym nie wspomniałem. Wiecie, jak się czuje 20-letni komendant, który znajduje w swoim posłaniu kilka żywych raków? Nie wiecie. W naszym Krzywiku były raki. Na moim prześcieradle pod kocem też.

Cóż, inne to było harcerstwo, po prostu inne. Ono już nie wróci, ale warto coś o nim wiedzieć.

PS: A po obozie stałym jeszcze był dodatek, taka wisienka na torcie. Kadra naszego ośrodka „Wisła” wyruszyła jak co roku na obóz wędrowny. Tym razem blisko - w Góry Świętokrzyskie. Sympatyczne dwa tygodnie z plecakiem.

PS 2025: Hm. Janusz Kowalski radził, aby młodzi instruktorzy przeczytali zbiór wspomnień *Tak było. Drogi i rozstaje harcerstwa*, wyd. II, Warszawa 2024.

Szkoła, szkoła...

Czytam czasem jakiś tekst o naszej, harcerskiej obecności w szkole. O tym, że jesteśmy szkole potrzebni, a szkoła potrzebna jest nam. To banał. Nie wiem, czy pamiętamy, że mamy podpisane z minister Edukacji Narodowej porozumienie o współpracy. Czy jest już nieaktualne, nie mam pojęcia. Nic zresztą w tym porozumieniu nie ma odkrywczego, bo co nowego można w takim dokumencie zawrzeć.

Ale wiem, jak to było przed laty, gdy rządziła naszym państwem jedna partia, a ludziom miało się żyć coraz dostatniej. Tak, partia rządziła, a z tym życiem nie było wesoło. Ale ja nie o dawnym ustroju, lecz o harcerstwie lat osiemdziesiątych minionego wieku. O naszych relacjach ze szkołą, tą jedną, w której była nasza siedziba. Ze szkołą, z którą nasze środowisko związane było, drobiazg, od 1912 r.

My dla szkoły

Przypadek pierwszy. – Panie Adamie – siedzę w gabinecie u dyrektorki – mamy tu takie ciekawe zaproszenie, jakąś wymianę uczniowską z Niemcami. Ale tymi zachodnimi. – Były to czasy, kiedy z zorganizowanych wycieczek do Europy Zachodniej wracała tylko częśćka turystów. Pozostali wybierali wolność. – Panie Adamie, może by pan tę wymianę z Darmstadt zorganizował, oczywiście pana harcerze mają pierwszeństwo.

W tamtych czasach takie wymiany, dziś będące codziennością, nie były organizowane. Zgodę dostaliśmy z Ministerstwa Edukacji. Ale przed wyjazdem zobowiązano nas do przygotowania grupy – na trzy dni wyjechaliśmy pod Warszawę, gdzie byliśmy szkoleni nie tylko, jak się mamy zachowywać, ale także, jak i co Niemcom mówić o Polsce. Miły pan z ministerstwa z pewnym zażenowaniem wypełniał swą misję. Wymiana się odbyła, jedno było dziwne – nie pozwolono nam mieszkać w niemieckich domach, pewnie byśmy byli zszokowani poziomem życia na zachodzie. Ale młodzi Niemcy w naszych domach mieszkali. Służba dla szkoły zrealizowana.

Przypadek drugi. Nieco podobny. – Panie Adamie, mamy pomóc młodzieży z Kanady, która w ramach szkoły pod żaglami płynie do Gdyni

Pogorią. Wy macie drużynę żeglarską, niech pan wytypuje 20 harcerzy. Pojedziecie do Francji, w Saint-Malo wsiądziecie na jacht i przypłyniecie do Polski. Chyba planują ten odcinek rejsu na 10 dni.

I co? Pomogliśmy szkole. Przecież żaden nauczyciel nie zorganizowałby takiego wyjazdu. Paszporty dla całej grupy, wiza tranzytowe, przejazdy pociągami, dzień pobytu w Paryżu, pieniądze na wyżywienie i wstęp do muzeów w stolicy Francji. Gdy się jest harcerzem, wszystko da się załatwić. No, przy pomocy niezawodnego „Harcturu”. Rejs, w dużej części pod żaglami, był udany. Tylko kapitan był z nas nieco niezadowolony. Ponoć zamówił grupę wyszkolonych morskich żeglarzy, a tu przyjechali harcerze, którzy potrafili żeglować omegami na Mazurach, a nie znali się na żeglarstwie morskim.

Szkoła dla nas

Przypadek pierwszy. Mieliśmy zarobić bardzo duże pieniądze. Po raz pierwszy w Polsce napisano i wydrukowano poradniki dla maturzystów. Z wielu przedmiotów, niektóre w kilku częściach. Na papierze gazetyowym. Spłynęły zamówienia z kilku tysięcy szkół z całego kraju. Każda szkoła zamawiała inną liczbę poradników. Naszym zadaniem było zrobienie paczek i wysłanie ich do tychże szkół. Podpisaliśmy umowę i się zaczęło. Najpierw materiałami zapełniła się harcówka, pracuje codziennie kilkunastu harcerzy. Efekty skromne. Mamy opóźnienia.

– Pani Dyrektor, harcówka pełna, potrzebujemy jeszcze jedno duże pomieszczenie, aby gdzieś te materiały gromadzić. I jeden boks w szatni – tam będzie filia poczty, oni będą prowadzić pełną dokumentację i stamtąd codziennie samochód pocztowy będzie odbierał paczki – grzecznie poprosiłem. I miałem, co chciałem. W pewnym momencie, gdy nasz szczerp nie dawał sobie rady, zaczęły pracować klasy szkolne. Cóż, po rozliczeniu całej wielkiej akcji okazało się, że zarobiliśmy grosze. Ale co było ważne – szkoła nam pomogła.

Przypadek drugi. Nieco podobny. Prowadziliśmy wielką akcję sprzedaży zniczy na czterech małych dzielnicowych cmentarzach. Przez kilka lat. Więc co roku otrzymywaliśmy jeden lub dwa boksy w szatni, aby te znicze gdzieś magazynować. Pracowaliśmy przez kilka dni od świtu do zmroku. Pełna nyska jeździła, dostarczając nowy towar. W tym czasie cały budynek, nie tylko te dwa boksy, był nasz. I nikt nas w nim nie pilnował. Tak, na zniczach zarabialiśmy spore pieniądze. I szkoła nam to umożliwiała.

Nie, nie organizowaliśmy akademii szkolnych, nie braliśmy też w nich jako środowisko harcerskie udziału. Nie było w szkole znanych mi z innych placówek pikników dla uczniów i rodziców. Byliśmy silną organizacją, ale tak naprawdę dyrekcja nie wykorzystywała nas, a my w czasie całego roku poza harcówką i magazynami na sprzęt nic więcej od szkoły nie potrzebowaliśmy. No, może tylko jeszcze zwolnienia z lekcji w soboty, aby móc uczestniczyć w jakichś nieco dłuższych imprezach. Pamiętacie, mieliśmy przecież zajęcia szkolne przez sześć dni w tygodniu.

Ale to całkiem inna historia. Jak również inną historią są współczesne relacje między nami i nią. Harcerstwem a szkołą. Czas wiele zmienił.

PS 2025: Pani dyrektor Wiesława Brożek-Filipowska przez prawie trzydzieści lat z sukcesami kierowała IV LO im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

CZUWAJ 10/2024

Alerty naczelnika

Alerty naczelnika? Jakie alerty? Nic nie pamiętam. W pewnym wieku, tak, tak, pewne fakty ulatują z pamięci. No cóż, zapomniałem, trzeba sobie coś przypomnieć. Biorę więc do ręki naszą stareńką harcerską encyklopedię, czyli „Leksykon harcerstwa” Olgierda Fietkiewicza i czytam: *centralna akcja programowa ZHP, zobowiązująca wszystkich harcerzy i instruktorów do wykonania określonych zadań, ogłaszana, gdy zaistnieją ważne potrzeby społeczne, a siły ZHP mogą się przydać krajowi. Alert jest dyrektywą w Związku, stanowi sprawdzian prężności harcerstwa, gotowość do służby ojczyźnie.*

Coś takiego... Cały Związek Harcerstwa Polskiego jak jeden mąż miał stawiać na baczność i wspólnie realizować w ciągu kilku dni interesujące, ale przede wszystkim ważne dla społeczeństwa zadania. A było nas 2 czy 3 miliony. I od początku okazało się, że alert nie był ogłaszany, gdy zaistnieją ważne potrzeby społeczne, lecz organizowano go co roku. Przez 16 lat na początku maja Związek stawał do alertu. Tematy były różne – zaczęło się w roku 1965 od harcerskiego zwiadu wiosennego – poszukiwania i otaczania opieką miejsc martyrologii naszego narodu w czasie wojny. Był Zwiad Tysiąclecia w 1966 r., był alert poświęcony polskim dzieciom – związany z harcerskim patronatem nad Centrum Zdrowia Dziecka, był Alert Zwycięstwa – to w 25-lecie zwycięstwa nad faszyzmem, był też sportowy oraz poświęcony bitwie pod Lenino. Wiele, naprawdę wiele. Kolejne alerty, od 1982 r., były ogłaszane już zgodnie z ich pierwotną ideą – pierwszy z nich, a więc 17, był... powodziowym.

Nie rozumiem. Dlaczego te ważne ogólnozwiązkowe akcje nie pozostawiły w mojej pamięci jakiegokolwiek śladu? Dlaczego nie pamiętam aktywnego uczestniczenia naszego środowiska w kolejnych alertach. Owszem, przypominam sobie, że dostawaliśmy jakieś koperty, które należało otworzyć konkretnego dnia. Ale żebyśmy wykonywali jakieś zadania?

Cóż, jeżeli pamięć człowiekowi nie dopisuje, trzeba sięgnąć do kolejnych historycznych źródeł. Nawet jeżeli są one napisane wybiórczo,

źródeł, których autor pomija niektóre informacje. Kilka książek prezentujących dzieje naszego hufca opracował nieżyjący już od kilku lat nasz wieloletni komendant. Gdy czytam o historii hufca, dzieje od roku 1956 do lat 80., w których opisane są zloty, rajdy, nagrody, składy komend, akcje letnie, prace w zuchowym ośrodku, festiwalu kulturalne itd., itd., nagle zauważam, że nie braliśmy udziału w pochodach 1-majowych. A było to ważne wydarzenie w życiu hufca. Ja o nich nie zapomniałem.

No dobrze, pal sześć pochody, ale co nasz komendant pisze o alertach? Otóż w historii hufca te ogólnopolskie akcje, wydaje się, że bardzo ważne, zauważone zostały trzy razy. Zauważone, ale nie opisane. Żadnych szczegółów. Ot... harcerze wzięli udział. Czyli nie tylko ja o alertach nie pamiętałem. Nie pamiętał o nich nasz komendant. Bo na pewno ich nie wygumkował. Pewnie jednak jakieś działania podejmowaliśmy, jeżeli zostałem odznaczony medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej.

Można by pomyśleć – jakiś mało znaczący hufiec, ot, jacyś kontestatorzy. Nie, nie. Byliśmy często najlepsi. I w Chorągwi, i w Związku. W roku 1965, gdy miał miejsce pierwszy majowy alert, w lipcu na naszym obozie gościliśmy samego marszałka Mariana Spychalskiego, ministra obrony narodowej, któremu towarzyszył naczelnik hm. Wiktor Kinecki. Nikt ważniejszy z władz państwowych obozu harcerskiego w tamtym roku nie odwiedził. No i jeszcze jedno wydarzenie, świadczące o nas. Przyjęliśmy imię 1. Warszawskiej Dywizji Piechoty. Uroczyste przyznanie imienia odbyło się w Sali Kongresowej Pałacu Kultury. Naprawdę na owe czasy byliśmy najlepsi, ale alerty naczelnika jakoś nas omijały.

Tak było. W oficjalnych sprawozdaniach wielkiej organizacji wielkie liczby, piękne sprawozdania. A tam na dole toczyło się zupełnie inne życie. Akurat u nas dni alertów nakładały się na czas święta hufca. Złoty, imprezy, przemarsze. Pokazywaliśmy się najpierw w mieście w czasie owego 1-majowego pochodu (jako ci najlepsi szliśmy w Warszawie na jego czele), a w dzielnicę tydzień później. Na owym hufcowym święcie. Cóż, było, minęło.

Czy nie podejmowaliśmy w XX wieku działań, które byłyby podobne do tegorocznego alertu? Czyli odpowiadania na autentyczne potrzeby społeczne? Oczywiście, że takie sytuacje były. Mieliśmy na przykład zimę stulecia. 31 grudnia 1978 r. w Warszawie spadły ogromne ilości śniegu. Śnieg zasypał cały kraj, który zmarł i przy okazji zmarzł. A my co? Wzięliśmy z magazynu wszystkie łopaty i najpierw odśnieżyliśmy naszą szkołę.

Nie można było do niej dojść! Później pracowaliśmy w innych miejscach. Tak, to był nasz alert, taki autentyczny.

I dobrze się stało, że dziś alerty są prawdziwe, że dziś odpowiadają na realne potrzeby naszego społeczeństwa. Tamte to odległa przeszłość. I dobrze by było, aby były ogłaszane jak najrzadziej. Byśmy nie musieli stawiać do służby na przykład z okazji kolejnej wielkiej powodzi.

CZUWAJ 11/2024

Moje męskie harcerstwo

Nasz naczelny, gdy przygotowywaliśmy ten numer „Czuwaj”, w trakcie spotkania redakcji powiedział: – Tyle mamy dziś materiałów o dziewczętach, może i ty coś o nich, tak historycznie, napiszesz, masz przecież tak bogate doświadczenia...

Wspomogła szefa Misia, która zaczęła opowiadać o niedawno wydanej książce, której współautorkami są była zastępczyni naczelnika i wiceprzewodnicząca ZHP hm. Wanda Czarnota oraz była szefowa Zespołu Harcerzek hm. Ewa Witkowska. Misia uważała, że drużyny postarały się zaprezentować interesujący fragment dziejów harcerstwa żeńskiego w Polsce i pozycję tę należy na naszych łamach promować.

Naciskali na mnie, bym napisał felieton o harcerkach, ale przecież to nie jest temat dla mnie. Co ja o nich wiem poza tym, co sobie tu i ówdzie przeczytałem. A snuć refleksje z pozycji obiektywnego obserwatora – jakoś to dla mnie za trudne. Ale może napisać coś o tej drugiej, jakby teoretycznie słabszej części naszego ruchu – o harcerstwie męskim? Bo uważam, że harcerki od lat są silniejsze, wystarczy popatrzeć na literaturę zaprezentowaną w opracowaniu dwóch druhen. Nie będę jednak tu dziś przeciwstawiał Andrzeja Małkowskiego jego żonie Oldze, a Szarych Szeregów – Pogotowiu Harcerzek. Niech więc będzie wspomnienie o moim męskim harcerstwie.

Bo wychowałem się w drużynie męskiej. Numer 133, jej bohaterem był pilot Stanisław Skarżyński. Dlaczego? Nikt tego w roku 1957 nie wiedział. Może jakaś tajemnicza harcerska władza uważała, że ponieważ nieopodal naszej szkoły na Saskiej Kępie mieściło się ogromne lotnisko Aeroklubu Warszawskiego, będzie sensownie nadać nam to imię. Tak, byłem członkiem drużyny męskiej. Raz czy drugi pojechałem na obóz, oczywiście męski, jako zwykły szeregowy, ale później już jako zastępowy. Nasz dzielny drużynowy Julek potrafił też w tamtych czasach zorganizować zimowisko drużyny. Nikt z nas pod koniec lat pięćdziesiątych, ale i w latach sześćdziesiątych nie wyobrażał sobie, że może istnieć coś takiego, jak koedukacyjne harcerstwo. Z drużyną harcerzek z naszej szkoły, a drużyna nosiła ten sam numer, spotykaliśmy się na imprezach hufca. Co ciekawe, nawet

harcówkę, zavaloną często zbieraną przez nas makulaturą, mieliśmy własną. Jakbyśmy byli w innych organizacjach.

Jako szesnastolatek zostałem drużynowym zuchów. Oczywiście w drużynie, tak nazywaliśmy nasze jednostki, byli sami chłopcy. Ale gdzieś obok działały zuchy-dziewczynki. Prowadziła ją Ewa – uczennica liceum pedagogicznego. Z tą moją drużyną trzy razy byłem na kolonii. Miałem w czasie kolejnych wyjazdów swoich kilkunastu chłopaków, wszystkich z mojej drużyny, mieliśmy własny program, własne obrzędy, z naszą bratnią drużyną dziewczynek spotykaliśmy się na posiłkach. W lesie obok szkoły w Michałowicach, bo była to moja pierwsza kolonia zuchowa, mieliśmy bazę. Tam bawiliśmy się całymi przedpołudniami a obok gdzieś, pewnie w tym samym lesie, hasały zuchy-dziewczynki. I jeszcze jedna ciekawostka. W naszej trzyosobowej kadrze tylko komendantka Danusia była pełnoletnia.

Drużynę zuchów prowadziłem sam, bez przybocznego. Dlaczego? Tak było. Ewa też nie miała przybocznej. Gdy przyszła moja pora na harcerski awans, przekazałem drużynę Tomkowi, po jakimś czasie Tomek przekazał ją Krzysiovi, mojemu byłemu zuchowi. Normalne.

Czas szybko płynął. W 1964 r. po raz pierwszy prowadziłem zgrupowanie trzech obozów. Dwa były męskie i jeden żeński. Nadal było normą, że nie pracowaliśmy koedukacyjnie. Nie będę tu rozwijał tematu o wyższości takiego harcerstwa, jakie wtedy było, harcerstwa rozdzielnopłciowego, nad harcerstwem koedukacyjnym. To nie tylko wynikało z tradycji, ale także z programu – innego dla chłopców, innego dla dziewcząt. W swojej książce o harcerstwie żeńskim druhny Wanda i Ewa zamieszczają na ten temat sporo materiałów.

Ale oczywiście na obozie nasza młoda płeć piękna musiała wykonać wszystkie prace pionierskie tak samo jak chłopcy. Muszę jednak przyznać, że latryny męskie były solidniejsze niż te budowane przez harcerki. To jedna z niewielu różnic. Bo prycze dziewcząt były jakby bardziej precyzyjnie wykonane.

Jeszcze w 1968 r. było normalnie. No i nadeszły czasy szczepów, nadeszły czasy klasodrużyn i wszystko się zawało. Zawaliło się moje harcerstwo męskie. Czasami tylko ktoś zaproponował, by działać tradycyjnie i obozów nie organizować koedukacyjnie. Jak byłem wdzięczny druhowi Jankowi, gdy w Bieszczadach w Wołosatem – to było jeszcze przed bieszczadzką Operacją – zostałem komendantem starszoharcerskiego obozu męskiego. Znow mogliśmy realizować męski program.

Wtedy harcerstwo męskie dla mnie się skończyło. A po latach okazało się, że nasze koedukacyjne harcerstwo nam się sfeminizowało. Od lat kierują nami naczelniczki. Mamy swoją przedstawicielkę w WAGGGS. Dzień Myśli Braterskiej jest tradycją żeńską. Dzień Polskiej Harcerki – oczywiście też. Przez lata przedwojenne tradycje pielęgnowały Instruktorzy po Zachodnim Stoku. Zespół Harcerek przy Głównej Kwaterze działał bardzo prężnie, ma mnóstwo konkretnych osiągnięć. Z tym zespołem powiązana jest Fundacja Harcerek z drużyną Wandą na czele. Mnóstwo inicjatyw, pomysłów, realizacji konkretnych projektów. Powołany równolegle na początku lat 90. ubiegłego wieku Zespół Harcerzy nigdy nie rozwinął skrzydeł. Dlaczego? Czy zabrakło wśród instruktorów takiej Wandy i takiej Ewy, czy generalnie instruktorzy uznali, że całe harcerstwo jest ich i nie ma potrzeby zajmować się odrębnie męską gałęzią harcerstwa? Trudno powiedzieć.

Zobaczcie, miało być o harcerstwie męskim, moim harcerstwie. Takim, jakie je pamiętam. Ale kończę ten mój fragmentaryczny harcerski życiorys, pisząc o sukcesach dziewcząt. No tak, ale one po prostu mają sukcesy. Czekam jednak, kiedy w naszej organizacji przyjdzie moda na rozdzielenie gromad zuchów i drużyn harcerskich na męskie i żeńskie. Bo kiedyś to nastąpi.

CZUWAJ 12/2024

80, czyli harcerski życiorys

Tak, tak. 80. Harcerskich lat trochę mniej. Wydaje mi się, że ciekawych. I różnorodnych. Czy mogą takie być, gdy cały czas jest się w tej samej organizacji, bez dnia przerwy? Dość wstępu. Tylko muszę uważnych czytelników tych felietonów uprzedzić. Będą powtórki. Ale nawet jeśli znie, to posłuchajcie:

16 (prawie)

To był pomysł mojego komendanta hufca: – Może zamiast na zimowisko pojedziesz na kurs do „Zuchowej Chałupy” w Cieplicach? – Pojechałem, sam jeden z Warszawy. W Cieplicach, w pięknym pałacu, przeznaczonym Związkowi jako miejsce do szkolenia kadry zuchowej, wszyscy zieloniuteńcy, jedna a może dwie dwie setki kursantów. Cudowna atmosfera, zdobywanie nowej wiedzy i umiejętności. Na pokazowej zbiórce zuchy bawią się w „Doktora Ojboli”. Pisaliśmy, śpiewaliśmy (ciągle staram się w hufcu propagować przedwojenny „Hymn instruktorów zuchowych”, bez efektów), graliśmy, bawiliśmy się na balu sylwestrowym, wędrowaliśmy na zamek Chojnik. Tam, prawie szesnastoletni, złożyłem Zobowiązanie Instruktorskie.

Po przyjeździe do Warszawy założyłem drużynę zuchów. Z moimi chłopakami jadę w Sudety na kolonię, mnóstwo przygód. Jeden z zuchów – Zbynio – będzie po latach świadkiem na moim ślubie.

19

Jestem już podharc mistrzem. Komendantem ośrodka, bo na 11 ośrodków podzielony był wówczas rozrastający się hufiec. Prowadzę mój pierwszy samodzielny obóz, a właściwie zgrupowanie złożone z trzech podobozów. Trochę ponad setka harcerek i harcerzy. Komendanci podobozów mają po 18 lat. Bożena zostanie naukowcem na politechnice, Zdzisiek będzie pracował w administracji, Michał został aktorem i twórcą jednego z ciekawszych w tamtych czasach kabaretu.

A obóz? Tyle już razy pisałem o kuchniach z cegieł, mamie obozowej, siennikach, pryzkach, wartach nocnych i ciekawie skonstruowanych latrynach... To może jedno osobiste doświadczenie – pierwszy i ostatni raz w życiu tańczyłem kujawiaka w czasie miejscowych wiejskich uroczystości dożynkowych.

21

Harcerstwo się rozwija, ośrodki będą zlikwidowane, w każdej szkole zorganizujemy szczepek. Ale lato jeszcze po staremu. Choć na co dzień kieruję ośrodkiem, w pierwszym turnusie obozów (przypominam – 26 dni) jestem komendantem jednego z kursów zuchowych. Łącznie w naszym hufcowym zgrupowaniu było sześć kursów i świetna kadra. Ja jeden tej gorszej płci. Za jakiś czas kierująca kursem starszoharcerskim (dziś powiedzielibyśmy – wędrowniczym) Barbara zostanie komendantką chorągwi – nadal jest czynną instruktorką, szefową chorągwianej komisji historycznej, a Róża – wtedy komendantka jednego z dwóch kursów harcerskich – kieruje teraz naszym hufcowym seniorackim kręgiem „Romanosów”.

W drugim turnusie prowadziłem zgrupowanie ośrodka. Wtedy pozwoliłem mojej kadrze na nocną wyprawę do sąsiedniego obozu hufca. Chłopcy spisali się wspaniale, bo o świcie wkopali mi przed namiotem bramę przyniesioną od sąsiadów (było do nich kilka kilometrów, a brama była piekielnie ciężka). Ponieważ były tam inne z ich strony przewinienia, w efekcie tej afery komendant hufca, druż Stefan, odebrał mi (oczywiście bezprawnie) stopień podharcemistrza i skazał na „rehabilitację”.

24

Zdobyłem stopień harcemistrza. No bo po roku od wydarzeń obozowych znów byłem dla komendanta hufca podharcemistrzem i po kolejnych dwóch latach – czerwona podkładka pod krzyżem. Duża radość. Powiecie – wcześniej. Ja powiem – późno. Bo policzcie – od początku mojej instruktorskiej drogi trzy razy byłem kadrą na koloniach zuchowych, kilka razy na zimowiskach, poprowadziłem kilka obozów wędrownych i siedem razy zgrupowania obozów. Do tego kursy, szkolenia. Dużo tego. Dla zainteresowanych ciekawostka. Stopnia się nie zdobywało, stopień, swoistą nagrodę, otrzymywało się. Była w hufcu komisja stopni, pisała wnioski do chorągwi i komendant stopień przyznawał. Tak przy okazji – hm. PL (czyli Polski Ludowej) zostałem, mając 36 lat. Też nie pisałem wniosku,

prośby. Przyznanie tego honorowego stopnia odbyło się poza moimi plecami. Dopiero po jakimś czasie w harcerstwie zaczęto stopnie zdobywać i pisać wnioski w sprawie stopnia harcmistrza PL.

26

Co tam zuchy. Zostałem instruktorem starszoharcerskim, jakiś czas budowałem szczepek w moim własnym liceum. Było super. Ale zostałem mianowany na namiestnika starszoharcerskiego. W tamtych czasach (czy nie za często pojawia się ten zwrot?) harcerstwo się rozwijało. Miałem w namiestnictwie ponad 2 tysiące harcerek i harcerzy. A więc kursy, praca ze szczepekowymi, codzienna pomoc poszczególnym środowiskom. Czasem wpadła mi dodatkowa fucha, jak poprowadzenie w Szczawnicy zgrupowania zimowisk dla ponad 200 harcerek i harcerzy starszych. Ale równocześnie na tym zimowisku byłem komendantem kręgu drużynowych starszoharcerskich i prowadziłem zajęcia na kursie drużynowych. Nie, jako namiestnik nie nudziłem się.

29

To taki oryginalny fragment mojej służby harcerskiej. Zostałem wybrany na funkcję zastępcy komendanta hufca. Niby normalne, kolejny awans. Hufiec się rozwijał, zbliżał się liczebnie do okrągłych 10 tysięcy członków. Zajmowałem się programem, miałem co robić, solidnie wykonywałem swoją pracę. I stała się rzecz, która mi się później śniła po nocach. Podpadłem, naraziłem się ówczesnemu sekretarzowi propagandy komitetu dzielnicowego PZPR. A partia była wtedy dla nas ważna, jej pracownicy mieli ogromny wpływ na udzielanie harcerstwu różnorodnej pomocy. Co się stało? Byłem, jak od lat, bardzo samodzielny. Delikatnie mówiąc, miałem własne zdanie. No i któregoś pięknego wiosennego dnia przyszedł do mnie komendant hufca, druh Stefan, i powiedział: – Adam, mam prośbę, abys zrezygnował z funkcji i jakiś czas popracował w chorągwi. – Trochę mnie zatkało, ale cóż. „Naszej” partii komendant hufca sprzeciwić się nie mógł, nawet owemu sekretarzowi propagandy, który nami, harcerstwem, w jej imieniu się opiekował. Banicja w chorągwi trwała krótko – kilka miesięcy.

31

Tego wydarzenia w moim harcerskim życiorysie pominąć nie mogłem. Biorę ślub. Grażyna jest komendantką jednego ze szczepek. Biorę ślub,

a właściwie dwa. Najpierw w styczniu ten cywilny – obowiązkowy. Po ślubie jedziemy na zimowisko starszoharcerskie do Brynka koło Tarnowskich Gór. Było wspaniale, 200 uczestników. Po zimowisku 29 lutego drugi ślub – kościelny. Tego dnia odbywał się nasz tradycyjny, organizowany od lat hufcowy rajd Olszynka Grochowska (w roku 2025 też się odbędzie). Prosto z rajdu harcerze przychodzą złożyć nam życzenia. Piękne słońce, śnieg, masa życzeń i kwiatów.

Po latach... Syn Piotr, córka Ola, wnuki: Elizka, Jurek i Tymek. Grażyna jeszcze pracuje, jest profesorem UW, nasze dzieci w jakichś korporacjach czy fundacjach, zupełnie nie jestem w stanie zrozumieć, czym się zajmują. Mamy ze sobą bieżący kontakt, może między innymi dzięki cotygodniowym niedzielnym obiadom.

32

Ten fragment mógłbym umieścić wcześniej. Bo będzie o wyróżnieniach, medalach i odznaczeniach. Wyróżniany byłem różnorodnie. Były to na przykład nagrody rzeczowe – mundur instruktorski, za który nie musiałem płacić, albo zwykła zielona kangurka, ale także zimowa ocieplana kurtka. Oczywiście także zielona. Gdy instruktorzy hufca uczestniczyli w jakiejś uroczystości, byli jednolicie ubrani. Dostawaliśmy też nagrody pieniężne. Przecież prowadziliśmy obozy społecznie. Taka nagroda w wysokości ówczesnych 500 złotych każdego cieszyła (kulka lodów – 1 zł, ciastko – 2 zł, kawa w kawiarni 2,50). Ważne były też te odznaczenia, które wszyscy, przecież nie tylko ja, otrzymywaliśmy z rąk władz państwowych, zaprzyjaźnionych organizacji lub harcerskich. Pierwszym moim odznaczeniem była Honorowa Odznaka Ofensywy Zuchowej (19 lat), o ofensywie kiedyś pisałem. Inne odznaczenia przyszły później: Odznaka Przyjaciela Dziecka (26) – odznaczenie TPD, Krzyż za Zasługi dla ZHP (27), Odznaka Kościuszkowska (28) – nasz hufiec nosił i nosi imię 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, Medal im. Henryka Jordana (29) – to też odznaka TPD, Srebrna Odznaka Honorowa „Za Zasługi dla Warszawy” (30), Brązowy Krzyż Zasługi (32)... Powtórzę – nie ja jeden byłem doceniany w ten sposób. Możecie wierzyć lub nie – nie byłem pieśczochem naszych harcerskich władz. Ale chyba rozumiecie, jak takie wyróżnienia mobilizują, szczególnie, gdy się jest jeszcze młodym.

Z tych zapisków nie wynika zbyt jasno, że miałem często własne zdanie, że prowadziłem szczerp po swojemu i uważałem, że wśród 2–3 tysięcy harcerzy starszych jesteśmy najlepszym środowiskiem. Inni byli tak jakoś bliżej komendy, jeździli wspólnie na obozy w Bory Tucholskie, często byli wyróżniani wycieczkami zagranicznymi. A ja nie, myśmy działali tak samodzielnie, po swojemu. A tu zbliża się VII Zjazd ZHP. I nagle okazuje się, po raz pierwszy w moim harcerskim życiu, że mogę być wybrany na delegata na zjazd. Zjazd przełomowy, likwiduje między innymi Harcerską Służbę Polsce Socjalistycznej. Na zjeździe, mam już swój wiek, jestem wybrany do Rady Naczelnej i na dodatek do jej prezydium. A to już było grono wybrańców. Pięcioosobowe naczelnictwo i kilkoro bardzo ciekawych instruktorów, wśród nich Marek Wardęcki, jeden z najwspanialszych i najmądrzejszych instruktorów harcerskich, i Józek Broda – artysta z Istebnej, potrafiący grać na listkach trawy. Cztery lata współkierowałem organizacją, a później byłem wybierany na kolejne zjazdy, aż do tego jednego z najważniejszych – w grudniu 1990 r. w Bydgoszczy. Na tym bydgoskim przewodniczyłem komisji uchwał i wniosków. I po zjeździe uznałem, że wypełniłem swoją misję. Już więcej nie kandydowałem na delegata na zjazd.

cdn.

CZUWAJ 1/2025

40

Prowadzę szczep – starszoharcerski. Bardzo samodzielny. Od kilku lat organizujemy szczepowe obozy stałe, obozy wędrowne (czasem dwa lub trzy jednego lata), obozy zagraniczne. Niektórzy się dziwią, niektórzy zazdroszczą. Gdzie byli nasi harcerze? W tzw. krajach socjalistycznych, ale także trzy razy w Norwegii, raz w Danii, trzy razy w Luksemburgu, w Kenii, w Irlandii Północnej, we Francji, w Wielkiej Brytanii, nawet zaproszono nas na rejs „Pogorią”. Pamiętajmy, że były to czasy, gdy jeszcze nie zostały przed nami otwarte granice, a złotówka nie była walutą wymienną. Szczep był znakomity. No i z tradycjami sięgającymi roku 1912. Przez naszą „Trójkę” im. x Józefa Poniatowskiego (to zawsze był x, nigdy ks.) przewinął się ks. Lutosławski, ks. Mauersberger. Wychowankami drużyny była duża grupa podharcistrzów i harcmistrzów z druhami Janem Rossmannem i Stanisławem Broniewskim „Orszą” na czele.

Szczep jednak nie miał swojego sztandaru. Z przedwojennego jakimś cudem zachował się uszkodzony nieco grot mocowany na drzewcu. Wiecie jaka to była praca przygotowanie uroczystości wręczenia nowego sztandaru? I sama impreza – instruktorski poczet sztandarowy, Zobowiązanie Instruktorskie na nowy sztandar, wręczenie szczepowi Krzyża „Za Zasługi dla ZHP” (to były czasy, gdy krzyż mogły otrzymywać jednostki organizacyjne), gawędy naszych przedwojennych, walczących w czasie wojny i powojennych byłych członków. Ciągle wspominam nasz wspólny śpiew, kiedy druh Broniewski wzruszył się, gdy usłyszał „I iść będziemy w Polskę Szarymi Szeregami”. – Przecież ta pieśń była mnie dedykowana – powiedział. Tak, przez ponad 15 lat byłem komendantem bardzo dobrego szczepu. Osobny tekst powinienem poświęcić moim wychowankom, niektórym z pierwszych stron gazet. Bo szczep to przecież harcerki i harcerze, a nie jego komendant.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego poszczególne republiki odzyskiwały niepodległość, a wraz z niepodległością często rodziły się środowiska harcerskie. Mnie najbliższa była Białoruś. Tam mieszkało najwięcej Polaków, w dużej części zrusyfikowanych. Język polski przestał być używany w domach, mówili w swym języku ojczystym nieliczni. To było pięknie obserwować, z jakim zapałem starsi i młodszy przypominali sobie o polskich korzeniach. Prawie przez 30 lat w różnorodny sposób pomagałem harcerstwu na Białorusi. Brałem udział w ich imprezach (festiwale piosenek z 500 uczestnikami!), szkoliłem kadrę w Polsce i na Białorusi, organizowałem i prowadziłem obozy, brałem udział w ich zjazdach. W Polsce raz był to 30-osobowy kurs w naszej hufcowej bazie w Ocyplu, innym razem 100 harcerzy było goszczonych przez hufiec w Stężycy. Chyba poprowadziłem dziesięć takich obozów. Nie da się określić, ile dni i nocy poświęciłem na współpracę z Białorusią.

Od trzech lat harcerstwo na Białorusi nie ma prawa funkcjonować. Tak jak i inne polskie organizacje zostało oficjalnie przez rząd białoruski zlikwidowane. Na szczęście są jeszcze polscy instruktorzy, którzy już w innych warunkach, ale starają się tam pracować z polskimi dziećmi. Grupę na kolonii znów przyjeżdżamy w ubiegłym roku w Ocyplu.

Zostałem członkiem komendy hufca. I to na dłużej niż jedną kadencję. Poprzedni komendant stwierdził, że kursy, jakie przeprowadzaliśmy (a zajmowałem się w hufcu kształceniem), są na zbyt wysokim poziomie i są za trudne. Za trudne były dla komendanta, a nie dla harcerzy. W każdym razie rezygnował ze współpracy ze mną. Ale nowy komendant zaprosił mnie do współpracy. W komendzie zajmowałem się różnymi sprawami, ale nadal przede wszystkim rozwojem młodej kadry.

Nie były to dla naszego hufca łatwe czasy. Ciągłe lizaliśmy rany po podziale między nami, którzy byliśmy w ZHP, a połową środowisk, które odeszły do ZHP-1918, a następnie wstąpiły do ZHR. To były w większości, muszę przyznać, środowiska silne, bardzo dobre. Dlatego kształcenie w osłabionym hufcu było dla nas tak bardzo ważne. Odbudowywaliśmy się bardzo wolno. W dodatku mieliśmy kłopoty z naszą siedzibą. Ale byliśmy coraz silniejsi, więksi, w pewnym momencie nasz hufiec był największy w chorągwi. Ja jak szara myszka pomagałem, kierowałem, prowadziłem

zajęcia. Raz było lepiej, raz gorzej. Gdy ukształtował się zespół z Karolem (tym dziś od Jamboree) i Anią (dziś jest kadrą w skautingu brytyjskim), wykonywaliśmy, moim zdaniem, znakomitą robotę. Dziś nie mamy kompleksów wobec innych organizacji harcerskich. Szkolenie przejął po mnie młodszy zespół. Ja jestem na bocznym torze, czasem tylko poproszony o poprowadzenie zajęć z historii harcerstwa lub na temat harcerskich lektur. I tyle.

60

Nie mogę w tych wspominkach nie zauważyć naszego miesięcznika „Czuwaj”. Przez kilka lat redagowałem go, pracując na etacie w Głównej Kwaterze. O pracy zawodowej, związanej z harcerstwem, wcześniej nie pisałem i więcej nie napiszę. Ale z „Czuwaj”, już nie zawodowo, ale społecznie jestem związany do dziś. Tamto pismo, moim zdaniem bardzo dobre, docierało do całej organizacji. Ileż tam różnorodnych tematów! Inny format, niż dziś, inna technika druku, inne łamanie, duży zespół wspaniałych współpracowników w całej Polsce. Ja jako redaktor naczelny biorący udział we wszystkich spotkaniach Głównej Kwatery, we wszystkich zjazdach Związku, w najważniejszych imprezach.

Organizacja się zmieniała, sposoby komunikacji, techniki druku, możliwości finansowe ZHP. Wybrano młodego naczelnego, z którym dziś bardzo dobrze mi się współpracuje. Misia – moja zastępczyni znów jest zastępczynią Grzesia. Ja piszę co miesiąc felieton, czytamy w redakcji wszystkie materiały. Dyskutujemy, planujemy, cieszymy się z każdego numeru, który od lat powstaje społecznie. Gdyby nie naszej trójki wysiłek, nie czytalibyście „Czuwaj” i oczywiście tego tekstu.

70

Przewodniczący ZHP zaproponował mi, abym wszedł w skład Kapituły Krzyża „Za Zasługi dla ZHP”. To elitarne kilkusobowe grono, które analizuje wnioski komendantów chorągwi w sprawie przyznania instruktorom ZHP tego harcerskiego odznaczenia. Wcześniej było różnie, otrzymywały krzyż osoby cywilne, zmieniał się regulamin. Dla „cywili” został ustanowiony Medal Wdzięczności. To odznaczenie, które nadal stopniowo popularyzowane jest w organizacji. Ale było bardzo potrzebne.

Nie macie pojęcia, jak ciekawa jest lektura wniosków. Na ich podstawie można się dowiedzieć, ilu mamy wspaniałych instruktorów! Jakie cudowne

mają życiorysy, nie tylko harcerskie. Kopalnia wiedzy, z której nie można korzystać, bo przecież wszystkie materiały są tajne. A czy przysyłane są wnioski złe, niepełne, niewłaściwie sformułowane? Oczywiście tak. Nie, przykładów tu nie będzie. W kapitule działam nadal, czytam, oceniam, dyskutuję z pozostałymi członkami kapituły. Warto ich wymienić: Wojtek, były przewodniczący ZHP, Teresa, była naczelniczka i Misia, którą już w tych wspomnieniach wymieniałem.

80

Nie wiem, czy dziś najciekawszą częścią mojej harcerskiej działalności nie jest praca w hufcowej Komisji Stopni Instruktorskich. Mam wrażenie, że udaje mi się choć troszeczkę kształtować kolejne pokolenie instruktorów. Jakoś się pomimo różnicy wieku dogadujemy. Nie, nie mogę pisać o kuchni naszej komisji, o problemach, jakie występują na co dzień. Ewa – nasza szefowa (a także zawodowo kierowniczką Wydziału Zagranicznego GK) spokojnie rozwiązuje wszystkie konflikty. Nieźle nam się działa – byliśmy nawet nominowani w chorągwanym konkursie, którego celem było promowanie najlepszych stołecznych zespołów instruktorskich.

O jednym ciekawym zjawisku warto tu wspomnieć. Bezpośrednio po Covidzie byliśmy czasem bezrobotni – choć spotykaliśmy się co miesiąc, mieliśmy bardzo mało kandydatów na instruktorów. I nagle ruszyło. W tym roku harcerskim musieliśmy dodatkowo zorganizować trzy spotkania KSI. Jest bardzo wielu młodszych i starszych, którzy chcą zostać instruktorami. Musimy więc powiększyć skład komisji – mamy w komisji szóstkę harcmistrzów, będzie nas lada chwila ośmioro, dojdą kolejne dwie harcmistrzynie.

80+

W hufcu przede wszystkim KSI, Sąd Harcerski i nieopisywany tu Zespół ds. wyróżnień, w chorągwi troszkę komisja historyczna, w Głównej Kwaterze „Czuwaj”, kapituła, o której pisałem, zespół ds. harcerstwa poza Polską i czasami Muzeum Harcerstwa, bo tam wydawany jest rocznik „Harcerstwo”. Cóż, mam jeszcze ciągle to i owo do zrobienia.

CZUWAJ 2/2025

Program i organizacja

To prawda. Ruch harcerski sprawdza się w sytuacjach dla Polski kryzysowych. Sprawdza się też nasza organizacja. Słyszymy: Związek Harcerstwa Polskiego stanął na wysokości zadania, bo instruktorzy, także seniorzy i wędrownicy, pełnili służbę, gdy była ona niezbędna. A ostatnio los, ale i także wielcy, rządzący światem, stawiają przed naszym społeczeństwem poważne zadania. Była to tak niedawna służba w czasie epidemii Covidu, później przyjmowaliśmy i troszczyliśmy się o całe rzesze Ukraińców uciekających przed Putinowskim atakiem na ich państwo. Usuwaliśmy szkody popowodziowe w południowo-zachodniej części Polski, woziliśmy tam także potrzebne produkty. Ostatnio jesteśmy częścią wielkiego pospolitego ruszenia, tej wielkiej armii naszych rodaków, którzy ruszają w różnorodnych formach na pomoc poszkodowanym.

Nie będę opisywał tych działań, wszystkie one przynoszą chwałę naszej organizacji, powinny być zapisane złotymi zgłoskami w historii Związku. Pada jednak pytanie: – Co dalej? Czy my, Związek Harcerstwa Polskiego, jesteśmy przygotowani na mniejsze lub większe niespodziewane wydarzenia, sytuacje kryzysowe, gdy stajemy do służby, bo jest taka potrzeba i w określonym miejscu nie może nas zabraknąć. Czy jesteśmy w pełni przygotowani do pełnienia służby na rzecz polskiego społeczeństwa?

Pamiętamy wydarzenia historyczne związane z dawną działalnością Związku Harcerstwa Polskiego. Bezpośrednio przed wybuchem II wojny światowej dziewczęta były znakomicie zorganizowane – Pogotowie Harcererek działało znakomicie. W organizacji męskiej było wiele problemów, cóż, tzw. sprawa warszawska (jako protest przeciwko decyzji naczelnika ZHP przerwała w 1939 r. pracę w harcerstwie grupa około 100 warszawskich harcmistrzów i podharcmistrzów) nie ułatwiła dobrego przygotowania do służby przed wybuchem wojny. Ale obie organizacje były gotowe, by włączyć się do ewentualnych działań zbrojnych.

Dziś za granicami Polski toczy się pełnoskalowa wojna, giną tysiące żołnierzy, ale też osoby cywilne. I nawet gdy, jak od pewnego czasu obiecują

politycy, zostanie ona zakończona, musimy wszyscy – całe społeczeństwo – być przygotowani na najgorsze, bo jakiś kolejny kryzys wprost może dotknąć polskie miasta i wieś.

I dlatego nasuwają mi się dwie myśli dotyczące naszej organizacji. Pierwsza dotyczy programu działania gromad i drużyn. Skauting, którego jesteśmy częścią, jest w rzeczywistości ruchem pacyfistycznym. To, że jego twórcą był generał brytyjskiego imperium, nie zmieni tego faktu. Skauting nie wychowuje przyszłego świadomego obrońcy swej ojczyzny. Jesteśmy skautami. W większości środowisk odchodzimy od rozkazodawstwa na rzecz pełnej demokracji. Uczymy kultury organizacyjnej. Odchodzimy od ćwiczeń wzmacniających ciało na rzecz zadań rozwijających naszą wiedzę, nasze umiejętności i wzmacniających naszą psychikę, niektórzy powiedzą – ducha. Zauważyli to swojego czasu twórcy Systemu Stopni Instruktorskich, wpisując do wymagań na stopień przewodnika zajęcia w terenie i umiejętność przeprowadzania musztry.

Niestety nieliczni już wiedzą, jak zachować się w sytuacjach nietypowych, wymagających trudnych decyzji. Jak postępować, gdy jest zimno, jest się zmęczonym, sieć telefonii komórkowej nie działa, trzeba przejść dwadzieścia kilometrów, a w domu nie czeka pod koniec dnia pełna lodówka z różnymi dobrymi produktami. Bo lodówki nie ma lub jest pusta. Jak się nie załamać, co zrobić, aby autentycznie nasz wychowanek był dzielny? Bo zdobycie sprawności „Trzech piór” i organizacja dla niewielkiej grupy hobbystów Zimowej Wędrowniczej Watry niewiele tu zmieni. Dlatego musimy, po prostu musimy zmodyfikować nasz program. Dobrym kierunkiem są powszechne dość kursy pierwszej pomocy, kursy ratownicze, które powinny być obowiązkowe dla wszystkich harcerzy starszych, wędrowników i całej kadry. Ale to mało, bardzo mało, by nie tylko dać sobie radę w trudnych sytuacjach, ale także powszechnie pełnić harcerską służbę.

I druga myśl. Organizacyjna. Pod koniec ubiegłego roku Prezydent podpisał ustawę o ochronie ludności i obronie cywilnej. Wśród organizacji wspierających państwo w tym zakresie jest też ZHP. Mamy w Głównej Kwaterze Zespół Zarządzania Kryzysowego, pisaliśmy o tym w „Czuwaj”. Zespół ten przygotowuje propozycje utworzenia struktur zarządzania kryzysowego odpowiadających specyfice naszego Związku. Ciekaw jestem, czy wykorzystany zostanie interesujący projekt autorstwa hm. Marika Ruszczaka. Opracował on zarys koncepcji organizacyjnej Harcerskich

Oddziałów Obrony Cywilnej. Proponuje zorganizowanie w każdym hufcu zespołu obrony cywilnej, który składać się będzie z pięciu zastępów: pierwszej pomocy przedmedycznej (ratowniczego), pierwszej pomocy psychologicznej (opiekuńczego), porządkowo-ochronnego, alarmowania i łączności oraz kierowania ruchem. Oczywiście zastępów o innych specjalnościach może powstać więcej, np. może to być zastęp profilaktyki i ochrony przeciwpożarowej. Druh Marek oczywiście opisuje system kierowania i wszystkie zależności takiego oddziału od władz gminnych/powiatowych. Zaprezentowane też zostały zadania na poziomie chorągwi, Głównej Kwatery i Rady Naczelnej, system szkolenia, problemy ze sprzętem itd., itd. Powtarzam, ciekawa inicjatywa warta przedyskutowania.

A na razie czekajmy na koncepcję, jaką przedstawi nam Zespół Zarządzania Kryzysowego, bo na pewno nie stać nas na kolejne pospolite ruszenie w środowiskach harcerskich na terenie całego kraju. Postarajmy się pełnić służbę z poświęceniem i entuzjazmem, będąc do niej w pełni przygotowanymi.

CZUWAJ 3/2025

Inne czasy, nie wiem, czy lepsze

Dawno, dawno temu, kiedy prowadziłem drużynę zuchów (bo były to drużyny, tak samo a może nawet bardziej ważne niż drużyny harcerskie) wszystko było proste. Na przykład raz w roku przeprowadzano spis harcerski. Podawaliśmy, ile jest osób w drużynie, ktoś w hufcu zbierał arkusze spisowe (przecież wszystko było na papierze), sumował, przekazywał do chorągwi i po jakimś czasie władze Związku mogły oznajmić, że jest nas o sto czy dwieście tysięcy więcej niż przed rokiem. Komendant hufca dbał, by każdy drużynowy arkusz wypełnił, bo jemu, tak jak i władzom Związku, zależało, aby nas było więcej i więcej...

Ze składkami też było inaczej niż dziś. Miałem swoją papierową książkę finansową, do której wpisywałem wszystkie nasze przychody i wydatki. Ale zuchy co miesiąc (jak ważna była ta systematyczność – zuch musiał pamiętać o swoich obowiązkach!) przynosiły na zbiórkę dwa złote (dwa złote – cena ciastka lub dwóch kulek lodów), ja przy zuchach wpisywałem przyjęcie tej sumy do księgi drużyny (to taka kronika, w której było wszystko – zapiski zuchów, rysunki, mapki, zdjęcia, dowód złożenia Obietnicy Zucha itd., itd.) i miałem pieniądze na drobne, bardzo drobne wydatki. Oczywiście wszystkie rozliczenia były wprowadzane przeze mnie do książki finansowej.

Czasy wymogły zmiany, powolne, najpierw niewidoczne. Dziś już mamy inny świat – mamy RODO, mamy TIPI, wiemy, kto jest, a kto nie jest członkiem ZHP, bo nie zapłacił składek. Wiemy, po jakim czasie od niezapłacenia przestaje być naszym zuchem, harcerzem czy instruktorem. Wiemy to precyzyjnie, co do jednej osoby w całej organizacji.

Mamy też świat przelewów, faktur, przekazywania dużej części naszych składek na poziom wyższy – do hufca, chorągwi, Głównej Kwatery. Gdzież podziały się nasze paragony, rachunki wypisywane przez kalkę ołówkiem kopiowym... (Od czasu do czasu snuję opowieści, jak rozliczane były obozy – o zgrozo – bardziej szczegółowo niż dziś. Ale to inny temat, nie dotyczy dzisiejszego felietonu).

Inne czasy, TIPI i składki. Więc przejdźmy do współczesności. Dostałem informację o bardzo dobrze działającej drużynie harcerskiej. Dzieje się w niej bardzo, bardzo wiele. Harcerze i harcerki są wychowywani zgodnie z zasadami zapisanymi w Prawie i Przyrzeczeniu Harcerskim, chodzą na rajdy, organizują biwaki, pełnią służbę na rzecz miejscowej społeczności. Właściwie można powiedzieć – drużyna, którą warto pokazywać innym jako wzór. Każdy komendant hufca chciałby mieć takie środowiska. Mógłby spokojnie powiedzieć: – Mamy u nas świetne harcerstwo.

Pomyślałem jednak – warto dowiedzieć się czegoś więcej o tej drużynie. Najpierw na Facebooku. Tu się wszystko zgadza – zobaczyłem dzieciaki w działaniu. A później dotarłem do TIPI. No i co się okazało na podstawie naszej ewidencji? Ano właśnie, pełne rozczarowanie! Ta drużyna nie istnieje! To znaczy – jest numer. No i jest w TIPI dwoje członków drużyny – drużynowy i przyboczny. Wyobrażacie sobie – harcerki i harcerze działają tak aktywnie, że informacja o nich dotarła do mnie – i nie są członkami ZHP! Drużynowy jakby prywatnie bierze sobie na głowę odpowiedzialność za wychowanków, którzy nie są ubezpieczeni w ramach naszej organizacji. On sam może mieć kłopoty, gdyż w przypadku jakiegokolwiek wyroku związanego z odpowiedzialnością cywilną ubezpieczyciel nie wypłaci ewentualnego odszkodowania, gdyż instruktor pracuje z drużyną – widmem. Ale jest jeszcze drugi problem, takie działanie, w ramach, a rzeczywiście obok Związku Harcerstwa Polskiego, powoduje, że nasza organizacja jest o 30 członków, którzy sądzą, że są pełnoprawnymi harcerzami, mniejsza.

Zastanawiam się, ile jeszcze mamy takich gromad i drużyn. Ile dzieciaków zakłada mundury z przypiętym Znaczką Zucha lub Krzyżem Harcerskim i sądzi, że jest członkami ZHP. Ilu rodziców o tym wie i tę sytuację akceptuje. A ilu nie ma o tym zielonego pojęcia.

Oczywiście można zadawać sobie różne pytania: Czy w tej drużynie zbierane są składki? Czy komendant hufca akceptuje tę sytuację, bo na przykład jest to środowisko bardzo ubogie (ale, sądząc po ich pracy śródrocznej, na ubogie nie wygląda). No i co sądzić o moralności, uczciwości, odpowiedzialności druha drużynowego.

Niedawno rozmawiałem o stanie liczebnym ZHP. I jeden z instruktorów zadał mi pytanie: – Jak to jest możliwe, żeby co roku pojawiała się w TIPI około 30 tysięcy nowych osób i takie same 30 tysięcy zniknęło. (Nie dyskutujemy o liczbach, może to być 25 tysięcy). Może więc jest tak,

że w czerwcu przed akcją letnią lub we wrześniu na początku roku harcerskiego pojawiają się „nowi” członkowie, płacą składki za kwartał i po trzech miesiącach kolejnej składki już nie płacą, wypadają więc z TIPI, aby po jakimś czasie znów się w TIPI znaleźć... Piszę, że w czerwcu, bo na obozie należy być członkiem ZHP, a we wrześniu mamy nowy rok harcerski – drużyna musi jednak jakoś udowodnić, że istnieje. Wydaje mi się, że między innymi dlatego mamy tak dużą fluktuację członków.

Cóż, mamy inny świat. Przed laty – popatrzcie na początek tego felietonu – był spis na papierze i co miesiąc dwa złote od zucha trafiało do kasy drużyny. Pamiętajcie jednak, że drużynowym zuchów byłem ponad 60 lat temu! Prehistoria.

PS: W moim hufcu jeden z instruktorów twierdzi, że przyjaźniłem się z Andrzejem Małkowskim. Nie, nie jest to prawda.

CZUWAJ 4/2025

„Łatwy” i „trudny”, czyli o naszych bohaterach

Bo wy macie takiego łatwego bohatera – mogę czasami usłyszeć. Łatwy bohater? W czym rzecz? No tak – mamy go od roku 1911, gdy powstały, m.in. dzięki aktywności ks. Kazimierza Lutosławskiego (tak, tak, twórcy Krzyża Harcerskiego) pierwsze zastępy skautowe w warszawskim gimnazjum Konopczyńskiego (po odzyskaniu niepodległości upaństwowione – otrzymało imię Adama Mickiewicza). Taka ciekawostka – latem 1912 r. ks. Lutosławski zorganizował pierwszą kolonię drużyny w... Drozdowie, rodzinnym gnieździe Lutosławskich. Drużyna przyjęła imię księcia Józefa Poniatowskiego. Dlaczego właśnie to imię? W tamtych zamierzonych czasach drużyny nosiły imiona bohaterów narodowych, słynnych literatów, postaci ważnych dla naszej historii (np. Tadeusza Kościuszki, Romualda Traugutta, Zawiszy Czarnego, Jana Henryka Dąbrowskiego, Szymona Konarskiego). Książę Józef znakomicie pasował do tego grona. Numery nadawano drużynom w Warszawie dość późno. „Trójka” zaczęła używać swojego numeru od roku 1917.

Szczepem 3 Warszawskich Drużyn Harcerskich im. x. Józefa Poniatowskiego kierowałem kilkanaście lat.

Bo wy macie takiego trudnego bohatera. Trudnego? Bohaterem naszego hufca jest 1 Warszawska Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Ta dywizja, która zawiązała się w Sielcach nad Oką, jej żołnierze walczyli pod Lenino, koło Dębłina, o warszawską Pragę. Około 2300 zginęło, niosąc pomoc powstańcom warszawskim. Walczyli na Wale Pomorskim i o Berlin. Hufiec przyjął to imię w styczniu 1967 r. I nie dziwny się – żołnierze dywizji wyzwalali w 1944 r. naszą dzielnicę, w pobliżu w Wesołej stacjonował jej pierwszy pułk (był on co prawda już nie pułkiem piechoty, lecz zmotoryzowanym). Współpracowaliśmy tak z dowództwem dywizji, jak i pułku przez długie lata. Sam z rozrzewnieniem patrzę na wręczoną mi dzięki tej współpracy Odznakę Kościuszkowską.

Członkiem Hufca Warszawa-Praga-Południe jestem kilkadziesiąt lat.

Łatwy? Trudny? W czym rzecz? Bohater „Trójki” w powszechnej świadomości społecznej, by sparafrazować Gombrowicza, „wielkim Polakiem był”. I rzeczywiście – pod sam koniec życia marszałek Francji, dobry dowódca, często niezły strateg, na przykład w bitwie pod Zieleńcami, bratanek ostatniego króla Polski, zwolennik Konstytucji 3 maja, która przegłosowana została dzięki jego podstępowi, kilka razy ranny w wal-
kach itd., itd. Pochowany w Katedrze Wawelskiej. Idealny bohater. Choć w 50% Czech, wybrał polskość, dzielny, mądry, sprawny organizator, potrafił poradzić sobie w każdej kłopotliwej sytuacji. Jak prosto pracuje się w Warszawie z takim bohaterem. Miejsca, gdzie bywał, z Pałacem pod Blachą będącym jego własnością i Zamkiem Królewskim, gdzie uchwalono konstytucję. Potrawy, jakie jadał, Warszawa, jaką znał. A i wycieczka do Wiednia, gdzie się urodził i do Lipska, gdzie zginął, może być dla harcerzy wielką przygodą.

Ale gdy zgłębimy życiorys księcia, na jego nieposzlakowanym życiorysie pokazują się rysy. Ileż on miał kochanek, jak hulaszczę życie prowadził, nie ożenił się, ale miał z dwiema kobietami dwoje nieślubnych dzieci. Legendarne są jego ekscesy, gdy pozwalał sobie na konną jazdę po Warszawie, będąc nago. Jego śmierć jedni nazwaliby bohaterstwem, ale przecież to była bohaterszczyzna – ciężko ranny siada na koń i stara się jeszcze dowodzić w trakcie odwrotu spod Lipska. Czy na pewno taki łatwy jest ten bohater?

Łatwy czy trudny zbiorowy bohater hufca? O dywizji mówi się powszechnie jako o tej, która, wyzwalając nasze ziemie, przyniosła nam nieakceptowany przez Polaków ustrój. Że „lepsi” byli żołnierze walczący o Monte Cassino. Ci kościuszkowcy to jakby żołnierze gorsi, bo... No właśnie. Przecież to oni oddali daninę krwi pod Lenino (fakt, gdyby byli dobrze dowodzeni, tej krwi popłynęłoby mniej). Oni zostali wysłani na pomoc walczącym warszawskim powstańcom (nie byli nauczani walk w mieście, większość z nich poległa, porównując straty – powstańców zginęło według różnych szacunków 15–20 tysięcy, kościuszkowców – 2,3 tysiąca). Byli wśród żołnierzy 1 DP prawdziwi bohaterowie, jak ów kapral Michał Okurzały, którego porównać można ze szwajcarskim Winkelriedem (przypomnijmy sobie „Kordiana” Juliusza Słowackiego). Ten kościuszkowiec świadomie, będąc otoczonym przez Niemców, ściągnął na siebie ostrzał własnego wojska. Zginęło wielu hitlerowców.

Czy można źle, niechętnie, czasem z pogardą mówić o tych żołnierzach, którzy walczyli na szlaku bojowym od Lenino do Berlina? Którzy wyzwalałi Polskę, marząc o takiej, jaką znali sprzed wojny. Żołnierzy, którzy poszli do polskiego wojska sami, a szli z różnych stron ówczesnego Związku Radzieckiego... Nie zdążyli do armii Andersa. Nad Oką powtarzali: „Przysięgam, że... do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu walczyć będę o wyzwolenie Ojczyzny, abym mógł żyć i umierać, jako prawy żołnierz Polski”. Trudny bohater? Dlatego, że siedł do Berlina ze wschodu? Dlatego, że dowódcy dywizji podejmowali błędne decyzje, że posyłało żołnierzy na różne odcinki frontu? Że byli częścią Armii Czerwonej?

Pracować można z tym bohaterem prosto. W Warszawie to pokazanie walk na praskim brzegu Wisły i na Czerniakowie. To rozmowa o losach ludzi – żołnierzy dywizji. To nawet wizyta na Powązkach i zapalenie zniczy na dziesiątkach grobów pochowanych tam kościuszkowców. Ale propozycji na przybliżenie harcerzom tego bohatera jest wiele.

Tak, ksiązę Józef jest naszym bohaterem narodowym ze swoimi zaletami i wadami. Dywizja kościuszkowców to też bohater naszego narodu, bohater zbiorowy, walczący z Niemcami „do ostatniej kropli krwi”. Mam więc w harcerstwie dwóch bohaterów – tego mojej „Trójki” i tego mojego hufca. Obu sobie bardzo cenię.

PS: Nie rezygnujmy z bohaterów, którzy są pozornie „trudni”. Bo trudnymi są wszyscy nasi bohaterowie (albo łatwymi). Takie jest życie.

CZUWAJ 5/2025

Wypadki, błędy i nasza odpowiedzialność

Na obozie ZHR straszna tragedia – utopił się 15-letni harcerz. Wokół tej tragedii rozpętała się burza medialna. Jak zwykle w takich sytuacjach wypowiadali się wszyscy – ci, którzy byli w harcerstwie, i ci, którzy do żadnej organizacji harcerskiej nie należeli; ci, którzy kochają jedną z naszych organizacji, i ci, którzy sparzyli się w kontaktach z harcerstwem i go po prostu nie lubią. I jeszcze odzywają się rodzice, którzy wysyłają (lub nie) swoje dzieci na obozy harcerskie. Można by było z internetu i artykułów prasowych wydobyć tyle ocen, że aż głowa mała. Zawsze jest mi przykro, że nasze społeczeństwo nie interesuje się nami jako wspañalymi wychowawcami, lecz zajmuje się harcerstwem w przypadku takiego nieszczęścia.

Nie będę tu jednak snuł refleksji na temat tej tragedii, która na pewno nie powinna mieć miejsca. Zajmę się kilkoma trudnymi problemami, które wiążą się z harcerską działalnością.

Powiedzmy sobie wprost – na obozach harcerskich, tak jak w domach, na ulicy, nad morzem czy w górach, na wycieczkach szkolnych i w trakcie spacerów rodzinnych będą miały miejsce wypadki. Różne – większe czy mniejsze. Obóz harcerski nie jest miejscem wyjątkowym, wyłączonym przez siły wyższe z nieszczęśliwych zdarzeń.

Przykłady? Ot, wydarzenie sprzed kilkunastu lat z mojego hufca. Harcerze po zmroku wracają szosą do obozu. Zgodnie z przepisami idą kolumną, na końcu instruktorka świecąca do tyłu czerwonym światłem. Na kolumnę najeżdża pijany kierowca. Ani jednemu harcerzowi nic się nie stało. Instruktorka potrącona przez samochód umiera od odniesionych ran. Tragedia, o której prasa się nie rozpisuje. Wszak codziennie ktoś ginie lub jest ranny na szosie. A pijanych kierowców po Polsce jeżdżą setki.

I jeszcze inny wypadek – na zimowisku, które prowadziłem, w czasie gry terenowej harcerz złamał kręgosłup. Była noc, patrol miał dojść do miejsca, gdzie pali się ognisko. Harcerz postanowił wejść na drzewo, bo może z jakiejś wysokości zobaczy rozpalony ogień. Spadł z tego drzewa, bardzo nieszczęśliwie. Przyznał, że pierwszy raz w życiu wchodził na drzewo!

Dwa zupełnie różne wydarzenia. Dwa wypadki. Pierwszy – pijany kierowca, drugi – nieodpowiedzialny harcerz i jego patrol, który taką inicjatywę zaakceptował. Do obu wypadków mogło nie dojść, ale niestety miały miejsce w trakcie wyjazdów przez nas – harcerstwo – zorganizowanych. Zastanawiam się po latach, co zrobiliśmy niewłaściwie, czy można było tych wypadków uniknąć. Czy inne przepisy coś by dały? Czy należy zabronić harcerzom wracać szosą do obozu? Czy zabronić wędrownikom organizowania gier w nocy? Bo w wieku wędrowniczym byli harcerze biorący udział w grze. Zmiana przepisów (nie wolno chodzić po szosie, nie wolno w nocy organizować gier) nic by nie dała. Utrudniałaby nam pracę, ale i tak byłyby w organizacji inne wypadki. Takie jest nasze życie.

Popatrzyłem na stronę zhp.pl. To, że po tragicznej śmierci 15-latka znalazły się informacje o bezpieczeństwie na naszych obozach, o tym, że musimy troszczyć się o wychowanków, nie dziwi. Ale zauważcie, że przed akcją letnią pisano na ten temat na stronach zhp.pl kilkakrotnie. Bo o bezpieczeństwie, i tym fizycznym, i tym psychicznym piszemy, mówimy, kształcimy kadrę. Czy jednak jest coś do zmienienia, do poprawienia, do zmodyfikowania?

Na pewno nie wolno zrezygnować z niektórych ćwiczeń i realizacji zadań, które są wyzwaniem dla harcerzy. Dbanie o bezpieczeństwo naszych wychowanków nie może polegać na rezygnacji z tradycyjnych form pracy harcerskiej, na chowaniu ich „pod kloszem” – bo „coś złego może się zdarzyć” – a takie postawy daje się zaobserwować. Chodzi tu zarówno o posługiwanie się młotkiem, siekierą czy piłą, jak i ćwiczenie różnych umiejętności wymagających sprawności fizycznej, orientacji w terenie, wytrwałości... Ważne jest jednak, w trosce o bezpieczeństwo naszych wychowanków, by harcerce czy harcerzowi udzielić bardzo dokładnej instrukcji, w tym jak się tymi narzędziami posługiwać. I tyle. Ale czy unikniemy wypadków?

Dlatego jeszcze jedna opowieść. Pełnoletni harcerz, wcześniej uczestniczący w kilku obozach, wyrąbuje bardzo dobrą siekierą jakieś zarośla. Jest w pionierkach. To ważne, ileż to razy tłumaczyłem kadrze obozów i harcerzom, że posługując się siekierą, nie wolno pracować w kłapkach. A u mojego harcerza siekiera odbija się od pieńka i ostrze trafia w stopę. Po chwili but jest pełen krwi. Jazda do szpitala, szycie (7 szwów)... Czy powinniśmy wobec tego zabronić wędrownikom, doświadczonym wędrownikom, pracy siekierą? Otóż nie. Bez obozowej pionierki nie ma

harcerstwa, pionierka jest niezbędna w naszym procesie wychowania. Podobnie jak inne formy pracy.

Ale to, czego nam – kadrze nie wolno, to igrać z życiem i zdrowiem naszych wychowanków. Dla mnie wywieźć harcerza z zasłoniętymi oczami do lasu gdzieś 50 km od obozu, bez pieniędzy, tylko z butelką wody, i kazać mu wrócić do obozu w ciągu jednego czy dwóch dni, do tego dać mu jeszcze jakieś zadania do wykonania – to jest niedopuszczalne. To narażenie go na niebezpieczeństwo. Tysiąc razy takie zadanie harcerze wykonają, a przy zadaniu tysiąc pierwszym stanie się nieszczęście.

Oczywiście wszystko zależy od odpowiedzialności instruktora. Bo rozsądny instruktor w czasie próby niejedzenia umożliwi harcerzowi picie wody i gorzkiej herbaty. Głupek powie, że nie wolno ani jeść, ani pić. Mądry instruktor będzie wiedział, gdzie znajduje się szalas harcerza w czasie próby samotności. Ba, odwiedzi go w nocy i sprawdzi, czy harcerz jest bezpieczny. Instruktor wie, czy 13-latek może przejść w ciągu dnia 10, 20 czy 30 km. Wie też, kto może uczestniczyć w biegu harcerskim o długości 100 km, bo wcześniej przeszedł z harcerzami tak długą trasę. Normalny, odpowiedzialny instruktor będzie działał nie tylko zgodnie z rozlicznymi przepisami, ale także ze zdrowym rozsądkiem. To bardzo proste.

A za niedopuszczenie do wychowywania zuchów, harcerek i harcerzy przez osoby nieodpowiedzialne odpowiadamy my wszyscy – instruktorzy prowadzący kursy, warsztaty, członkowie KSI, komendanci hufców i członkowie komend, instruktorzy zatwierdzający programy obozów itd., itd. Bo musimy mieć mądrą kadrę. Dziś, jutro i pojutrze.

CZUWAJ 8/2025

Węzyki, węzyki...

Adam, napisz coś o naszym 35-leciu. I niech tam będzie o twoich „Węzykach” – poprosił nasz Redaktor Naczelny. Rzeczywiście, dawno, dawno temu, w czasach, gdy ludzie polowali na dinozaury, pisałem co miesiąc „Węzykiem”. Była to taka rubryczka-felietonik, gdzie dokładałem ponoć na odlew z prawa i z lewa naszym instruktorom. Rubryczka, w której krytykowałem nas, bo krytykować należało. Pamiętam, że gdy przechodziłem obok jakiejś grupy naszej kadry, czasem cichły rozmowy. No bo coś on (czyli ja) usłyszy i nas opisze.

Zacząłem więc przeglądać stare numery „Czuwaj” z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. I wiecie co? Okazało się, że w rzeczywistości były to w większości grzeczne zapiski, nieporównywalne z tymi dziś oceniającymi gdzieś na przykład na Facebooku pracę Związku lub jego władz. Fakt, myśmy nie mieli wówczas różnych portali społecznościowych i tego jadu, który czasem wylewa się dziś z różnych zapisów i polemik. Poczytajcie więc. Oto „Węzyk” z numeru 7/1993:

Wybraliśmy delegatów na zjazd. W całej Polsce. Tu i ówdzie nie było kworum, a więc delegata owe środowisko nie ma. I dobrze, pewnie na to nie zasługuje. Zaraz po wyborach rozpoczęły się rozmowy o delegatach. W budynku przy ul. Konopnickiej to i owo słyhać, a w Załączu też można się poużalać. Bo cóż się okazuje? Wszędzie wybrano niewłaściwego delegata. A to za stary, a to za młody. A to za głupi, a to za mądry. Makabra! Dziesiątki sfrustrowanych instruktorów narzekają, że nie będą mieć na zjeździe wymarzonego reprezentanta. Żeby tylko to. Rozmawiam o przygotowaniach do zjazdu i nagle słyszę: – Ale oni (delegaci) nie są kompetentni, aby na ten temat dyskutować! – To kto jest kompetentny? – pytam. – Ci, których ja znam i z którymi na co dzień współpracuję. – Kto mnie zna, wie, że osobnikiem jestem ogromnie krytycznym. Tysiąc rzeczy mi się w harcerstwie nie podoba. I głośno o tym mówię. Niektórych instruktorów nie cenię zbyt, za to innych bardzo. Takie jest życie. Ale przez głowę by mi nie przeszło, by dokonywać tak jednoznacznie negatywnych ocen. I to przed zjazdem. Mogę sobie nie lubić druha X, ale jestem pewny, że na zjeździe druh X jako

nasz wspólny delegat będzie podejmował decyzje rozsądnie, nie kierując się wyłącznie własnymi upodobaniami, lecz [dobrem] całego Związku. Mówimy czasem o zbiorowej mądrości różnych grup. W tym przypadku będzie tak samo. Delegaci na zjazd będą w pełni kompetentni, by wypowiadać się (i decydować) o programie ZHP, statucie, o roli harcerstwa starszego w Związku, problemach harcerstwa wiejskiego itd., itd. Powinniśmy sobie tę prostą prawdę uświadomić, bo 13 grudnia 1993 r. będziemy mieli nową Radę Naczelną (dobrą), poprawiony (bezbłędnie) Statut, kilka (wspaniałych) uchwał Zjazdu, nadal „w drodze”. Czego wszystkim delegatom i pozostałej harcerskiej braci życzę.

Prawda, że grzecznie? Z pewną ironią głaszczę po główkach naszych delegatów. Liczę jednak, że podejmować oni będą w miarę sensowne decyzje. A były to czasy wcale nie najłatwiejsze dla Związku Harcerstwa Polskiego. Owa droga, którą zauważam na końcu „Wężyka” była bardzo wyboista. Poczytajcie sobie „Grę o harcerstwo” ówczesnego naczelnika hm. Ryszarda Paclawskiego.

No i aby słowa o mojej nadzwyczajnej łagodności nie były rzucane na wiatr, przytoczę jeszcze jeden „Wężyk” z numeru 4/1994:

Dziś wężyk osobisto-refleksyjny, by nie powiedzieć autobiograficzny. Otóż w połowie marca na posiedzeniu Głównej Kwatery jeden z instruktorów zapytał mnie: – Co myślisz o koncepcji nowej Centralnej Akcji Szkoleniowej, pamiętasz przecież, jakie efekty dała ta ostatnia? – Pamiętam? No tak, rzeczywiście pamiętam. Gdy dłużej zacząłem myśleć, dlaczego to mnie zadano takie pytanie, doszedłem do jednego wniosku. Pełnię w różnych środowiskach harcerskich niezbyt sympatyczną rolę „faceta, który to i owo pamięta”. I występuję wtedy w roli starego zgreda, który przypomina sobie dawne czasy i komunikuje przy każdej okazji: – Przecież to już było. – Na tym samym zebraniu Głównej Kwatery, gdy mówiliśmy o kształceniu w organizacji i uprawnieniach kadry wymusknęło mi się: – A kiedyś to była Odznaka Kadry Kształcącej i nawet taką złotą otrzymałem. – No i po co się chwaliłem? Po co to pamiętam? Jedna drużyna spojrzała na mnie z niesmakiem i pomyślała, że chciałbym, by mi teraz bez weryfikacji w Centralnej Szkole Instruktorskiej ją wręczyć. Albo moje refleksje o ruchach starszoharcerskich [czyli dziś wędrowniczych]. Ciągłe pamiętam, jak działała Rada Harcerzy Starszych, pamiętam, jak przebiegały Ogólnopolskie Zbiórki Przedstawicieli Harcerzy Starszych, wiem, dlaczego

runęła Ofensywa Starszoharcerska i jaki był nie tak dawny w końcu Program Harcerstwa Starszego. No więc, jeżeli o tym wszystkim nie zapomniałem, jak mogę być traktowany przez druhow (i drużny też), którzy starają się wzmacniać starszoharcerską gałąź Związku? Odpowiedź jest jedna. I dlatego z całą pokorą przyjmuję rolę marudzącego weterana. Bo rzeczywiście jest tak, że będzie nowy, od początku tworzony CAS, będzie odkrywczą odznaka, a harcerze starsi lada chwila wymyślą nową ofensywę. No i dobrze, będę miał co porównywać i o czym mówić za kilka lat.

Znów jakoś tak miło. Zauważcie, minęło ponad 30 lat i moja sytuacja się nie zmieniła. No, nie jestem zapraszany na spotkania Głównej Kwatery, jak w tamtych czasach. Nadal jednak mówię i piszę: „A za moich czasów...”. Ale mam pełną świadomość, że kolejne pokolenia nie uczą się na błędach poprzedników, chcą mieć swoje własne sukcesy, i że klęski też się będą im zdarzały.

Żeby jednak nie było tak, że w „Wężykach” było wyłącznie spokojnie i nie starałem się zmieniać zachowań naszej kadry, przytoczę jeszcze jeden, z czerwca 1997 r. Nie da się ukryć, wtedy ciągle jeszcze instruktorzy dość jawnie nie przestrzegali 10. punktu Prawa Harcerskiego:

Ludzie listy piszą, a to przesyłają pocztą, a to przez internet, a to ktoś przyjdzie do redakcji i list zostawi. Jeden jest podpisany, inny jest anonimowy, jak to list. Po wiosennym cyklu instruktorskich szkoleń i seminariów dostałem dość interesujący materiał – rap inspirowany wydarzeniami, jakie miały miejsce w ośrodku na Głodówce. Czy opisywane w wierszyku fakty miały miejsce? Może ktoś z czytelników chciałby się w tej sprawie wypowiedzieć?

Instruktorskie radości

*Co za miłe wiadomości,
Znów Głodówka gości gości.
Jadą drużny i druhowie –
„Na szkolenie” – każdy powie.*

*Grono świetne się zebrało,
Co już dawno się poznało,
Było na kursach rozlicznych,
Kursach bardzo sympatycznych.*

*W piękne swe torby podróżne
Spakowali rzeczy różne:
Mundur, ręcznik i szczoteczkę
Do zębów, i buteleczkę.*

*Kurtkę, buty zapasowe,
Oczywiście coś na głowę,
I piżameczkę do spania,
I ubranie do przebrania.*

*Nie pytajcie o szkolenie,
To nie było wydarzenie
Ważne, że w wieczornej porze
Druhna może, druh też może*

*Sięgnąć po swą buteleczkę,
No i napić się troszeczkę.
Bardzo mi się kurs podoba,
Na alkohol znów jest moda!*

*Znakomita atmosfera,
Nikt już w słowach nie przebiera,
Druhna pije, a druh chla,
Gdzieś tam cicho radio gra.*

*Ranna zbliża się godzina
I czas zajęć się zaczyna.
Gdzie najmłodszy mieszka druh,
Co to siłę ma za dwóch?*

*Niech przebiegnie się dziecina
Na Klin*, bo nam trzeba klina.
Na Głódówce znakomicie
Instruktorskie płynnie życie.*

** Klin – najbliższa od Głódówki część Bukowiny, gdzie znajduje się sklep z alkoholem.*

Oczywiście nie dostałem „anonimowego” tekstu. Sam napisałem rymowaną, aby była mocniejsza w wymowie. Kolejny zwykły felieton na

ten temat nie wzbudziłby zainteresowania. Dziś mogę jeszcze dodać – opisywane wydarzenie w rzeczywistości miało miejsce.

Dziś „Wężyki” już nikogo nie ukąszą. Chyba te zęby z jadem już im dawno wypadły. Wokół nas mamy wiele nowych węży. Czasem farbowanych. Ale to już nie dotyczy naszego 35-lecia.

CZUWAJ 9/2025

SPIS TREŚCI

Byłem jak lwica	7
Nie krzywdzić dziecka!	9
Warto służyć???	11
Ten punkt dziesiąty	13
Siódmy – przełomowy	15
Pół wieku... czytania.....	17
Harc mistrz Polski Ludowej	19
Z Jolą – moją najlepszą szefową.....	21
Tym razem będzie o służbie	23
Mój prawdziwy obóz.....	25
Być prawdziwym zuchem.....	27
O moich harcmistrzach	29
Wędrujemy, wędrujemy	31
Sukces za sukcesem.....	33
Nie pisałem pamiętników.....	35
Z okazji 70-lecia harcerstwa.....	37
O harcerskich włosach i nie tylko	39
Mój dom, numer, moja ulica... ..	41
„Trójka” w skautingu	44
Nasi bohaterowie	46
Ze stopniami instruktorów różnie było	48
Kursy, kursy, kursy.....	50
Burzyciele? Nowatorzy?	52
Brązowy, srebrny, złoty	54
Dobre harcerstwo – jakie to proste	56
Wychowujemy.....	58
Mój szczep i nasze pieniądze.....	60
Być redaktorem!.....	62
Wędrowaliśmy tu i tam.....	65
Zdziwienia	67

Być seniorem.....	69
Duży hufiec – jak to działało.....	71
Ci ze zniżkami godzin.....	73
Na Przedwiośniu.....	75
U naszych przyjaciół za granicą... ..	77
To też warto przeczytać!	79
Jedno trudne słowo	81
Życzenia na pół wieku	83
Oni i my, czyli o Związku Harcerstwa Polskiego.....	85
Czy byliśmy za młodzi?	87
50 (pięćdziesiąt).....	89
Nie masz na nic czasu?	92
Nadal pięknie się różnić.....	94
Pogwizdywać w każdej sytuacji.....	96
Radość istnienia.....	98
Służba, braterstwo, praca nad sobą	100
Opinie i oceny	103
Jestem częścią historii harcerstwa	105
To był wywiad!	107
Budujemy metodyki od nowa?	110
Zawsze można dać sobie radę.....	113
A ty ciągle w harcerstwie?	116
Byłem naczelnym „Czuwaj”	119
Gdybyście mogli przeczytać.....	121
Gdybyście mogli przeczytać (2).....	123
Sztuka kochania.....	125
Tak było... – czyli okruchy wspomnień	127
Co im dało harcerstwo.....	129
Rajdy, biwaki, wycieczki... ..	131
Mądry harcmistrz po szkodzie	133
Problem: obcięty guzik	136
Kryzys	140
Nasz głos	142
Okruchy wspomnień	145

Czterdzieści lat minęło	149
Przed laty zapisano.....	152
Nieść chętną pomoc bliźnim... ..	154
A jednak się zdziwiłem.....	156
Czy pamiętamy?.....	158
O Janku opowieści różnej treści	160
Nasze zadanie.....	163
Grudniowe światła wielu świec	166
Nasz harcerski żywy język.....	168
Noc listopadowa	172
Harcerstwo pod strzechy	175
Kabaret trzech panów	178
Nie tylko potrzebni, ale niezbędni	181
Do lasu, ale po harcersku.....	183
Będziemy nadal nowocześni... ..	186
Młodszy i starsi... albo czy rzecz w harcerskich pokoleniach	189
Dzień myśli.....	192
Opracowujemy i upowszechniamy	195
Harcerz jest czysty... ..	199
Uwaga zespół!	202
Więcej niż bardzo wiele	205
Nie tylko o „Zielonym Straszyle”	209
Tak było!	212
Szkoła, szkoła... ..	215
Alerty naczelnika.....	218
Moje męskie harcerstwo	221
80, czyli harcerski życiorys.....	224
80 – ciąg dalszy	229
Program i organizacja.....	233
Inne czasy, nie wiem, czy lepsze	236
„Łatwy” i „trudny”, czyli o naszych bohaterach	239
Wypadki, błędy i nasza odpowiedzialność.....	242
Wężyki, wężyki... ..	245

Urodziłem się 80 lat temu, tego dnia, kiedy Rosjanie przekraczali linię Wisły, spychając Niemców na zachód. Ale momentu, gdy w drugiej połowie stycznia 1945 r. do salki, gdzie właśnie niedawno po raz pierwszy spojrzałem na świat, wszedł czerwonooarmista, nie pamiętam.

Wychowałem się na warszawskiej Saskiej Kępie, tam chodziłem do przedszkola, do podstawówki, maturę zrobiłem w Liceum im. Bolesława Prusa. Kilka lat później zacząłem uczyć języka polskiego w drugim saskokępskim liceum, noszącym imię Adama Mickiewicza. Uczyłem tam 42 lata, nigdy na pełnym etacie.

Do pracy na pełny etat zaangażowałem się w Wydawnictwie Harcerskim, któremu dopisano przydomek „Horyzonty”. Byłem tam redaktorem, po pewnym czasie kierownikiem redakcji. W wydawnictwie następowały zmiany, a ja po kilku latach wyłączałem w redakcji czasopisma „Drużyna”, gdzie odpowiadałem za wydawanie miesięcznika „Drużyna – Na Tropie”. W nowej rzeczywistości byłem zatrudniony w GK ZHP, gdzie najciekawszym fragmentem mojej pracy było redagowanie miesięcznika „Czuwaj”.

Po 1980 r. nie było nudno – a to napisałem jakiś fragment podręcznika do historii, a to współpracowałem z „Gazetą Wyborczą” w programie „Szkola z klasą”, a to redagowałem Biuletyn Informacji Publicznej... Byłem też radnym. Redagowałem „Socjaldemokratę Praskiego”.

W 1958 r. złożyłem Przyrzeczenie Harcerskie, 1 stycznia 1962 r. otrzymałem stopień przewodnika. Pełniłem mnóstwo funkcji od drużynowego w Hufcu Warszawa-Praga-Południe do członka prezydium Rady Naczelnej ZHP. Dziś także jestem czynnym instruktorem: między innymi w hufcu jestem w Sądzie Harcerskim i Komisji Stopni Instruktorskich, a w Głównej Kwaterze w kapitule Krzyża „Za Zasługi dla ZHP” i redakcji „Czuwaj”.

Żona jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Warszawskiego, mam dwoje dorosłych dzieci i troje wnuków.

Moje refleksje o tym, co było, jak było, o mojej pracy instruktorskiej przed laty i tej współczesnej możecie przeczytać w tomiku, który trzymasz w ręku.

Adam Czetwertyński

ISBN 978-83-65012-05-0



9 788365 012050